

Anna Pietraszek: ...że ja byłem osobą z zewnątrz przy księdzu Jerzym.

Adam Nowosad: To znaczy może, kiedy się pojawiłem tam po raz pierwszy? To niech już w takim razie idzie. Było to gdzieś, też dokładnie nie pamiętam, na przełomie kwietnia i maja 1982 roku. Po prostu zadzwonił do mnie kolega, Waldek Chrostowski, z taką informacją, że jedzie do księdza, wybiera się na Żoliborz, i czy bym z nim nie pojechał. Nic nie wiedziałem o księdzu Jerzym, powiem więcej, nawet o kościele na Żoliborzu.

Anna Pietraszek: A gdzie mieszkałeś?

Adam Nowosad: Wtedy na Okęciu.

Anna Pietraszek: A Waldka skąd znałeś?

Adam Nowosad: Moja rodzina zna go od czasów wojny. Przyjaźnił się kiedyś z nieżyjącym moim szwagrem. I stąd znała ich dobrze moja mama. Bywał u nas, spotykaliśmy się na wszystkich przyjęciach rodzinnych. Stąd taka znajomość. Niemniej nie była to jakaś tego typu znajomość, że spotykaliśmy się non stop. Wtedy, kiedy było gorąco, kiedy był stan wojenny, myśmy wspólnie się wybierali na wszystkie demonstracje. Braliśmy udział w tych ulicznych historiach. I jakoś tak się złożyło, że właśnie kiedy zadzwonił z taką informacją, że wrzucono cegłę do mieszkania księdza na Żoliborzu, to powiem ci, że mnie to i zdumiało, i zaintrygowało. Wtedy po raz pierwszy doszedłem do wniosku, że to chyba niemożliwe, żeby w Polsce działy się takie rzeczy, że to katolicki kraj. Zastrzegłem od razu, jadąc tam, że nie mam na nic czasu, ja się zajmuję interesem, mam mnóstwo pracy i mogę pojechać tylko dlatego, żeby przekonać się na własne oczy, co takiego się rzeczywiście dzieje. I tak się stało. Któregoś dnia jakoś około południa, bo było tak ładnie jak dziś, wybraliśmy się do księdza i spotkaliśmy go na tych sławnych schodach przy wejściu do jego domu.

Anna Pietraszek: I kiedy to było?

Adam Nowosad: Mówię, przełom kwietnia-maja 1982 roku. I wtedy stało się coś takiego dziwnego, czego samemu nie byłem w stanie przewidzieć. Spojrzałem w oczy księdza i natychmiast zrozumiałem, że jestem tam potrzebny, że zostaję. Pojechałem z planami, że tylko posłucham, dowiem się, co tam się wydarzyło, bo niewiarygodna rzecz, no cegła do mieszkania. A ksiądz bez zbędnych ceregieli, kiedy tylko nas poznał, myśmy się przedstawili, mówi: "To co, macie czas?" - "No mamy" - "No to chodźcie".

Weszliśmy na górę i od razu się okazało, że jest całe mnóstwo roboty. Leżały jakieś paczki, pakunki, zawiniątka, jakieś tam różne rzeczy, więc mówię: „Słuchajcie, trzeba to segregować, musimy spakować, zawieziemy to do ludzi pod adresy, które wam wskażę”. No i tak to się zaczęło. Ja tego dnia miałem mnóstwo zajęć, a jednak spokojnie zostałem przy tych paczkach do późnych godzin wieczornych, bo było tego sporo.

Anna Pietraszek: Czyli on miał coś takiego. Co to było, coś takiego?

Adam Nowosad: Porywał, rzeczywiście, kiedy się go zobaczyło...

Anna Pietraszek: Magnes taki?

Adam Nowosad: ...było wiadomo bez zbędnych słów, że dzieje się coś tak ważnego, że trzeba się w to włączyć i po prostu pomóc mu, bo rzeczywiście był sam. Wtedy, kiedy myśmy się tam pojawili, wbrew temu, co się dziś uważa, było tam bardzo niewiele osób. Przychodziło kilku hutników, tak na zmianę, nie za bardzo był czas. Po tej historii z cegłą oczywiście pojawili się jacyś ludzie, którzy nam zadeklarowali pomoc i postanowili, że będziemy pełnić dyżury, że będą oni pełnić dyżury nocne, że tam w ciągu dnia to się jakoś będziemy zmieniali, a później będą nas zastępować hutnicy czy też robotnicy z Ursusa i z FSO, bo to była głównie ta grupa ludzi, która pokazywała się. Oni się znali wcześniej z księdzem z czasów, kiedy ksiądz odprawiał msze jeszcze w hucie i organizował to środowisko robotnicze, zapraszał ich do siebie z całymi rodzinami, żeby ich tam jakoś integrować. Więc taki naturalny kontakt był. Wtedy, jak się dowiedziałem już, gdzieś od stycznia prawdopodobnie ksiądz Jerzy odprawiał msze za ojczyznę. Majowa msza, w której ja już brałem udział, byłem bardzo ciekaw, była taką mszą bardzo skromną. Jakoś było niewiele osób, ledwie tam trochę w kościele, nie było jeszcze takiej oprawy, jak to się stało później, kiedy się dołączyli do tego dzieła aktorzy. No i powstał problem, zaczęliśmy się zastanawiać, że skoro tak mało ludzi przychodzi, to powinniśmy coś z tym zrobić. Ksiądz zaprosił nas do swojej takiej salki konferencyjnej i poprosił, żeby każdy rzucił jakiś pomysł, żebyśmy się zastanowili, co takiego można zrobić, żeby nadać trochę rozgłosu. Wtedy kilka osób pewnie z nas podchwyciło jakiś pomysł, że należałoby po prostu rozplakatować to po mieście. Ja zaproponowałem, że jeśli już, to rozplakatuje, ale w kościołach. No i tak się stało. Grupa młodzieży, tej medycznej, którą opiekował się ksiądz Jerzy, wspaniali ludzie zresztą po dziś dzień i wspaniali lekarze, włączyła się w to, zaczęliśmy te plakaty taką cyrylicą malować, tworzyć, one były dosyć sporych rozmiarów, na ile nam tam starczało papieru, farby, bo to każdy musiał przynieść coś od siebie, no i zaczęliśmy taką akcję. Każdy przyjął jakiś tam rejon do rozplakatowania, z tym że umówiliśmy się konsekwentnie, że będzie to tylko plakatowanie przed kościołami, czyli na kościelnych

murach, na jakichś takich miejscach, gdzie to nie będzie przeszkadzało. W następnym miesiącu na czerwcowej mszy było już znacznie więcej ludzi, niemniej jednak powtórzyliśmy te sprawy jeszcze przez kolejne dwa miesiące i stało się tak, że bodaj w lipcu, a może w sierpniu, jakoś tak, ksiądz Jerzy zapracowany nad kazaniem, bo pracował nad nim do ostatniej chwili, myśmy tam starali się organizować, zabezpieczać teren, a ksiądz siedział w swoim pokoiku, za tym przepierzeniem takim sławnym, i tam pracował do ostatniej chwili nad kazaniem, i wyszedł zamyślony taki, wyjrzał przez okno i się przestraszył. "O mój Boże!". A rzeczywiście był tłum ludzi. Czyli kościół był już otoczony, ludzie stali na zewnątrz, w parku, bo tam kiedyś był troszkę inny układ komunikacyjny.

Anna Pietraszek: A kiedy to też było, w maju?

Adam Nowosad: Nie, to mógł być lipiec. Z tym że może sierpień, ale raczej był to lipiec, jakoś tak lato. Myśmy też sami... My byliśmy przekonani, że to bardzo dobrze, że tak dużo ludzi przyszło, bo to, czym się martwił ksiądz... bo tak jak mówił, te msze się odbywają, ale frekwencja jest słabiotka, nie do wielu ludzi to dociera, i trzeba było coś z tym zrobić. Kiedy się okazało, jak wielu ludzi przyszło, to rzeczywiście już nam zabronił plakatowania. Miało to też jeszcze taki efekt, o którym się dowiedzieliśmy później, że księża się skarżyli w kurii, że takie coś się dzieje, że ktoś im okleja kościoły. Wystarczyło, że kilka miesięcy plakatowania, od tego czasu już na Żoliborzu gromadziły się zawsze ogromne tłumy. I wtedy tak naprawdę zaczęła się dopiero jakaś taka solidna oprawa tej mszy, wtedy już przychodzili aktorzy, którzy tam coś recytowali, ktoś coś zaśpiewał. Ksiądz dbał o to, żeby to był taki zawsze podniosły, zawsze jakiś taki duchowy, patriotyczny nastrój. I tak się ta sprawa rozwijała. Później wpadliśmy na to, że trzeba nagrywać te kazania, ktoś tam na jakimś magnetofonie... gdzieś później siostra Jana postanowiła to przepisać i wydawała to w formie biuletynu, jakichś takich broszurek, które notabene były fałszowane znowu dla odmiany, ktoś rozpuszczał po mieście fałszywki z jakimiś innymi tekstami, niż ksiądz je głosił. No i tak to się działo, tak zaczęła się historia mszy, która później już do ostatniego miesiąca życia była cyklicznie prowadzona. Dzieło to zresztą, trzeba wiedzieć, powierzył księdzu ksiądz Bogucki, który zainicjował mszę za ojczyznę i po jakimś czasie doszedł do wniosku, że warto by było powierzyć to księdzu, bo wydało mu się, że robi to dobrze. I nie zawiódł się. Rzeczywiście były to jedne chyba z najpiękniejszych mszy takich, które w tym czasie wlewały jakby w dusze ludzkie optymizm, nadzieję. Z jakiegoś powodu to zresztą dzisiaj różnie ludzie relacjonują, dlaczego tam przychodzili, czego szukali. Z jakiegoś powodu jednak przychodzili, słuchali i potrafili w spokoju pomimo dużych zgromadzeń rozejść się, nie było jakichś dziwnych historii, nie było prowokacji. Niestety, jak wiemy, te msze były później jedną z przyczyn kłopotów księdza, czyli zarzucano mu właśnie rewoltowanie spokojnego miasta. Że jak

gdyby było to zarzewie buntu i niepokoju. Wiemy, że Urban wytoczył jakieś takie ciężkie armaty o salonach żoliborskich. Co teraz o tym, co się działo w tych moich pierwszych dniach pobytu? No więc to, czym się zajmował tak naprawdę ksiądz Jerzy na co dzień, to oczywiście były niezliczone spotkania z ludźmi, bo jakoś tak się działo, że sporo osób przychodziło do księdza i każdy miał tam jakąś sprawę, chciał się poradzić, chciał być wysłuchanym, potrzebował pomocy, no i ksiądz, trzeba to powiedzieć, od rana do nocy był ciągle do dyspozycji. Myśmy starali się jakoś tam regulować tym ruchem, bo wiedzieliśmy, że wyczerpywało go to. Czyli nikt z nas nie ma jakiegoś zasobu sił niewyczerpywalnego i tak się działo z księdzem. Kiedy było widać, że ślaniał się niemal na nogach, no to myśmy tam kładli się w poprzek, zamykali drzwi i mówili, że nie ma, nie ma możliwości, że może następnym razem, może jutro. Oczywiście jak już odpoczął, poleżał z pół godzinki, to zaraz przychodził z awanturą, że zamykamy drzwi, że trzeba przecież... jeśli ktoś tam chce z nim rozmawiać, no to on już jest gotów. I tak to było. Zaczęły przychodzić dary z zagranicy i część tych darów siłą rzeczy kierowano do kościoła Stanisława Kostki, bo nie było miejsca. Gdzieś tam ksiądz to upychał na stryszkach po piwnicach, wyglądało to tak troszkę jak tutaj, czyli stało takie mnóstwo pak, trzeba było te paczki otwierać, segregować, dzielić, no czyli taka praca przy rozdziale tych darów. No i później ksiądz jakoś tam zawsze miał jakąś listę adresów i prosił, kto tam z nas mógł, kto miał samochód, no to kto się pakował, i jeździliśmy z tymi paczkami w różne miejsca, jak też i zapraszaliśmy różnych ludzi, dzwoniliśmy, żeby przyjechali, że jest coś dla nich, że jest jakiś tam dar. No i to była ta druga część, która też była bardzo absorbująca dla księdza zdrowia i kondycji, bo wbrew pozorom była to zwyczajna ciężka fizyczna praca, od której nie stronił. Sam się w to włączał, bo był zawsze ciekaw, co tam dla kogo, komu co jest bardziej potrzebne. Znał tych ludzi, znał ich potrzeby i wiedział, komu co bardziej się przyda. To tak się działo. W pierwszych tygodniach okazało się, że ksiądz jeździ sam w ogóle samochodem, a nikt mu nie towarzyszy, że jest jakoś coraz głośniejsze wokół niego, i po prostu doszliśmy do wniosku, że musimy się jakoś wymieniać, na początku, pierwszy tydzień, dwa tygodnie, jeździliśmy na zmianę z Waldkiem, raz ja, raz ksiądz, ponieważ okazało się, że kierowcą lepszym jest jednak Waldek. Ja miałem tego czasu zdecydowanie mniej, miałem wtedy dwójkę małych dzieci. Trzeba było trochę się poświęcać w domu, pilnować też interesu, i tak to się zaczęło, że Waldek już na stałe zaczął jeździć z księdzem, umówili się jakoś tak, że Waldek się już zgłaszał tam każdego dnia. W tym czasie oczywiście był wyrzucony z pracy, bo szefował jakiejś tam komórce Solidarności. I jak to w tym czasie było, relegowano go, wyrzucono go z pracy, i był bez zajęcia. A więc został... Nie wiem, jak się tam umówili, mam wrażenie, że ksiądz zasiliał rodzinę Waldka jakimiś żywnościowymi darami. I tak to było. Myśmy niczego tam nie dostawali, niczego nie braliśmy. Cokolwiek się robiło, to kosztem swojego czasu, swoich pieniędzy, oczywiście w miarę możliwości, jak wiem, ci hutnicy, którzy tam przychodzili, też robili

to kosztem swojego czasu. I słowem, nie było nigdy mowy o jakichkolwiek profitach, o tym, że ktoś mógł być czymś tam zainteresowany. Tak się to rozwijało w 2002 [1982] roku dość spokojnie i poza takimi rutynowymi sprawami, którymi ksiądz się zajmował, czyli spotkaniami ze środowiskami medycznymi, młodzieżowymi, jeździł na różne spotkania z aktorami, gdzieś tam się spotykał, żeby wcześniej omówić jakieś tam sprawy związane z mszą, i ten rok do końca wydawał się już być w miarę spokojnym. Gorącym rokiem okazał się rok 1983, kiedy już rzeczywiście sprawa Mszy za ojczyznę wyszła szeroko i daleko poza granice Warszawy, myślę, i Polski, i kiedy te msze były już jak gdyby kopiowane w różnych innych miejscach, włączali się w to różni inni księża i rzecz stawała się bardzo głośna, no to wtedy rzeczywiście działo się już wiele spraw takich nieprzyjemnych, nerwowych, stresujących. Wtedy też zaczęły się takie historie, że nasze środowisko było już ściśle inwigilowane i dokonywano prób podziałów, takiego rozbijania wewnętrznego, bo zdaje się, że gdzieś komuś wtedy już zaświtał jakiś pomysł w głowie, żeby jednak tych ludzi przy księdzu Jerzym było trochę mniej. Pojawiali się jacyś nowi ludzie, którzy byli do tej pory... jakoś usuwali się, sami często rezygnowali z udziału w tych pracach, bo no działa się tak, że na przykład ktoś przysyłał anonim, że ten czy tamten może się okazać wtyką, może być jakimś ubekiem, może współpracować, ktoś go tam widział, ktoś go tu widział, no i tak się niestety działo, że mnóstwo tych ludzi dotkniętych takimi pomówieniami wycofywało się. Ci twarde nie robili sobie z tego nic i trwali. Ja osobiście trwałem tak sobie do 1984 roku, gdzieś do czerwca. Czyli brałem aktywny udział przy organizacji mszy, przy wszystkich sprawach związanych z akcjami, w których uczestniczył ksiądz, bo tam, w tym miejscu, odbywały się spotkania z opozycją, organizowaliśmy na przykład ochronę Bujaka, kiedy się spotykał z księdzem Jerzym, ochronę spotkań z Wałęsą, kiedy to trzeba było robić przeróżne sztuczki, żeby do takiego spotkania doszło. Wtedy, pamiętam, ku mojemu zdumieniu... Ja byłem przekonany, że gdzieś uczestniczę w ochronie Wałęsy, i po jakiejś dłuższej rozmowie i oczekiwaniu okazało się, że jak się nam pan przedstawił, to był to Stanisław Wałęsa, czyli brat zrobiony identycznie, a myśmy go po prostu gdzieś tam w jakimś miejscu z nim tkwili po to, żeby przywiązać uwagę służb, że oto on jest tu, tymczasem spotkanie z Wałęsą się de facto już odbyło, więc to trzeba było... zostało ustalone, Wałęsa gdzieś tam wyjechał, wychodząc tylnym wyjściem z terenu kościoła.

Anna Pietraszek: A pan brat był tak podobny?

Adam Nowosad: Tak. Stanisław był bardzo podobny i zrobiony zresztą identycznie, wtedy takie wąsiska, mało mówił, więc myśmy byli przekonani, że pilnujemy Wałęsy. De facto zresztą Wałęsy, ale nie tego. Co warto jeszcze wspomnieć? Bo zacząłem ten wątek o tym swoim udziale. Otóż ja brałem taki aktywny udział rzeczywiście do roku 1984, gdzieś tak do czerwca, w międzyczasie podejmując się wielu też takich

dyżurów nocnych, to jest taka ciekawa historia, którą ja bardzo sobie wspominam, pamiętam i ze wzruszeniem do tego wracam, bo dyżury nocne były taką okazją do porozmawiania z księdzem Jerzym. Zawsze wtedy, kiedy coś się działo, były tłumy ludzi, no to jak już tam udawało nam się około dwudziestej trzeciej jakoś im podziękować, przeprosić, pożegnać, to ksiądz, zostając sam z nami, z niewielką grupą ludzi czasami, jedna, dwie osoby, no to wtedy był ten czas na prywatne rozmowy. Siadaliśmy sobie i zaczął pytać, „co tam u ciebie, co tam, jak rodzina, jakie masz problemy, co się dzieje, co cię gnębi, co cię nurtuje”, ale to w tym sensie, żeby dowiedzieć się, co człowiekowi jest potrzebne. No i rzeczywiście, otwieraliśmy się, było wiele takich rozmów bardzo prywatnych, również na tematy wiary, bo sam się do tego przyznaję, że wtedy, kiedy przychodziłem do księdza, to w kościele byłem gościem, bardzo dumnym z tego, że jestem na mszach comiesięcznych, ale już rzadziej mi się udawało zaglądać na msze cotygodniowe do swojej parafii. I wtedy właśnie też udzielił mi takiego upomnienia, mówi: "Kochany, Żoliborz Żoliborzem, pamiętaj, że powinienes uczestniczyć w mszach w swojej parafii, bo to jest twój dom, to jest twoja rodzina. To, że przyjeżdżasz tutaj do nas, tu jesteś gościem, pomagasz nam, ale pamiętaj, że masz rodzinę i to się nazywa parafia". Zapamiętałem to bardzo dokładnie, później już starałem się żyć również życiem parafialnym. W czerwcu te wszystkie historie przesilenia, jakieś takie stany napięć, były już męczące. Ubecy stawali do głowy i rzeczywiście dochodziło do tego, że coraz częściej byliśmy skłóceni, po prostu działy się różne dziwne rzeczy, których nie rozumieliśmy. Było na przykład tak, że były pomieszczenia zamykane gdzieś na klucz, do którego to klucza miały dostęp, powiedzmy, dwie osoby. I nagle coś ginęło. Ginęły pieniądze, ginęły jakieś dary, ginęły jakieś dziwne rzeczy. No mnie to dotknęło, powiedziałem, że to chyba tak nie może być. I poprosiłem wtedy księdza o taką rozmowę prywatną, takie spotkanie, i opowiedziałem mu, że źle się czuję, że, nie wiem, być może to nie pasuje do tego środowiska, że są tam jakieś animozje, że może ktoś tu komuś jest niepotrzebny, niewygodny, że w takim razie to ja bym prosił, żebym ja już nie przyjeżdżał, że w tym układzie, jak tam będę do czegoś szczególnie potrzebny, to może tak. Po prostu wysiadłem psychicznie, doszedłem do wniosku, że nie chcę uczestniczyć w takich żenujących wydarzeniach, jakieś posądzania, jakieś historie. Dobrze, ksiądz podeszedł do tego ze zrozumieniem, mówi „spokojnie, nie przejmuj się, to już tak jest, ja przywykłem, ale rozumiem tego typu stany, bądź dobrej myśli, będziemy w kontakcie, spokojnie”. Kilka dni później, po takiej rozmowie, zadzwonił, poprosił jednak o to, żebym przyjechał, i mówi: "Słuchaj, źle się dzieje, jestem w tej chwili już maltretowany niemalże, ciągnany na przesłuchania, grożą mi, a mam tutaj spory zbiór swojej dokumentacji, różnych rzeczy, które chciałbym ukryć. Chciałbym, żebyś się tym zajął". No i dobrze, poprosiłem jeszcze kolegę, pomagał nam w tym też Waldek, spakowaliśmy te jego wszystkie rzeczy w takich, pamiętam to dziś, dziewięć podobnych do tych, które tu stoją, pudeł i ja to

zacząłem wywozić wieczorami w różne miejsca. Byłem jakby jedyną osobą, która wiedziała, gdzie to jest. Tak się umówiliśmy, że nikt inny nie może wiedzieć, po prostu dlatego, żeby nie doszło po jakieś nitce do kłębka. I ja to w różne rzeczywiście miejsca rozwoziłem, ukrywałem, jednym mówiąc, co to jest, innym nie, że to jest jakaś tam moja... moje rzeczy, które tam proszę przechować, to ja w swoim czasie odbiorę. I wtedy umówiliśmy się z księdzem, jak już to wszystko rozwiozłem, zakonspirowałem, że rzeczywiście, mówi, jakiś czas zniknij z pola widzenia, bo będą cię śledzić, będą chcieli wiedzieć, gdzie to jest. I tak się stało. Od czerwca ja już przyjeżdżałem tylko na msze, nawet nie uczestniczyłem w ich organizacji, tylko zwyczajnie uczestniczyłem sobie jako osoba postronna, ale gdzieś tam z terenu parafii jakby, gdzieś na terenie kościelnym. Dziś żałuję, bo wiem, że o to chodziło właśnie tym, którzy mieli taki pomysł, żeby osłabić, żeby księdza zestresować, że ludzie się boją przy nim być, że uciekają od niego, że robi się niedobrze. Ale z drugiej strony po dziś dzień mam satysfakcję i pewnie będę ją miał po ostatnie dni, że był to jednak akt zaufania, że powierzenie tych rzeczy mnie było, tak sądzę, wyróżnieniem. Co jeszcze w związku z tymi materiałami? Oczywiście znamy wszyscy te historie losów księdza, kiedy tam ważą się jego dzieje, kiedy wiadomo, że ma wyjechać, nie wyjechać, że tam miał być aresztowany, nie aresztowany, ta cała historia z ulicą Chłodną. Oczywiście brałem udział w każdym z tych wydarzeń, jako że byłem przy Waldku tą jedną z bardzo małych ekip. Waldkowi pomagali jeszcze synowie, ale to też sporadycznie, Krzysio, bo był starszy, Piotruś już mniej, no i ja, kiedy tylko mogłem, to się tam angażowałem. Co takiego z tymi dokumentami się działo? Otóż, kiedy zapadły decyzje, wbrew temu, co się dzisiaj mówi, że ksiądz zostaje, to jest nieprawda. Z całą pewnością poprosił mnie o zwrot wszystkich tych rzeczy, dlatego że chce dokonać przeglądu, zniszczenia tego, co jest niepotrzebne, a pozostawienia tylko tego, co jest naprawdę istotne, tak żeby się mógł spakować, bo będzie wyjeżdżał, a więc zabierze tylko rzeczy najbardziej dla niego wartościowe, te takie istotne. Bo tam były przeróżne historie, były jakieś dary, które tam księdzu przynosili, osobiste pamiątki, było mnóstwo dokumentacji związanej z podziemiem, bo taką dokumentację ksiądz przechowywał u siebie. I jest jeszcze jeden taki szczególny wątek, który dotyczy jednego pudełka, na które ksiądz zwrócił moją uwagę i poprosił mnie, żebym to zakonspirował szczególnie starannie i żeby naprawdę nikt poza mną nie wiedział, gdzie to jest i co tam jest, bo to są jego najważniejsze rzeczy, osobiste pamiątki, między innymi, jak się później okazało, był tam list od papieża, takie błogosławieństwo, które otrzymał, jego prywatne notesy, w których były adresy wszystkich ludzi, z którymi się kontaktował. Ja to wiem oczywiście dopiero po czasie, bo wcześniej wiedziałem tylko, że jest to bardzo ważna rzecz. Wyjął jedną, jedyną historię z tej paczki, swoje zapiski, takie, które prowadził każdego dnia lub co jakiś czas cyklicznie w nadziei, że to się jeszcze przyda. Mówi: "Wiesz, to to jeszcze mi się przyda, bo rzeczywiście, jeśli coś umknie uwadze, wolę to mieć przy sobie, będę tego pilnował". To

zapamiętałem. I wtedy, kiedy trzeba było zwracać te rzeczy mniej więcej na dwa tygodnie przed tragicznymi wydarzeniami, ja prosiłem ludzi, którym to powierzyłem, o zwrot, po prostu, żeby mi to gdzieś tam przywieźli. I tak się stało. W przypadku ośmiu pudeł one wróciły, wróciły do domu księdza, tam do tych pomieszczeń parafialnych, i jedno nie zdążyło. To najważniejsze było wywiezione poza Warszawę i kolega, którego poprosiłem o zwrot, po prostu nie zdążył. Nie miał czasu, ten dom, w którym to było przechowywane, był w tym czasie niezamieszkały, ktoś tam zachorował, jakaś ciotka, wujek, nie było kluczy. W każdym razie dotarły one do mnie kilka dni po tragicznej wiadomości, kiedy dowiedzieliśmy się, że ksiądz nie żyje. Miałem jakiś problem. Doszedłem do wniosku, że trzeba to zakonspirować jeszcze głębiej i że musi czekać do jakichś lepszych czasów. I kiedy minął już, powiedzmy, rok, drugi, otworzyłem te pudła, wróciły już do mnie do domu, bo znowu kolega, który to przechowywał, już przeprowadzał się do innego pomieszczenia, mówi: "Słuchaj, weź to, nie wiemy co to jest, ale" ... Ja to wtedy otworzyłem i zobaczyłem ku swojemu zdumieniu właśnie, że jest to całe bogactwo. To chyba była najważniejsza rzecz. Były tam wszystkie rękopisy księdza, rękopisy jego kazań, listów do przyjaciół, listów do księży, do swoich opiekunów duchowych, do Kraszewskiego. Słowem całe bogactwo, jego zapiski, myśli. Oczywiście ten notatnik z adresami, z kontaktami, właśnie list od papieża, ten, który tak całował, bo wtedy, kiedy go otrzymał od biskupa Kraszewskiego, to była to ogromna radość. Otrzymał go wraz z różańcem papieskim i był z niego bardzo dumny. No i uświadomiłem sobie, że jest to po pierwsze bogactwo, a po drugie ciągle materiał jakiś bardzo chyba jeszcze poszukiwany przez ludzi, którzy chętnie by pewnie weszli w posiadanie w jakichś tam celach, niekoniecznie dobrych dla pamięci księdza, i dla ludzi, którzy z nim się kontaktowali. Poprosiłem wtedy o radę siostrę Janę, co z takim fantem robić. Poleciała mi, żeby schować głęboko i czekać, żeby nikomu nie przekazywać i nikomu nie mówić. Niemniej jednak mijały lata i ja z tym bogactwem miałem okazję obcować, miałem możliwość zapoznać się z tymi myślami, z tymi zapiskami, ale zbliżał się czas procesu beatyfikacyjnego, zawiązano postulację i wtedy ogłoszono, że ktokolwiek posiada jakieś takie rzeczy, żeby je przekazać. No cóż, poprosiłem ponownie siostrę Janę o jakąś radę i wtedy zebrała się u mnie w domu jakaś taka komisja z osobami ze Stanisława Kostki z Żoliborza, siostra Jana, ktoś jeszcze, ktoś jeszcze, kilka osób. No i wspólnie uradziliśmy, że nie jest to jeszcze ten czas, kiedy te dokumenty powinny trafić do Kościoła, bo nie jest pewne, na jakim etapie, jak będzie toczył się ten proces. I jakoś ta siostra Jana obiecała, że ona mi powie sama, kiedy. Natomiast dokonaliśmy wtedy już takiej kwerendy właśnie przeglądu tego wszystkiego, obejrzelśmy, siostra uznała, że są to relikwie, że trzeba w takim razie już bardzo ich strzec i dbać o nie. I jakiś czas później dostałem telefon, mówi: "Słuchaj, spotkaj się z księdzem Kalwarczykiem i rozmów z nim, czy on to widzi już, czy jest taka w tej chwili dogodna sytuacja, żeby to przekazać". Tak zrobiłem. Udałem się na ulicę Miodową

do księdza Kalwarczyka, powiedziałem mu o tej historii, wyraził zdumienie, po czym zaciekawienie, niedowierzanie, no ale mówi: "Skoro tak jest, to przynieś, to zrobimy jakąś komisję, ja to przejmę, zobaczymy, co tam jest, co jest warte, co nie jest warte". I jakoś tak dziwnie starał mi się zasugerować, że nie powinno to ujrzeć światła dziennego, bo nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę jest w tym pudle, i mówi: „Nie chcielibyśmy, żeby było coś, co mogłoby zaszkodzić księdzu Jerzemu”. I tu mi się przypomina ta twoja historia o teczkach, które są świadectwem świętości. I wtedy ja powiedziałem: "Proszę księdza, po pierwsze, oglądała to już siostra Jana, po drugie, zapewniam księdza, że gdyby, nie wiem co, nie jesteśmy w stanie znaleźć tam czegośkolwiek złego, co mogłoby być niedobre, szkodzić księdzu, bo po prostu jest to niemożliwe. To był taki człowiek, że można zupełnie spokojnie te dokumenty przejąć i nadać im jakiś bieg, jakąś rangę, bo sądzę, że przydadzą się w procesie beatyfikacyjnym”. No dobrze, umówiliśmy się, że ja przywiozę te dokumenty, że będzie jakaś grupa ludzi, która to przejmie, posegreguje, dostanę jakieś tam poświadczenie. No i pojechałem na ulicę Kanonia, do domu księdza kanclerza, i ku głównym zdumieniu, była tam tylko jedna pani, otworzyliśmy pudło, ksiądz dokonał takiego pobieżnego oglądu, zamknął i mówi: "Dobrze, ja dam ci takie zaświadczenie, że to zostało przekazane, my to w spokoju sobie przejrzymy i poświadczymy wtedy, że to tam wszystko jest tak, jak należy, zgodnie z tym, co mówiłeś". No, ja jeszcze zostawiłem kserokopię, którą zrobiłem sobie na faksie, żeby nie wychodzić z tym z domu, to, co się udało skopiować, zwłaszcza rękopisy księdza, na faksie, i poprosiłem, że jeśli byłoby cokolwiek nie tak, to bardzo proszę, żeby to w takim razie usunąć, nie mniej jednak, jeśli wszystko jest zgodne z duchem wymogów procesu, to prosiłbym o kserokopię dla siebie, na pamiątkę, jak również po to, żebym mógł te rzeczy w przyszłości, kiedy będzie na to zgoda i będą takie możliwości, publikować. Czyli rozprawiać nieodpłatnie. Zazaczyłem, że są to rzeczy, które moim zdaniem powinny ujrzeć światło dzienne i powinny trafić do ludzi, jednak nie wolno na nich zarabiać. Złożyłem takie wyraźne zastrzeżenie, uzyskałem zgodę, że kserokopię otrzymam, przekazałem również ksero tego faksu, właśnie po to, żeby ksiądz miał świadomość, że nie zostawiłem sobie nic, a rzeczywiście nie zostało w moim domu nic poza jedną malutką karteczką z jednym zdaniem księdza Jerzego, które potraktowałem tak osobiście bardzo. Ja mam jego różne inne tam pamiątki oczywiście, wpisy, jakieś życzenia, jakieś książki, ale to jedno zostawiłem dla siebie. Stało się inaczej. Materiały gdzieś przepadły, są poza moim zasięgiem, później dowiedziałem się, że są w postulacji procesu, że były uwzględnione, że znalazły się w Rzymie w tym opracowaniu końcowym. Ale...

Anna Pietraszek: A kto powiedział, że przepadły?

Adam Nowosad: W tym sensie przepadły, że jakiś czas nie było wiadomo, co się z nimi w ogóle dzieje.

Anna Pietraszek: A ksiądz Kalwarczyk nie wiedział, gdzie są?

Adam Nowosad: Nie, ksiądz Kalwarczyk wiedział, bo przekazał to, co uznał za stosowne, do...

Anna Pietraszek: Do procesu.

Adam Nowosad: Do procesu. Natomiast ja prosiłem o to, żebym mógł w tym uczestniczyć. Bo zwyczajnie byłem zainteresowany dalszymi losami tych rzeczy.

Anna Pietraszek: To w dwa wtręty zostawiłeś sobie jedno zdanie. Co to było za zdanie?

Adam Nowosad: Wiesz, w tej chwili nie... "Posyłam was"... To było coś takiego do pielęgniarek, jakaś taka historia, nie potrafię przywołać z pamięci. Jedno zdanie.

Anna Pietraszek: Czyli po prostu relikwię sobie zostawiłeś.

Adam Nowosad: Taka relikwia, wiesz. "Posyłam was, zapewniam o modlitwie, życzę powodzenia". Coś takiego, z podpisem księdza Jerzego. Tak maluteńka karteczka, którą do dziś przechowuję. To tak co do tego szczególnego depozytu. Dlaczego czułem się taki związany? Bo widzisz, to wszystko, co się wydarzyło później, było przypadkiem. Nikt nie mógł sobie zaplanować, nikt nie wiedział, że tak się stanie, że akurat to jedno pudło nie dotrze, że będę w nim tej rangi rzeczy i że będę mógł tak długi czas z tym obcować. Zrozumiałem, że jest to jakby taki mój depozyt, depozyt ducha, że to, co tam było, zostało we mnie, ale chciałbym móc mieć z tym jakiś kontakt fizyczny, czyli bodaj obcować w postaci kserokopii.

Anna Pietraszek: Ale muszę dopytać, te kserokopie na faksie zrobione zatrzymałeś u siebie?

Adam Nowosad: Nie, nie, nie, nie. Zostawiłem je razem z tymi dokumentami...

Anna Pietraszek: Wszystko razem, razem z kopiami?

Adam Nowosad: ...prosząc księdza, że jeśli tam jest wszystko w porządku i nie znajdzie się nic, co byłoby niedobre dla postulacji procesu dla księdza, to niech wyjmą to, co jest niedobre, i niech mi resztę oddadzą. Oczywiście nie stało się tak, dostałem takie lakoniczne zaświadczenie jakiś czas później, że przekazałem taką rzecz tam, którą ksiądz Jerzy przekazał mi w stanie wojennym na przechowanie, no i ona się teraz odnalazła, i tyle, że jest to pudło z jakąś dokumentacją. No przechowuję sobie to zaświadczenie, ale również przechowuję ten żal, że nie mam już kontaktu z tym materiałem.

Anna Pietraszek: Czy w tym wszystkim, w tych dziejach tego pudła i tego początku procesu, czy się pojawia ksiądz Czajkowski?

Adam Nowosad: Nie umiem tego powiedzieć. Wiesz, jest jedna taka cecha, którą myśmy tam się kierowali. Nie znaliśmy się nawzajem. To na tym polegało. Księża, jeśli przychodzili, no to wiedzieliśmy tylko, że jest to ksiądz. Przyjaciele księdza, czyli tak naprawdę niewielu, dzisiaj się mówi, dzisiaj jest całe mnóstwo przyjaciół księdza, tak naprawdę było ich niewielu, ja do nich zaliczałem księdza... oj, takiego kapelana wojskowego, Bogdana Liniewskiego, bo widziałem ich spotkanie, jak się rzucali sobie w ramiona i się obejmowali, "kopę lat", cieszyli się, że się spotykali, i takim częstym gościem był ksiądz Przekaziński, który też cieszył się taką dużą sympatią i zaufaniem księdza Jerzego, rzeczywiście był to taki ktoś, kto bywał często. Ksiądz Czajkowskiego... być może tak. Naprawdę, tam w ciągu jednego dnia, kiedy byliśmy na dyżurze, potrafiło się przewinąć, powiedzmy, kilkadziesiąt osób. Kilku, kilkunastu księży. Wiesz, nie sposób...

Anna Pietraszek: Wzrokowo, jak go później przez wiadome sprawy widziałeś...

Adam Nowosad: Nie, nie, nie. Ja księdza Czajkowskiego dopiero pamiętam... Znam tę historię, o której myślisz, dopiero z tych jego sławnych wystąpień telewizyjnych, ale ja go tam nie kojarzyłem, po prostu nie. Myśmy się w ogóle starali nie fraternizować, w tym sensie, że nie wchodziliśmy w jakieś takie zażyłe kontakty z innymi ludźmi, którzy tam się pojawiali. Oczywiście ci z hutników czy też robotników innych tam zakładów, którzy tam bywali często, no to siłą rzeczy się znaliśmy, byliśmy po imieniu, ale też nie wiedzieliśmy, jak się kto nazywa na przykład. Było takie zalecenie, żebyśmy się nawzajem po prostu niepotrzebnie nie wystawiali na ryzyko, że w razie aresztowania nie wiemy, o kim mowa. I to nam zostało. Jeszcze mieliśmy takie inne polecenie księdza, nie afiszować się, czyli nie pozwalać się fotografować. Ja bardzo konsekwentnie się starałem nigdy się nie znaleźć na żadnym zdjęciu. Gdzieś tam parę podobno istnieje, ale rzeczywiście jakoś tak... Dla naszego bezpieczeństwa. Bo musisz wiedzieć, że jeśli ksiądz Jerzy się o coś bał, to bał się właśnie o nas, o to, żeby nam się nic nie stało. Każdy miał przecież rodzinę, jakieś małe dzieci, czymś się tam zajmował. Starał się o to, żeby nas chronić i dlatego tak często nas przestrzegał, żebyśmy nie wdawali się w niepotrzebne historie, żebyśmy unikali jakichś scysji, bo było tak często, że przecież na mszę przychodziła jakaś tam agentura, taka czy inna, próbując dokonać jakichś tam prowokacji. No to kilkakrotnie dochodziło do takich historii, że o mały włos mogło się zacząć coś dziać. To wtedy ksiądz wysyłał...

Anna Pietraszek: Ale co masz na myśli, co mogło się zacząć dziać?

Adam Nowosad: Rozróżba zwyczajnie. Bo dochodziło do takich przepychanek, szarpanin, ktoś tam może wejść, ktoś nie może, ktoś chce, bo się domaga. Wtedy, kiedy coś takiego do nas docierało, to któryś z nas, myśmy mieli taki swój sztab dowodzenia zawsze na górze, tam w tej dużej salce parafialnej, obserwowaliśmy otoczenie, jeśli widzieliśmy, że coś takiego się dzieje, to ktoś biegł i uspokajał, czyli jak gdyby w zarodku taką historię gasił. Bo trudno tu się dziwić, nawet wtedy już istniała bardzo silna służba porządkowa zorganizowana przez hutników i robotników innych zakładów no i oni, jak to ludzie, potrafili być również krewcy, więc jeśli ktoś ich tam usiłował przepchnąć, wypchnąć czy dyskutować, no to potrafili stawiać jakiś taki opór, sprzeciw, usiłując wprowadzić porządek. No nie o to chodziło, myśmy zawsze później się naradzali, że to nie, że delikatnie, że ustępujemy, bo wiedzieliśmy dokładnie, że do takich prowokacji może dojść. Więc byliśmy instruowani, żeby takie rzeczy gasić w zarodku. Teraz tak, utraciłem wątek. Gdzieś byliśmy przy...

Anna Pietraszek: Przy księżach i przyjaciółach, i że dużo ludzi przychodziło.

Adam Nowosad: No właśnie, tutaj bardzo nam wtedy pomagała rodzina Śpiewaków, pamiętam stąd ich tak dobrze, stąd ich wspominam. Bo często było tak, że po prostu nie miał kto usiąść na tej bramce. Tam było wejście na górę do księdza Jerzego i jeśli się zbierał duży tłum ludzi, no to trzeba było kogoś, żeby siedział na dole i jak ten Cerber strzegł, że nie, że to, że tamto, że regulować ruchem, że... To bywało tak, że myśmy nawet wydawali jakieś takie numerki, gdzieś tam masz numerek taki, to za jakiś czas dopiero. I wtedy, kiedy było bardzo gorąco, no właśnie zawsze dzwoniło się do rodziny Śpiewaków i któryś przybiegał.

Anna Pietraszek: A co to była za rodzina?

Adam Nowosad: Ja też ich nie znałem, znałem ich stąd... Oni się zgłosili. Oni się po prostu zgłosili...

Anna Pietraszek: A ilu ich było?

Adam Nowosad: Tata i dwóch chłopaków. Oni się zgłosili, że chcą coś tutaj robić, to było tak zabawne, właśnie ja to dlatego zapamiętałem, bo zgłosili się i powiedzieli, że przyszli do księdza, ja mówię: "Dobrze, jak nazwisko?" - "Śpiewak". No to ja, niewiele myśląc, mówię, dobrze, to zaczekajcie... proszę poczekać, bo to przyszedł tata, ci dwaj synowie stali tak troszkę dalej, ja do księdza: "Proszę księdza, przyszedł ten śpiewak na mszę, co to... Ja wiem, że ksiądz nie ma czasu, ale to na pewno w związku z mszą". Mówi: "Tak? A który śpiewak?". Ja mówię: "No nie wiem, powiedział, że śpiewak". Ksiądz się zadumał, mówi: "no dobrze, prosz". No i przychodzą wtedy panowie Śpiewacy, i ksiądz się roześmiał od

ucha do ucha, i mówi: "No wspaniale, że jesteście, no to spróbujcie tam pomóc Adamowi, bo słyszę, że jest jakoś dzisiaj sporo ludzi". Stąd tak sobie zapamiętałem to nazwisko. Bo wcześniej, jak mówiłem, nazwisk żadnych nie zapamiętywaliśmy, nie kojarzyliśmy. Stąd ta znajomość. I później, ja ich pamiętam, oni stawiali się zawsze wtedy, kiedy potrzeba, właśnie kiedy był dyżur nocny, a nie było chętnych, bo tak było często, że gdzieś tam ustawili, ci hutnicy sobie jakieś plany i komuś coś tam wypadało, nie było kogoś, i wtedy trzeba było jechać... jechał ten, kto miał wolne, był tam najbliżej pod telefonem. Mnie się to zdarzało bardzo często i bardzo często właśnie sam na sam. Dlatego myślę sobie, że jestem jedną z tych niewielu osób, które mogły księdzu powierzyć trochę dziurę różnymi dociekliwymi pytaniami, najczęściej właśnie teologicznymi.

Anna Pietraszek: A możesz coś zdradzić?

Adam Nowosad: Z tych teologii?

Anna Pietraszek: No, o czym żeście rozmawiali.

Adam Nowosad: Wiesz, ja pamiętam wiele takich rozmów. Ja staram się teraz pisać. Kiedyś, nie tak dawno temu, a może już dawno, w 2007 roku, jakaś młodzież z Radia Maryja też poprosiła mnie o to, żeby powiedzieć im trochę o księdzu, a ja im wtedy zwróciłem uwagę, że mniej chętny jestem do rozmowy o tym, jaki był ksiądz, co się tam u niego działo, zwłaszcza, jak przebiegały takie czy inne wydarzenia, no młodzież siłą rzeczy jest ciekawa takich spraw. I ja ich uczuliłem raczej, żeby szukali odpowiedzi na to, co dla nich jest najistotniejsze, jakie jest przesłanie księdza Jerzego do nich dzisiaj, co oni są w stanie z tego zrozumieć. I spotkaliśmy się u mnie w domu, i zacząłem sobie taką z nimi rozmowę, jak kojarzą. Oczywiście część z nich twierdziła, że to jest przecież bohater, że jest to wielki człowiek, że jest to niemalże jakiś tam wyzwoliciel od komunizmu, że postać spiżowa, że to, że tamto, ale ani słowa o przesłaniu. Mówię: "Ale czym on do was dzisiaj dociera? Bo to, że go tak postrzegacie, no dobrze, no macie takie źródła historyczne, tak się tego księdza pokazuje do dzisiaj, tylko co takiego zrozumieliście, co jest dla was najistotniejsze?". No i wtedy właśnie, bezbrinnie się poddając, stwierdzili: "No to niech nam pan powie, bo nie mamy takiego jasnego obrazu". Oczywiście to jest jakieś wyzwanie, niemniej jednak ja zacząłem wtedy z nimi rozmawiać o tym, co to jest wolność, jak wam się kojarzy ta wolność. Pokazałem im z "Listu świętego Pawła do Galatów" kilka takich cytatów, którymi ksiądz się posługiwał. "Postępujcie według ducha, a nie spełniajcie pożądania ciała. Ciało bowiem do czego innego dąży niż duch, a duch do czego innego niż ciało. Stąd nie ma między nimi zgody. Tak że nie czyńcie tego, co chcecie". I dalej jest: "Jeśli jednak pozwolicie prowadzić się duchowi, nie znajdziecie się w niewoli prawa". No i zaczęliśmy

dyskusję o tym, co to jest wolność. Więc ja mówię to, co mnie ksiądz osobiście opowiadał też, bo ja byłem takim człowiekiem ciekawym wszystkiego, również świata i wydarzeń, brałem udział we wszystkich demonstracjach stanu wojennego, później, po stanie, gdziekolwiek się działo, to ja tam byłem i gdzieś tam się angażując w takie różne rzeczy, biłem o tę wolność. Ksiądz mnie zawsze przestrzegał, bo później, po takich demonstracjach, leciałem pierwszy do księdza z relacją, on oczywiście nigdy, przenigdy nie wyszedł, nie był na żadnej demonstracji, nie brał udziału w żadnym tego typu publicznym zgromadzeniu i przestrzegał mnie, mówi: "Masz dzieci, masz żonę. To nie tędy droga. Chodząc z kamieniami po ulicach, niczego nie osiągniesz. Staraj się raczej zająć sobą. Zacznij od tego, co jest w tobie". I wtedy mi uświadamiał, że przecież zło dobrem zwyciężać to właśnie zacząć od siebie, czyli zrozumieć, co to jest dobro, zrozumieć, co to jest zło, i zacząć żyć dobrem. Czyli żyć Ewangelią, żyć tym wszystkim, co chroni człowieka przed tym, żeby nie uwikłać się w niewolę tego prawa, o którym wspominałem. Bo cóż to takiego jest? Człowiek, jeśli będzie podejmował ryzykowne działania, będzie ulegał nałogom, będzie wdawał się w jakiejś historie, on nawet mówił... Bo ja mówię: "Księżu, ale przecież bijemy się o coś bardzo ważnego dla Polski". A on mi mówił: "Słuchaj, jaka ta Polska będzie, to nie wiemy, ale na pewno będzie lepsza, jeśli wy będziecie rozumieli, że najpierw zacznijcie się bić o siebie, o to, żebyście wy zaczęli żyć prawdą, żebyście poznali prawdę". Tym mnie inspirował, tym mnie jakoś zachęcał do działania w tym kierunku. To wtedy ja po raz pierwszy dostałem od niego "Nowy Testament", bo mówi: "Nie wyglądasz mi na takiego, który by Stary przeczytał, ale masz tutaj Nowy i szukaj w nim tego, co będzie mogło cię prowadzić ku wolności, i przestań mi biegać po tych ulicach, przestań się narażać, narażać swoją rodzinę, tylko zajmij się tym, co jest naprawdę istotne". I ja to samo zacząłem tłumaczyć młodzieży. No i oni wtedy byli bardzo ciekawi właśnie: "zło dobrem zwyciężać". Oni to rozumieli troszeczkę inaczej, tak dość potocznie, jak to się zwykle przyjmuje, że jeśli nadstawię drugi policzek, to właśnie jak gdyby jestem ten dobry i temu złemu pokazałem, że nie tędy droga. No dobrze, tylko że to nie jest cała prawda i też nie o to chodzi. I to wiesz, starałem się jakoś im tam napisać w kilku słowach na kilku stronach, które gdzieś tam noszę, gdzieś tam staram się co jakiś czas przywoływać. Bo przy takich kwestiach jak "zło dobrem zwyciężać" trzeba pamiętać też, co to jest zło. Bo poznanie dobra jest jeszcze jakąś sprawą dość prostą, natomiast już poznanie zła wydaje nam się takie oczywiste, a tymczasem zło to szatan z całą jego potęgą, jego inteligencją, przemyślnością działania, z którą my, ludzie, nie jesteśmy w stanie sobie sami poradzić. A więc żeby to zło zwyciężać, tak naprawdę trzeba przylgnąć do dobra, czyli przylgnąć do Chrystusa, przylgnąć do tego, czego uczył nas Chrystus. Tam są źródła i tam są początki tej nauki walki ze złem. Więc mówię młodzieży, że to dzisiaj chyba, na te czasy, też możecie od tego spróbować. Rozpoznać dokładnie te pojęcia, jak również pojęcie miłości. Mówi się,

że Bóg jest miłością, a przecież wiemy, że dzisiaj jest to trywializowane i odmieniane na tyle sposobów, że tracimy w końcu rozumienie tych pojęć. Wydaje nam się, że miłość, no to zrobiłem coś dobrego, fajnego, to dobrze, już wiem, co to jest Bóg, miłość. Ja mówię krótko, jeśli Bóg jest miłością, dobrze, zacznijmy od tego, ale pamiętajcie, że Bóg jest niepojęty. Więc zrozumieć pojęcie "miłość" to też jest jakieś zadanie na wasze życie. I próbowałem im pokazywać, że ksiądz Jerzy tak naprawdę zostawił im mnóstwo takich zadań na ich życie i że teraz do nich należy, żeby oni umieli sobie te zadania jakby poukładać, rozpoznać i zacząć iść tym tropem.

N0248_kr_FINAL_2_8

Adam Nowosad: ...na czele jakiegokolwiek tłumu, nigdzie nie chodził, nawet jak szedł na te msze do Hut, to był tam prowadzony przez kilka osób, skromnie, wystraszony przecież, że się dzieje coś tak wielkiego. Ja widziałem we fragmentach tylko, z urywków tego filmu, że pokazuje się go na tle, rzesz ludzi, jak gdyby na czele. Nie. Mnie bardzo przestrzegał, ja zdziwiony zadałem mu takie pytanie: "A dlaczego ksiądz nie pójdzie?". Mówi: "No właśnie pomyśl. Dlatego, że nie tędy droga".

Anna Pietraszek: Ale na demonstrację, tak, że nie pójdzie, tak?

Adam Nowosad: Tak. Nigdy, oczywiście. Nie, nie, nie. Oczywiście, jak był pogrzeb Grzesia Przemyka, no to siłą rzeczy szedł w kondukcje gdzieś tam.

Anna Pietraszek: Ale poprowadził milczący kondukt.

Adam Nowosad: Tak, oczywiście.

Anna Pietraszek: I zapanował nad ludźmi.

Adam Nowosad: Oczywiście, że tak. Ksiądz Jerzy, jak wszyscy wiemy, udał się w swoją ostatnią podróż do Bydgoszczy i tam, pomimo kiepskiej kondycji, bo gorączkował, przygotował sobie jakieś dość płomienne kazanie na jakieś tam tematy związane z dziejącymi się wydarzeniami. Miał też świadomość, że chyba żegna się już z przyjaciółmi, bo do Bydgoszczy jechał jak gdyby, realizując swoje zobowiązanie, że będzie tam na pewno, bo obiecał to któremuś z tych księży, któremuś z tych, którzy go tam zapraszali. Pojechał do Bydgoszczy z jakimś kazaniem i dowiedział się w którymś momencie, że nie będzie mógł wygłosić kazania, bo był telefon z kurii i kuria poprosiła, żeby ksiądz Jerzy nie wygłosił kazania. No dobrze, zapadła jakaś tam podobno konsternacja, ksiądz Jerzy się zmieszał, ale mówi: "No, mimo wszystko, skoro już tu jesteśmy, to we mszy biorę udział, może później jakoś spotkam się z tymi ludźmi, którzy będą chcieli

mnie słuchać". I to się zrodziło dość spontanicznie. Po mszy nagle ksiądz zainicjował różaniec. Tak, w ramach takiego kontaktu z ludźmi, którzy przywitali go ogromnymi brawami, no chcieli to usłyszeć, chcieli, żeby coś powiedział, to wtedy powiedział: "To pomódlmy się w takim razie wspólnie". No i wiesz, to jest ten sławny bydgoski różaniec. On był powiedziany rzeczywiście z ducha. Nie wiem, nie mogę tego powiedzieć, ja nie byłem w Bydgoszczy niestety, aczkolwiek miałem być, to jest też opowieść na inną historię. Wtedy powiedział to od siebie, wprost z ducha, i ja twierdzę, że jest to jego osobisty testament, takie pożegnanie. I ja właśnie zwracam młodzieży uwagę na to, że pomimo że o księdzu Jerzym napisano już ogromnie dużo przeróżnych dzieł, jest chyba 140 książek, jakichś opracowań, są prace magisterskie, doktorskie, nie wiem, co tam jeszcze, i że jeśli oni, i my wszyscy zresztą, zaczniemy przez to przechodzić, no to nie sposób, gdzieś tam się pogubimy, bo każdy ma jakieś swoje spojrzenie, każdy ma jakieś swoje wyobrażenie, coś tam napisał, a mówię: "Wy skupcie się tylko na tej jednej rzeczy, testamencie bydgoskim, na tym różańcu bydgoskim".

Anna Pietraszek: A co powiedział? Zacytuj.

Adam Nowosad: "I tam znajdziecie wszystko"... Nie, to też jest długie.

Anna Pietraszek: Ale choć...

Adam Nowosad: Tam znajdziecie wszystko, co chciał wam powiedzieć, co wam pozostawił. Słuchaj, spróbuję, z tym że... aha, mam to tu gdzieś pod ręką. Wielokrotnie nawoływał do tego, żeby zło dobrem zwyciężać, to prawie w każdej z tych tajemnic. "Dziękuję Ci, Matko, za wszystkich, którzy sami walczą ze słabością i umacniają innych". Czyli znowu to, o czym mówiłem, spróbujcie poradzić sobie z samym sobą. "Ten tylko może zwyciężać zło, kto sam jest bogaty w dobro, kto dba o rozwój i ubogacanie siebie tymi wartościami, które stanowią o ludzkiej godności dziecka Bożego". I tak dalej. To w każdej stacji, "zachować godność, by móc powiększać dobro i zwyciężać zło, to pozostać wewnętrznie wolnym, nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia, pozostać sobą w każdej sytuacji życiowej". To znaczyło... Bo jak ja pytałem księdza, co to znaczy właśnie "zło dobrem zwyciężać", to mi tłumaczył: "Jeśli kiedykolwiek uwikłasz się w cokolwiek, w jakiś nałóg, w jakąś zależność, to już jesteś na usługach, już jesteś w niewoli szatana. Jeśli uda ci się zachować tego typu wolność, nie będą ci straszyć ci, którzy będą zmuszali cię do jakichś rzeczy"... Bo może się tak dziać, tak jak dzieje się teraz, wtedy, że są jakieś władze, jest jakiś komunizm, ktoś do czegoś człowieka zmusza. "Natomiast jeśli potrafisz zachować godność dziecka Bożego i nie będziesz w niewoli jakiegokolwiek uzależnienia"... Na to zwłaszcza zwracał uwagę, bo bardzo wszystkich przestrzegał przed uzależnieniami, mówił, że to jest taki sam rodzaj niewoli jak każdy inny. Tak

samo mówił: "Nie podpisuj zobowiązań, których nie jesteś w stanie wykonać, nie zawieraj jakichś umów. To, co się dzisiaj dzieje, ludzie wpadali w pętlę zadłużeń, pobrali kredyty, to jest wszystko to samo. „Bądźcie wolni”. I w każdej z tych stacji nawiązuje do tego. Więc ja prosiłem młodych, żeby oni sami przemyśleli sobie, dlaczego to jest takie ważne. W kolejnej z tajemnic mówi o sprawiedliwości. "Sprawiedliwość wypływa z prawdy i miłości. Im więcej w człowieku jest prawdy i miłości, tym więcej sprawiedliwości". No i teraz mówię, żeby wiedzieć, co to jest sprawiedliwość, trzeba się dowiedzieć, co to jest miłość. Co to jest prawda, to da się zdefiniować dość łatwo, bo jeśli odniesiemy to pojęcie do prawdy ewangelicznej, to jesteśmy w dobrym miejscu, od tego momentu możemy zaczynać poznawać Ewangelię, która, jak wiemy, kiedy poznamy ją, to nas wyzwoli. To jest też nawiązanie. Ważną sprawą dla chrześcijanina jest uświadomienie sobie, że źródłem sprawiedliwości jest sam Bóg. Czyli szukać sprawiedliwości Bożej, niespecjalnie przejmować się tym, co się dzieje na ziemi w tym sensie świeckim, doczesnym, że coś wydaje nam się bardzo niesprawiedliwe, krzywdzące, no to z tym trzeba walczyć metodami świeckimi, jednak trzeba pamiętać, że źródłem sprawiedliwości jest sam Bóg. I tak przechodziliśmy przez kolejne te tajemnice bydgoskie, w których mówił też o słowach prawdziwych i myślach odważnych, znowu, po raz kolejny, „zwyciężać złem dobrem to zachować wierność prawdzie. Prawda, podobnie jak sprawiedliwość, łączy się z miłością”. Czyli cały czas akcentuje tych kilka ważnych rzeczy. I nie trzeba poznać 140 ksiąg o księdzu Jerzym, wystarczy skoncentrować się na tym właśnie bydgoskim różańcu. "Obowiązek chrześcijanina to stać przy prawdzie, choćby miała ona wiele kosztować". Mówi dalej: "Za prawdę się płaci, tylko plewy nic nie kosztują. Za pszeniczne ziarno prawdy trzeba czasami zapłacić". Miał tego świadomość, uczył nas tego. O męstwie, które też i młodzi ludzie, i wszyscy powinniśmy dobrze rozpoznać. Cóż to takiego jest męstwo. Że bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju. Też oczywiście cytuje Ojca Świętego, Prymasa Tysiąclecia, bo taki był sposób katechezy księdza Jerzego, że on opierał się tylko na znanych i uznanych słowach autorytetów Polaków, czyli Ojcu Świętym, Prymasie, i również posiłkował się cytataми z Ewangelii. Rzadko kiedy dodawał coś od siebie, właśnie dlatego, że był szykanowany, zarzucano, że każde słowo, którego użył, mogło stać się pretekstem do oskarżania się. Mówi więc tutaj, że jeśli obywatel rezygnuje z cnoty męstwa, staje się niewolnikiem. Kolejna rzecz, prawda, że nie wolno wpędzić się w niewolę, również tchórząc, czyli idąc na ustępstwa, czyli wycofując się, zamykając się gdzieś tam, oddzielając od tego, co jest istotne, że jeśli dzieje się krzywda komuś, to obowiązkiem chrześcijanina jest pomóc po prostu, bez względu na to, ile przyjdzie za to zapłacić, obowiązkiem jest pomóc. W piątej tajemnicy znowu mamy: „złom dobrem zwyciężać i zachować godność człowieka, ale jednak, aby to osiągnąć, nie wolno walczyć przemocą”. Zawsze przestrzegał i mówił, że nigdy przemocą, a zawsze

sercem i rozumem. Idea, która zdolna jest do życia, podbija sobą, a za nią spontanicznie pójdą inni, pójdą miliony. Dalej przywołał też piękną rzecz o Solidarności, która dlatego tak zadziwiła świat, że nie walczyła przemocą, ale na kolanach i z różańcem w ręku. Był taki piękny czas w dziejach Solidarności, kiedy walczyła na kolanach i z różańcem w ręku. Później, jak wiemy, trochę się to już działo inaczej. Odwoływał się też w tym różańcu do praw osoby ludzkiej, do wolności myślenia, do wolności wyznawania Boga i do wychowywania młodego pokolenia w tym duchu. Czyli przekazał nam to wszystko, czym powinniśmy się kierować, idąc ku lepszemu życiu, po lepszemu społeczeństwu. Zakończył przecież, jak pamiętamy, pięknie: "Módlmy się, byśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzdy odwetu i przemocy". Powiem wam jeszcze taką jedną historię, którą nie wszyscy znają. Otóż był taki czas w życiu księdza Jerzego, kiedy on rzeczywiście bał się. Bał się głównie o to, że naraża ludzi, to prawda, ale widać było po nim, że stresuje się, że jest zmęczony, że rzeczywiście jakby przerasta go to wszystko, co się stało wokół niego, że go to przytłacza. I któregoś miesiąca, nie pamiętam w tej chwili, z pamięci nie potrafię tego przywołać, któregoś dnia pojechał w góry, na Jaszczurówkę, jak dobrze kojarzę, do tych sióstr, które go tam kochały, zapraszały i gdzie się świetnie czuł. I zamieszkał tam w apartamencie papieża. Oczywiście to był pokój, w którym przebywał kardynał Wojtyła wtedy, kiedy gościł tam. Ponoć był to, i do dzisiaj jest, pokój, w którym nic się nie zmieniło, tak jak za czasów pobytu Jana Pawła II. I uwierzcie mi, od tego momentu, kiedy wrócił z Jaszczurówki, był to już zupełnie inny człowiek. On gdzieś napisał w swoich wspomnieniach, ja nie potrafię do tego dotrzeć, to było być może w jego zapiskach, może w jakimś innym miejscu ktoś to publikował, że noc spędzona w tym pokoju odmieniła go na zawsze, że od tego czasu stał się wolny, stał się jakiś taki właśnie pozbawiony stresu, lęku, przestał się bać. Po prostu wyglądało na to, że doszło tam do jakiegoś takiego zawierzenia, że chyba od tego czasu zrozumiał, że skoro jest narzędziem w ręku Boga, to nie ma się już czego więcej bać. Wtedy wrócił zupełnie inny, radosny, taki żywiołowy, taki, jakim go znaleźliśmy wcześniej. Uśmiechał się dużo, opowiadał dużo, znowu był bardzo ciekaw, co tu, co tam. Tak ja kojarzę tę odmianę księdza, i to zdaje się był ten moment, kiedy rzeczywiście był już przygotowany na męczeństwo, na to, co go miało spotkać. To wtedy moim zdaniem się zaczęło. Tam, w tym miejscu, w tym papieskim pokoju. Tak mi się wydaje, że jednak odnalazł tam tego ducha, który później przeprowadził go przez te najgorsze dla niego chwile, przez te najgorsze dla niego momenty.

Anna Pietraszek: A ty go wtedy widziałeś?

Adam Nowosad: Wtedy, kiedy wrócił, tak. Oczywiście, wielokrotnie. Nie potrafię powiedzieć, jaki to był czas, ale to było już tak pod koniec rzeczywiście, wtedy, kiedy ja już mniej, jak mówię... kiedy już

przechowywałem te jego skarby, to archiwum, i mniej widywałem, natomiast jeszcze poza kilkoma wyjątkami ja przyjeżdżałem tam na Żoliborz, żeby w paru rzeczach się... czegoś ode mnie potrzebował, to dzwonił, czegoś ja potrzebowałem, to zaglądałem, ale to już tak prywatnie. I wtedy go widziałem takiego, i pytałem się zresztą swoich znajomych, czy widzą różnicę, no i każdy to mówił, że jest to rzeczywiście zupełnie inny ksiądz. Tak go to odmieniło.

Anna Pietraszek: Ale ty pamiętasz to sam?

Adam Nowosad: Tak, tak, tak, oczywiście.

Anna Pietraszek: To jak byś po swojemu to opisał?

Adam Nowosad: Nie, nie umiem ci powiedzieć dokładnie, kiedy to się działo...

Anna Pietraszek: Nieważne. Ale jak wyglądał?

Adam Nowosad: Natomiast był to inny człowiek, rozświetlony, wyluzowany, spokojny, nie było już wtedy mowy... Bo ksiądz, bardzo często było tak, że przytłoczony tym, co się działo, był spięty, trudno było się z nim skontaktować, jeśli się coś mówiło, to widać było, że myślami jest gdzie indziej, że czymś jest tam zajęty, że potrafił burknąć, potrafił jakoś tak odpowiedzieć krótko, podobno czasami niemile, mnie się nie zdarzało, ale są ludzie, którzy twierdzą, że i tak było. A wtedy, kiedy ja go widziałem już po tym powrocie, z Jaszczurówki, no to był to taki człowiek, jakim go poznałem. Bo wtedy, kiedy znalazłem się tam po raz pierwszy, to był właśnie ksiądz zupełnie inny niż ci, których znałem do tej pory, czyli bardzo taki wesoły, bardzo spontaniczny, żywiołowy w tym, co mówił, w tym, co robił. Potrafił wiele dowcipkować, nie w sensie takim, że był jakimś opowiadaczem kawałów czy jakimś takim rubasznym prześmiewcą, nic z tych rzeczy, natomiast chętnie słuchał jakiegoś dowcipu, lubił się też zrelaksować, lubił sobie pograć w tysiąca na przykład, siadaliśmy wieczorami i graliśmy w tysiąca, bo to była podobno jedyna gra, jaką znał i lubił, zawsze nas namawiał, że jak ktoś tam może zostać dłużej, to jeszcze pograjmy w tysiąca. To był taki ksiądz, który demonstrował radość. A wtedy, kiedy działy się te rzeczy najgorsze, kiedy już było wiadomo, że jesteśmy inwigilowani, że dzieją się tam niesłychane rzeczy, to go przygnębiało, kiedy właśnie dochodziło do tych aktów takiego wzajemnego napuszczania na siebie ludzi, takich donosów, ten to, ten tamto, przychodziły anonimy, myśmy często jeździli, przychodziły takie anonimy, na przykład na księdza Boguckiego, ja takie coś pamiętam konkretnie, oj, straszne jakieś takie, że faszysta, że świnia, coś tam okropnego, że tam niemalże... okropne rzeczy, i ksiądz Bogucki bardzo się tym anonimem przejął. Przyszedł z tym do księdza Jerzego, żeby mu to pokazać. Ksiądz oczywiście zbagatelizował, mówi: "No

przecież nie wolno się tym przejmować, to jest absolutnie... Ile takich rzeczy na mnie przychodzi, to w ogóle trzeba by pominąć", ale dla spokoju poprosił nas, żebyśmy pojechali pod ten adres, bo anonim był podpisany i zaadresowany, żebyśmy pojechali tam i sprawdzili. Oczywiście, że nie istniał taki adres i nie istniał taki człowiek, natomiast efekt, o jaki chodziło temu, który to wysyłał, został wywołany. Później już nie sprawdzaliśmy anonimów. Później jeszcze bywało tak czasami, że ktoś życzliwy przychodził i mówił o kimś, że wie o nim z całą pewnością, że to jest agent, że widział, słyszał, że jest to znane. I kiedyś któryś z nas, nie pamiętam, ja czy Waldek, pojechał w takie miejsce, chyba Waldek, gdzie mieszkał ten człowiek, i znał tam kogoś z sąsiedztwa, i zadał takie pytanie, czy to jest możliwe, żeby ten ktoś mógł mieć jakieś takie związki. Oczywiście okazało się to bzdurą, nikt takiego czegoś nie słyszał, nie widział, no i wtedy też tak jakby skończyło się to zainteresowanie księdza tego typu anonimami, i on oznajmił, że gdyby ktokolwiek jeszcze cokolwiek takiego opowiadał o kimkolwiek z nas, to żebyśmy w ogóle nawet mu o tym nie mówili. Że go to zupełnie nie interesuje, że nie chce o tym słyszeć. Zdał sobie sprawę, że to są pomówienia, że są to jakieś takie próby rozbijackie, i nie chciał z tym mieć do czynienia. Mówi: "Wyrzucajcie takie rzeczy, nie powtarzajcie mi ich, nie chcę słyszeć czegoś takiego więcej, że ktoś się dowiedział, ktoś do was przyszedł i powiedział wam o kimś, że jest tam podejrzany o to czy o tamto". Zupełnie... I taki właśnie był, kiedy już wrócił z Jaszczurówki. Wtedy zupełnie to od niego odpłynęło, to wszystko. Już koncentrował się tylko na tym, co ma jeszcze do wykonania. A w ostatnim okresie swojego życia, ja gdzieś przeczytałem jego wspomnienia z rozmów z przyjaciółmi, w ostatnim okresie cieszył się wyjazdem do Rzymu. Wbrew temu, co się mówi, jego to naprawdę bardzo ucieszyło. To wtedy właśnie poprosił o zwrot dokumentacji, którą przechowywał, i opowiadał: "Tu już nie jestem w stanie za wiele zrobić, bo sytuacja jest, jaka jest, już poradzicie sobie beze mnie, są już jakieś struktury, coś się dzieje, a ja chętnie oddam się w Rzymie Katolickiej Nauce Społecznej", bo to jest tak naprawdę to, czym chciał się zajmować po powrocie. Bo jadąc do Rzymu, kiedy już pogodził się z tymi decyzjami, jakie zapadły, miał taką nadzieję, że właśnie tam poświęci się tej nauce i że będzie bogatszy, mocniejszy i wtedy, już po powrocie, będzie mógł się zająć konkretnie tą sprawą. Chcę też tutaj przypomnieć, bo jest to też taki fakt pomijany, nie wiem właśnie, czy w filmie był, że ksiądz Jerzy przygotowywał nas na inną Polskę. Mówił, że jeśli tak się będą działy sprawy, jak się dzieją, to komunizm wcześniej czy później upadnie. "Tylko co wy z tym zrobicie wtedy, kiedy upadnie? - mówi - Jak będziecie do tego przygotowani, co będziecie w stanie wykonać, kiedy staniecie przed taką alternatywą?". Oczywiście zawsze przestrzegał, że komunizm nie zniknie totalnie, że on się tylko przeistoczy, przeobrazi. To bardzo wyraźnie mówił, że to jest niemożliwe, żeby z dnia na dzień na jeden gwizdek wszyscy komuniści wyjechali z Polski. Oni tu zostaną, oni się przeorganizują, oni będą działali nadal, a wy powinniście się do tego przygotowywać. Wpadł na

taki pomysł, żeby założyć szkołę, taki uniwersytet robotniczy. Może to źle powiedziane: robotniczy, bo był adresowany do tych działaczy Solidarności. Niemniej jednak też dostałem indeks, też dostałem takie polecenie od księdza, żeby uczestniczyć w tych zajęciach i pilnie się uczyć, "bo - mówi - przyjdzie taki czas, kiedy będzie się od was wymagało tej wiedzy". W jego intencji miała tam być właśnie wykładana Katolicka Nauka Społeczna no i tak też się działo przez prawie rok czasu. Myśmy mieli zajęcia w dolnym kościele, przychodzili na wykłady jacyś znani profesorowie, jacyś znani działacze polityczni. Miało to jakiś sens, układało się bardzo dobrze, ale w pewnym momencie ktoś doszedł do wniosku, że nie wolno, wygaszono tę inicjatywę. I to był właśnie jeden z tych powodów... Po prostu z dnia na dzień zlikwidowano, koniec, nie wolno...

Anna Pietraszek: A kto zlikwidował?

Adam Nowosad: Możemy się tylko domyślać, że takie decyzje zawsze wychodziły gdzieś z kurii.

Anna Pietraszek: Ale nie domyślasz się, kto?

Adam Nowosad: Może i się bym domyślał, tylko mówię zawsze, to jeszcze nie ten czas.

Anna Pietraszek: To powiedz jak ktoś, kto się domyśla.

Adam Nowosad: No więc jeśli z kurii wychodziły, to z pewnością gdzieś od jakiegoś kurialisty, prawdopodobnie o tych rzeczach decydował kanclerz.

Anna Pietraszek: Kanclerz Król?

Adam Nowosad: Chyba tak. I byli też jacyś biskupi, którzy nie sprzyjali takim sprawom, nie wiem, którzy... Ja wiem tylko, których biskupów ksiądz Jerzy uwielbiał, takich jak biskup Kraszewski czy nawet Miziołek, który pomimo że był tym opiekunem tego warszawskiego seminarium i nieraz tam coś ostrego potrafił powiedzieć pod adresem księdza, to jednak dla niego zawsze ksiądz miał wielki szacunek i miłość. Ale byli też podobno tacy biskupi, którzy domagali się wręcz wyciszenia tego, co robi ksiądz Jerzy.

Anna Pietraszek: Skorzystam, że to się nagra, co powiem, ale żebyś też wiedział. Pewien dentysta, bardzo ze mną zaprzyjaźniony, tak wygadał się, bo gaduła, że akurat przede mną siedział na fotelu kanclerz Król, i że zażył sobie platynowe protezy. No to tyle. To zostało nagrane.

Adam Nowosad: Do kanclerza Króla to jest jeszcze inna historia, do której też można nawiązać, tylko tak skaczemy z miejsca na miejsce, no ale może się coś... Ale to jest ważne, bo...

Anna Pietraszek: Możesz skakać, to nie jest scenariusz filmowy.

Adam Nowosad: W pewnym momencie... Byliśmy jako grupa modlitewna, założyłem taką grupę modlitewną w jakimś gronie ludzi, mniejsza oto w tej chwili gdzie, która postanowiła modlić w intencji beatyfikacji i propagować modlitwę beatyfikacyjną, to jest taka moja idea fix, którą się zajmuję od lat, też może później opowiem, dlaczego. I ponieważ docierało do nas, że proces ciągle gdzieś tam w jakimś miejscu utyka, że coś tam nie idzie, że coś jest nie tak, że są jakieś trudności, że są jakieś problemy, to postanowiliśmy się dowiedzieć, na czym tak naprawdę te problemy polegają. Udaliśmy się taką grupą, delegacją do księdza Króla, poszedłem ja, Waldek Chrostowski i Maciek Gielecki, to był taki człowiek, który swojego czasu był wojewodą. I usiedliśmy sobie z nim, tam jakoś nas przyjął, i pytamy: "Księżę kanclerzu, w czym problem?". Księżę infułacie, bo to już, zdaje się, tak... "Ano nie mamy pieniędzy" - "A ile tych pieniędzy potrzeba?" - "No nie wiadomo, w grę wchodzi jakaś duża kwota" - mówi. "Nie może, nie idą te prace, bo ciągle gdzieś tam brakuje nam pieniędzy, brniemy w jakieś historie". I wtedy Maciej Gielecki tak od siebie po prostu wyskoczył z propozycją, żeby uciąć tego typu jakieś historie: "To w takim razie my się zobowiązujemy, że dostarczymy te pieniądze w takiej ilości, jakie będą potrzebne do dokończenia procesu tutaj w Polsce". Ksiądz zdziwiony, "No dobrze, skoro deklarujecie, panowie, taką rzecz, no to jest mi bardzo miło, w takim razie działajcie". No my, chcąc nie chcąc, zabraliśmy się do dzieła, zaczęliśmy zbierać te pieniądze, nzbieraliśmy gdzieś tam kilkanaście tysięcy złotych i udajemy się... Oczywiście zobowiązaliśmy się do pokrycia swoim majątkiem każdej kwoty, jaka by wynikała z różnicy, tak żeby nie było już pretekstu, że coś się przeciąga, bo brakuje środków. Odwiedziliśmy jeszcze raz księdza Króla i powiedzieliśmy, że mamy tyle pieniędzy, czy one się przydadzą. Mówi: "Ach, to już wystarczy, to już naprawdę nie ma problemu, w takim razie więcej nie zbierajcie, świetnie". Myśmy te pieniądze przekazali, po czym się okazało, że ogłasza się w kościele zbiórkę na potrzeby procesu, bo brakuje pieniędzy. Trochę nas to zmartwiło, udaliśmy się jeszcze raz do księdza Króla, ale ksiądz powiedział, że to już są rzeczy poza nim, że to ktoś tam ogłasza jeszcze jakąś zbiórkę, już prawdopodobnie na etap rzymski. No więc przyjęliśmy, że dobrze, niech to będzie na etap rzymski, no to tam już nie będziemy się wychylali, czyli byliśmy pewni, że ten etap krajowy już pójdzie bardzo szybko. No trwało to kilka jeszcze długich lat, zanim wyszło to z kraju. Taka historia à propos księdza Króla, który jakoś tak życzliwie do tego podszedł, ale też mamy przeświadczenie, że nie do końca to było tak, jak nam powiedział, czyli że przyczynek był jednak gdzieś indziej, że nie była to kwestia tych pieniędzy. Bo, jak mówię, byliśmy skłonni tak długo kwestować, aż zbierzemy każdą brakującą sumę. Ale to tych historii à propos księdza kanclerza to też jest jeszcze sporo. Ktoś kiedyś księdza Jerzego zwolnił z pracy, jak gdyby relegował z parafii, kiedy zemdłał, odpowiadając mszę, to pamiętamy, na Żoliborzu, na ulicy Czarnieckiego

u Dzieciątka Jezusa zemdlął i był kilka tygodni hospitalizowany. W tym czasie, kiedy wrócił, dowiedział się, że już tam nie posługuje, że nie ma tam dla niego miejsca. Podobno była to decyzja kurii, też nie chcę wnikać, czyja konkretnie. Ale to chyba przykre, że w takiej sytuacji, kiedy człowiek w szpitalu, kiedy choruje, wraca i dowiaduje się, że nie ma dla niego miejsca. To był rzeczywiście taki smutny trochę czas w życiu księdza.

Anna Pietraszek: I to jest kościół gdzie?

Adam Nowosad: Dzieciątka Jezusa, na Czarnieckiego.

Anna Pietraszek: Na Czarnieckiego, czyli tam, gdzie ksiądz Czajkowski?

Adam Nowosad: Tak? Aha. Taka malutka parafia, bardzo zresztą urocza, często tam chodzę się pomodlić, bo wiem, że to było takie miejsce cierpienia księdza, i to jest takie znaczące. Warto tam zaglądać. Tak, później nie było miejsca dla księdza Jerzego. Zbliżała się któraś z pielgrzymek papieskich i chyba biskup Miziołek postanowił powierzyć księdzu opiekę medyczną, bodajże, nad przebiegiem tej pielgrzymki, i wtedy ksiądz Jerzy zajął się takim środowiskiem młodzieży studenckiej, z którą pracował długo, to jeszcze zanim ja go poznałem, zanim ja dotarłem na Żoliborz, to on już opiekował się, był duszpasterzem później tego świata medycznego. I zajął się wspólnie z tą młodzieżą przygotowaniem pielgrzymki od strony medycznej, i gdzieś ktoś ulokował księdza Jerzego na poddaszu Kościoła świętej Anny. Ja tam nie byłem, ale wiem tylko z opowiadań, że było tam bardzo kiepsko, hulał wiatr, było dziurawo, biednie. Co jest z tego czasu istotne i warte zapamiętania, że kiedy przyjechała właśnie ciotka księdza Jerzego, pani Kalinowska, ze Stanów i odwiedziła go tam, to wtedy właśnie użaliła się, przestraszyła się tego, co zobaczyła, i postanowiła kupić księdzu mieszkanko małe, żeby miał się gdzie podziać. Bo ksiądz wiedział, że kiedy skończy się obsługa tej papieskiej pielgrzymki, to nie będzie miał się gdzie podziać po prostu. Zostaje. Wtedy dostał od ciotki to mieszkanie, ogromnie się ucieszył, tam naturalnie zamieszkał na jakiś czas, ale okazało się, że znalazł się ktoś taki jak ksiądz Bogucki, kto zainteresował się takim księdzem Jerzym i zaprosił go do siebie, tam ksiądz Jerzy został rezydentem i tam tak naprawdę to było to pierwsze miejsce działalności księdza Jerzego, w którym zaczął się w pełni realizować. Bo twierdzę, że... Dlaczego ksiądz Jerzy był taki niewygodny? Wszędzie, gdzie się pojawiał, natychmiast zaczęło się coś dziać. Zaczął organizować coś, zaczął integrować ludzi, zaczął gromadzić wokół siebie jakieś grupy młodzieżowe, jakichś dorosłych, zaczął się dowiadywać, kto ma kłopoty w pracy, co tam, w czym można pomóc, kto jak żyje, kto jest biedny, co tam się stało w rodzinie, i wszędzie gdzie był, wokół niego zbierało się natychmiast bardzo żywe środowisko, na tyle aktywne i głośne, że zaczęło to dokuczać innym księżom.

Było niewygodne. Bo nagle pojawia się człowiek, który coś robi, a przecież było tak spokojnie, fajnie i po co tutaj komuś przeszkadzać. I tak moim zdaniem, ja tego nie śledziłem dokładnie, ale z tych źródeł, na które ja się tam gdzieś natykam, wynika to wprost, że taka była historia księdza Jerzego i z tego właśnie powodu gdzieś jakoś nie mógł sobie długo zagrzać miejsca. Z tym jednym wyjątkiem, kiedy natrafił na księdza Boguckiego i ten odnalazł w nim, nie wiem, tę iskrę Bożą, rozpoznał w nim tego człowieka, jakim był naprawdę ksiądz Jerzy, i tak naprawdę to dzięki opiece księdza Boguckiego wydarzyło się to wszystko, co się wydarzyło, kiedy ksiądz z rzeczywiście mało znanej postaci, mało znanej osoby nagle zaczął robić historię, która uczyniła i to miejsce, Żoliborz przecież, i sprawę jego samego głośną, znaną w Polsce, znaną w świecie, i aż po dzisiejszy dzień, jak wiemy, jest to już około 20 milionów ludzi odwiedzających to miejsce. To iskra Boża i ten duch, który niewątpliwie wtedy gdzieś tam spoczął na tym księdzu Boguckim, też wspańiałym człowieku, bardzo zacnym kapłanie, spowodował, że pojawił się, że objawiła się właśnie ta osoba księdza, dziś można już powiedzieć, ta świętość. Bo gdyby nie to, że trafił na kogoś takiego jak ksiądz Bogucki, nie wiemy jakie byłyby dalsze losy, gdzie jeszcze by wysyłano księdza, gdzie by go tam lokowano. A propos księdza Króla, jak już mówiliśmy o tym, niech będzie, że to zacna bardzo osoba, ale ja dowiaduję się teraz dopiero, że ksiądz Król odpowiadał za organizację wszystkich pielgrzymek papieskich. A przynajmniej tych w Warszawie. I wiem to doskonale, że nie mieliśmy wstępu na te pielgrzymki w tych miejscach, w które chcielibyśmy się dostać. Co więcej, nie miał też wstępu ksiądz Jerzy. Żeby dostać się na jakąś pielgrzymkę, z tego co wiem, to jeździł do Częstochowy do księdza Skubisia i dopiero stamtąd gdzieś dostawał jakieś wejście na sektor, w którym mógł się chociaż zbliżyć gdzieś w te rejony, gdzie przebywał Ojciec Święty. Jeśliby tak miało być, to też przykre. Ale rzeczywiście tak było, że konsekwentnie... ..Jerzemu zbliżyć się do Ojca Świętego, że nawet wtedy, kiedy papież gdzieś tam przebywał z księżmi, gdzie było jakieś spotkanie, ksiądz Jerzy, pomimo że był szefem obsługi zabezpieczenia ze strony służby zdrowia, nie dostał się do Ojca Świętego. Nie mógł osobiście spotkać się z nim, ucałować pierścienia, nie mógł podziękować. Kochał Ojca Świętego ogromnie, to wiemy, to zresztą nic dziwnego. Wiemy też, że Ojciec Święty zdawał sobie sprawę z ofiary księdza Jerzego i kiedy była już taka możliwość i pozwolił mu na to czas, to przyjechał do tego grobu i długo i żarliwie tam się modlił. To tak co do tego wątku. Właśnie, taka ciekawostka. Kiedyś ja, zasępiony, jeżdżąc z księdzem... Bo tak się czasami zdarzało, że jeździłem z nim samochodem, i jakoś poznał, że nie mam humoru. Mówi: "Co cię tak gnębi?" - "A, bo widzi ksiądz, mama jest bardzo chora i jakoś tak nie możemy sobie poradzić, nie ma pomocy, a choruje, czeka tam w kolejce, są jakieś straszne problemy" - "Co się dzieje?" - "No jest po zawale i powinna mieć wszczepiony stymulator, bo jest to zagrożenie życia". I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem takiego księdza, po prostu wydarł się nawet na mnie. "To ty mi o takich rzeczach nie mówisz?"

Ja od tego jestem. Człowieku". Jak tylko wróciliśmy na Żoliborz, pierwsza rzecz, jaką zrobił, złapał za telefon, zaczął wydzwaniać po lekarzach i wydzwonił, dzisiaj zapamiętałem to nazwisko, do profesora Chruściela, po trzech dniach mama miała stymulator. Była w fatalnym stanie, przeżyła jeszcze długie, długie lata, ciężko później chorując na innego rodzaju schorzenia, które też były wspianiałym doświadczeniem dla mnie jako syna i dla rodziny, ale to, jestem przekonany, że wtedy po raz pierwszy właśnie tak powiedział, "Ja od tego jestem. Dlaczego ty mi o takich rzeczach nie mówisz?". I teraz już wiem, że ilekroć dzieje się coś takiego, że dzieje się kłopot z moim sercem, to ja go głośno wołam. Nie, nie, to tak naprawdę jest. Wtedy, kiedy leżałem na takim stole operacyjnym, gdzie mi tam szperano w sercu, i doszło do jakiejś komplikacji, takiej, która mogła rzeczywiście spowodować zagrożenie życia, a chyba nawet powodowała, to głośno zawołałem: "Księżu Jerzy, pomóż". No i wszystko skończyło się dobrze. Tak że to jest prawda, i dlatego właśnie tutaj może dotknę teraz tego wątku, dlaczego z takim uporem tkwię przy propagowaniu modlitwy beatyfikacyjnej. Ja doświadczyłem czegoś takiego, że ludzie, którzy leżą w szpitalu, na ogół są w stresie, boją się o życie, nie wiedzą, co ich czeka, szukają jakiegoś ratunku. I kiedy ja przeszedłem sam przez szpitale, zrozumiałem, poczułem tę atmosferę, zrozumiałem, że trzeba, żeby w każdej szafce szpitalnej leżał sobie taki niewielki tekst modlitwy beatyfikacyjnej ze zdjęciem księdza Jerzego. Bo to jest właśnie ta szansa, wtedy, kiedy człowiek jest w największej potrzebie, w największym stresie, to ten ksiądz powinien być pod ręką. Ktoś kiedyś mnie pytał, co takiego szczególnego jest w modlitwie, w której prosimy o wyniesienie na ołtarze. Mówię, po pierwsze, o wyniesienie na ołtarze, a po drugie o łaskę za wstawiennictwem. I wtedy, jeśli poprosimy księdza Jerzego, to ja jestem w stu procentach przekonany, że on nie odmówi, że właśnie od tego jest i pośpieszy z taką pomocą. Dlatego od lat apeluję, rozprawdzam, czasami znajduję kogoś, kto takie modlitwy sponzoruje, czyli sam je tam wydrukuję, i wtedy ja i przyjaciele roznosimy je właśnie w kościołach, gdzieś tam do więzienia, gdzieś tam, gdzie kto potrafi, gdzie może, rozdajemy je kapelanom i w ten sposób kilkadziesiąt tysięcy modlitw już znalazło się w takich miejscach. I nie wiemy, ile było tych łask, jest ich podobno bardzo dużo, już nawet setki. Są bardzo poważne, są uzdrowienia, ja sam znam wiele też takich przypadków, i to tłumaczyłem też młodemu moim przyjacielowi, że jeśli chcecie coś zrobić dla kogoś, nie dla księdza Jerzego, mówię, choć pośrednio też, to zajmijcie się rozdawnictwem tej modlitwy. Tylko znowu, broń Boże sprzedawaniem, tylko rozdawnictwem. To musi być dobra wola, to musi iść z serca. Po prostu ktoś, kto może sobie pozwolić, może wyłożyć parę złotych, niech taką modlitwę wydrukuję, niech zasponsoruje, reszta ludzi, choćby ta moja grupa modlitewna, chętnie to rozprawdzamy, rozniesiemy, rozdamy i wtedy niech to jest w każdym szpitalu, w każdym z takich miejsc, gdzie ksiądz Jerzy przecież posługiwał, bo wiemy, że był w szpitalu, był i w więzieniu, wszędzie tam, gdzie jest taka potrzeba. Mam

nadzieję, że część ludzi to już rozumie, ale kiedy odwiedziłem ostatnio Żoliborz, no to nie znalazłem tam modlitwy beatyfikacyjnej, nawet w kiosku, gdzie sprzedaje ją się za jakieś tam pieniądze chyba za wysokie, za duże jakieś, to tak nie powinno być. Taka modlitwa powinna leżeć przy grobie i każdy, kto tam podejdzie i się modli, powinien ją wziąć ze sobą, żeby podać komuś innemu, żeby mieć ją przy sobie. Dla mnie to jest niezwykle ważne, choćby dlatego mówię, że jak się pojawią te łaski, no to do ludzi dotrze, co takiego dzisiaj może dla nas zrobić ksiądz Jerzy, bo padło takie pytanie do postulatora procesu beatyfikacyjnego księdza Kaczmarka, komu dziś ksiądz Jerzy jest potrzebny. Tak się zastanowił i powiedział: "No wszystkim". No wszystkim, no dobrze powiedziane, tylko z jakiego powodu? No ja wiem, że głównie chorym, potrzebującym, którzy są w opresji, są w kłopotach, że jeśli ktoś jest w potrzebie, to się może śmiało zwrócić i liczyć na takie wsparcie, na to, co jest mu potrzebne, co oczywiście będzie zgodne z wolą Bożą. Więc to, czym tak naprawdę dzisiaj chcę się zajmować i zajmuję, to jest ta praca przy rozdawnictwie modlitwy. A żałuję też, że nie było mi dane jeszcze móc rozprowadzać tych tekstów, które ksiądz Jerzy pisał odręcznie, bo to były bardzo takie ciekawe rzeczy. Ksiądz Sochoń podobno wybrał jakiś zbiorek myśli księdza Jerzego i gdzieś go wydał, tylko ja pamiętam, że było to tak jakoś drogo bardzo, że to trochę było takie blokujące. To powinno być dostępne dla każdego, a nie jako kolejna książka, którą się bierze z półki i decyduje, na co wydać pieniądze, zwłaszcza w tych czasach, które teraz mamy. Moją taką ideą fix... i właśnie taką prośbę miałem wtedy do księdza kanclerza Kaczmarka, żeby pozwolił mi na to, żeby te teksty, jeśli już będą zatwierdzone, mogły do mnie wrócić, ja zadeklarowałem wtedy bardzo konkretnie, że chciałbym się zajmować propagowaniem tych myśli księdza właśnie nieodpłatnie, właśnie szukając ludzi, którzy mogą zasponsorować taki druk, i trzeba to rozdawać. Tak się też nie stało. To jest kolejna taka rzecz, z powodu której jest mi przykro, bo wydaje mi się, że była to bardzo cenna sprawa, te dokumenty. Wiadomo mi, że ktoś kiedyś dostał zapiski księdza Jerzego, które on wyjął z tego pudła. Dostały się w czyjeś ręce i zostały sprzedane gdzieś za granicę za ogromne pieniądze. Podobno do Parimatcha ktoś to sprzedał.

Anna Pietraszek: Ja miałam okazję filmować ręcznie spisaną drogę krzyżową, którą przygotowywał gdzieś na kolanie, jadąc, spiesząc się, całą drogę krzyżową, wszystkie stacje, a nie udało mi się ustalić, gdzie została odprawiona ta droga krzyżowa. Były te rękopisy, takie malutkie karteczki z czegoś powyrywane, inne leżały w pudełku wraz z fotografiami u pani Kasi Soborak.

Adam Nowosad: No tak to wyglądało. Prawdopodobnie dotarły one z tego miejsca, które ja przekazałem, bo tam były takie rzeczy właśnie, zapiski na bardzo różnych drobnych karteluskach, jakichś tam powyrywanych kartkach z notatnika, gdzieś tam...

Anna Pietraszek: Była przepiękna.

Adam Nowosad: No tak. Wszystko to było piękne. Ja właśnie wiem. Do dzisiaj jestem pod wrażeniem tego, z czym mogłem obcować, bo ja to czytałem, to miałem później u siebie w domu, kiedy już ustała ta obawa, że zostanę napadnięty, że zostanie to wykradzione, że coś się z tym będzie działo, i ja to po prostu czytałem, niemalże modląc się tymi tekstami, bo one były naprawdę wspaniałe. I one były pisane rzeczywiście ad hoc, tak na biegu. Dlatego do dziś irytuje mnie, bo słyszę często takie opinie, że ksiądz Jerzy to był taki przeciętny, taki mało zdolny, taki przeciętny człowiek, taki niczym się niewyróżniający, bo to opowiadają zwłaszcza jego koledzy kursowi, tacy, którzy tam go znali, a to z nim mieszkali, a to bliżej byli, że taki przeciętny, niewyróżniający się niczym specjalnym ksiądz, który nie potrafił nic napisać, bo to jest właśnie nieprawda, twierdzą ludzie, że cokolwiek tam pisał, to oni mu pomagali w tym, a poprawiali, a to, a tamto. Zdecydowanie to dementuję. Chociażby dlatego, że widziałem rzeczy pisane właśnie ad hoc, tak jak sama mówisz, na kolanie i że one były wspaniałe, że one były pisane wprost z ducha, i podobnie było z tekstami jego kazań. To było to samo, on się zamykał tam w tym swoim zakątku, bo jak wiesz, czy pamiętamy, miał taki mały swój pokój, regał w takiej formie przepierzenia, i tam za tym regałem stało jego łóżko, taki tapczanik i jakaś tam szafka nocna, stoliczek. I on tam siadywał, i tam pisał najczęściej te swoje rzeczy, taki odizolowany, oczywiście ten mniejszy pokój też był zamknięty, nikt nie wchodził, nikt mu nie dokuczał, on tam siedział, zostawał, pisał, bardzo się rzeczywiście trudząc, pisał to czasami wiele godzin, kreślił, poprawiał, kreślił, poprawiał, ale jak już napisał, no to wychodził, mówił: „Słuchajcie, siadajcie teraz, słuchajcie, będę czytał”. I czytał to kazanie, i pytał się nas na koniec: "No i jak?". Coś źle powiedziałem, coś źle napisałem? Co się wam wydaje tu nie tak?" Ja, pamiętam, nie wiem, nigdy nie miałem jakichkolwiek uwag, zawsze byłem zachwycony tym, co usłyszałem, żadnych uwag. Dzisiaj ludzie twierdzą, że mu coś tam poprawiali, pomagali. Nie wiem, nie wyobrażam sobie, bo jeśli idzie o to, co pisał, był konsekwentny, jeśli już miał jakąś myśl, to nie pozwolił jej zmienić. Oczywiście, jeśli przestawił tam szyk zdania, coś było niepoprawnie, niegramatycznie, no to być może coś takiego zmienił, ale to do jakiegoś szczegółu. Twierdzę, że był bardzo zdolny, bardzo pracowity, utalentowany, a głównie właśnie pracowity. Mówi się dzisiaj wiele o takiej cesze księdza, że był słabego zdrowia, że był chorowity i słabowity, słyszałem jakieś takie określenia: wątłej postury, jakiś taki mikry. Mnie to śmieszy, dla mnie to był tytan pracy przede wszystkim. Kiedy przyszło mi tam spędzić czasami 24 godziny, bo przychodziłem na dzień i okazywało się, że nie miał kto zostać na noc, to zostawałem, no to ja byłem w szoku. Ten człowiek jak wstawał rano, kiedy już poszedł na mszę, odprawił mszę, bo brał zawsze pierwsze msze, bo jakoś tak nie było chętnych, to odkąd tylko wrócił do siebie, to natychmiast siadał, coś tam szybko zjedliśmy, miał taką małą kuchyneczkę, na której coś tam się upichciło, najczęściej jakąś

konserwę, i siadał, i opowiadał, co dzisiaj robimy. I on sobie potrafił rano tak ułożyć cały dzień, że oczywiście później w ciągu dnia się okazało, że jest jeszcze dwa razy tyle do zrobienia, niż zaplanował, i ja padałem na twarz, ja nie byłem w stanie nadążyć za nim, a ten bez przerwy. I mówienie o słabym stanie zdrowia kogoś takiego jest nieporozumieniem. Oprócz tego, że oczywiście chorował, miał jakąś tam chorobę krwi specyficzną, to jednak wycieńczał się pracą, bo to właśnie na tym polegało to jego dzieło, to jego poświęcenie. On miał przeświadczenie, że trzeba tak dużo zrobić, a czasu jest mało. I stąd ci, którzy go widywali może właśnie na krótko, coś tam zaglądali i zdumieni tym, że widzą słabego, słaniającego się na nogach człowieka, dochodzili do wniosku, że taki chorowity. No właśnie taki przemęczony, no właśnie taki przepracowany. To był tytan pracy. Dla mnie... Później już kogoś takiego nie spotkałem, kto tak potrafił żyć z dnia na dzień. To nas wpędzało niekiedy w jakieś przerażenie, bo kiedy widzieliśmy, jak słabnie, no to już staraliśmy się na siłę go izolować i wręcz zmusić do tego, żeby się położył i odpoczął. I kiedyś pamiętam takie zdarzenie, pojechaliśmy z nim do kaplicy Res Sacra Miser, to na Krakowskim Przedmieściu, tam była msza środowisk medycznych, którym, jak wiemy, się zajmował, patronował temu środowisku, i pojechał tam na mszę na ostatnich nogach, był wykończony. Mówił nam, że nie ma siły, że chyba nie dojedzie, że to rzeczywiście powinien zrezygnować, ale jak on może zrobić to tym wspaniałym pielęgniarkom, no przecież to jest niemożliwe. Mówi: "Słuchajcie, starajcie się mnie tam jakoś... jak zobaczycie, że się coś dzieje, to starajcie się mnie tam wyciągnąć, tak żeby one... już tam po mszy, żeby już to nie za długo trwało, naprawdę się kiepsko czuję". No to my dzielnie, wtedy byłem właśnie z Waldkiem, no dobrze, skoro tak, no to tam uczestniczyliśmy w tej mszy no i po zakończeniu, zgodnie z umową, oczywiście wszystkie pielęgniarki otoczyły księdza, obcałowywały, ścisnęły, a to, a tamto, jedna to, druga tamto. Ksiądz rozpromieniony, nie ten sam człowiek. Jakby wstąpiły w niego jakieś niezwykłe siły. No ale ja, pomny polecenia, podchodzę do księdza, mówię: "Proszę księdza, bardzo przepraszam, ale jesteśmy umówieni, czekają ludzie i ksiądz już musi wyjść". Spojrzał na mnie takim groźnym wzrokiem, że myślałem, że ja się pod ziemię zapadnę. "Nie teraz - mówi - to niech zaczekają". Został z tymi paniami dłużej jeszcze czas, one tam oczywiście wszystko mu opowiadały, wszystkiego się musiały dowiedzieć, no były bardzo rade z tego, że go tam widzą, że go tam mają chwilę. I kiedy po jakiejś półgodzinie już wyszedł sam, usiadł w tym samochodzie, to pierwsze co zrobił, to tak mnie ochrzanił, żebym w życiu tego więcej nie robił, jakby niepomny tego, co przed chwilą przecież, jadąc tam, sam mówił. "Jak możecie mnie zabierać, w takim momencie od takich ludzi? Absolutnie". No ja zamilkłem, mówię, no dobrze, dobrze, już nic z tego nie rozumiałem. Później dopiero dotarło do mnie, że to był właśnie jakiś taki duch, który dodawał tych sił w takich momentach, i człowiek, który się ślaniał na nogach, był rozgorączkowany, dostawał takiego jakiegoś natchnienia, że wstępowały w niego siły i był

gotów tam jeszcze i pewnie godzinę z tymi paniami być, i nic się nie działo. To tak à propos słabowitości księdza i tej takiej jego „niewyględności”, jak ktoś powiedział. Słyszałem też takie opinie właśnie, że niczym się nie wyróżniał, że na tych studiach to był jakoś taki niebłysłkotliwy, niespecjalnie się wybijający. Natomiast ja później, jak śledziłem jego teksty, te, które wytworzył, te, które przygotowywał właśnie na różne okoliczności, to zawsze dochodziłem do wniosku, że są przebogate źródłowo, że odwołuje się tam do takich rzeczy, że świadczyło to o tym, że musiał wcześniej przejść naprawdę staranne studia. I znając jego pracowitość, byłem przekonany, że był bardzo dobrym studentem, solidnym seminarzystą. Nie wiem, jak to tam się odzwierciedlało w tych ocenach przełożonych, ale z tego, co wiem, był lubiany i chwalony. Więc mówienie czegoś takiego, że się niczym nie wyróżniał, że się niespecjalnie wyróżniał, no jest nieskromną przesadą tych, którzy to dzisiaj mówią, bo wygląda na to, że jakby na tle księdza Jerzego pokazują się z troszkę lepszej strony.

Anna Pietraszek: A może to jest właśnie dalszy ciąg tej kreciej roboty?

Adam Nowosad: No jest niestety coś na rzeczy, bo z jakiegoś powodu ja... O, przypomnij mi, Aniu, ja ci zostawię dzisiaj taką piosenkę, którą nagrał taki młody człowiek, nazywa się Jacek Wąsowski, na potrzeby filmu "Popiełuszko". Piosenka ma taki tytuł "Uczście tego księdza". Świetna, zresztą taka młodzieżowa, bo podobno zamysłem do tego filmu miało być to, żeby on był taki jakiś tam młodzieżowy, taki zachęcający młodzież do obejrzenia. Ta piosenka, ten utwór został odrzucony, ale mnie zainspirował ten tytuł, "Uczście tego księdza". I tak sobie myślę, że to, co się działo wtedy w tych latach osiemdziesiątych, 1982, 1983, 1984 rok, czyli tych trzech latach przygotowania się księdza do męczeństwa, dzieje się po dzień dzisiejszy, że komuś wtedy bardzo zależało na tym, żeby uczcić tego księdza z jakichś powodów, właśnie nie wiem, czytam dzisiaj, że miał się odbyć okrągły stół, być może wtedy było to powodem, w 1984 roku, że trzeba było go uczcić. Ale to trwa po dzień dzisiejszy, dlatego że jeśli słyszymy, że ten film teraz ma przygotować nas na uroczystość beatyfikacji, że ma tam jakoś nagłośnić sprawę, no to ja jestem w szoku, bo mnie się wydaje, że trzeba to było robić przez całe te dwadzieścia pięć lat. Że trzeba było przez te dwadzieścia pięć lat rozmawiać z ludźmi, którzy znali tego księdza, którzy mieli ten dar, żeby przebywać z nim, żeby go słuchać, żeby wyławiać te rzeczy już wtedy. Bo źle się dzieje, kiedy po dwudziestu pięciu latach ktoś mnie pyta o coś, a ja już stoję się trochę bardziej bezradny, no upływ czasu i wiele rzeczy umyka. O wiele inaczej by to wyglądało, gdyby ktoś był tym zainteresowany właśnie przez ten czas. Tymczasem, jak wspominałem, świadkami nikt się nie interesuje, nikt się nie interesował, wyglądało na to i wygląda, jakobyśmy byli jakoś zapowietrzeni. Mówi się, że ktoś z nas mógł być agentem, mógł być jakimś donosicielem, mógł być jakimś źródłem informacji. Ja mówię, nigdy nie

wiadomo oczywiście, kto tam mógł się stać jakimś źródłem informacji nieświadomym, bo świadomie, no to wykluczam taką sytuację całkowicie. Dzisiaj dlatego przed przyjściem tutaj czytałem artykuł w dzienniku doktora Żaryna, gdzie mówi się o Waldku, że wyklucza się możliwość jego współpracy, co dla mnie jest oczywiste, natomiast w tej chwili mam nadzieję, że to dotrze do ludzi, że ktoś go tam potraktował jak jakiegoś figuranta.

N0248_kr_FINAL_3_8

Anna Pietraszek: Teraz jesteśmy przy Waldku, to może powiedzmy o nim, bo znałeś go tak dobrze, on cię przyprowadził do księdza Jerzego. Jeśli byś mógł powiedzieć o nim. Świadectwo o świadku całego męczeństwa.

Adam Nowosad: Słuchaj, to też chyba nie do końca wolno mi robić, bo takie rzeczy powinienem jednak uzgodnić z kolegą. Ja go odwiedzam. Kiedyś, kiedy pracował jeszcze w tym Pałacu Kultury, to odwiedzałem go bardzo często, bo dwa razy w tygodniu, i obserwowałem tę jego mękę, kiedy chudł w oczach, mizerniał, gał.

Anna Pietraszek: A kiedy on pracował w Pałacu Kultury?

Adam Nowosad: Jakoś tak... Kiedy będzie? Bo myśmy wcześniej pracowali chwilę razem w urzędzie wojewódzkim, za czasów, kiedy wojewodą był Maciej Gielecki, nasz późniejszy taki przyjaciel, a wcześniejszy Waldka.

Anna Pietraszek: Maciej Bielecki czy Gielecki?

Adam Nowosad: Gielecki. To tam pracowaliśmy razem w jednym urzędzie i ja się zajmowałem konkretnie...

Anna Pietraszek: To jakie lata?

Adam Nowosad: 2002 rok? Ja się zajmowałem wyrzucaniem agentury z dworu w Pęcicach. Ja tam poszedłem do pracy konkretnie w tym jednym celu. Albowiem jak się dowiedziałem, że rezyduje tam ktoś z Żoliborza, kto wszędzie na prawo i lewo opowiada, że znał księdza, to mnie to zainteresowało. Ja mam tam rodzinę w tej okolicy i poprosiłem o taki wywiad, żeby się dowiedzieli, co to za ludzie. No i tam wszyscy twierdzili, że to jest jakaś agentura. I skojarzyłem, że jeśli agentura, i to z Żoliborza jeszcze, i zna księdza, to zwróciłem taką szczególną uwagę na to i po jakimś tam czasie dostałem taką delegację do

Pęcic, żeby się temu problemowi przyjrzeć i zobaczyć, co się tam dzieje. No i działa się. Ja tam pracowałem bodajże dwa czy trzy lata.

Anna Pietraszek: Ale dopełnijmy, a co było w tym dworze w Pęcicach, że mogłeś tam podjąć pracę?

Adam Nowosad: Już mówię. To był ośrodek doskonalenia kadr urzędu wojewódzkiego, który miał służyć temu właśnie celowi, czyli miał być takim miejscem recepcyjnym dla wojewody warszawskiego, a okazało się, że zawłaszczyła to jakaś prywatna firma i że wojewoda nie miał tam wstępu inaczej, jak tylko odpłatnie, czyli był jakby klientem z zewnątrz. Tymczasem dwór ten pozostawał w gestii wojewody i był jego placówką, podlegał mu. Mieścił się tam formalnie ośrodek doskonalenia kadr. Ja tam pojechałem z zadaniem rozpoznania sprawy, rzeczywistości, i wszcząłem jakieś swoje śledztwo, zacząłem sobie tam przeglądać dokumenty, rozmawiać z ludźmi. No i szybciułko się okazało, że przejęli ten dwór pracownicy Art-B. Była kiedyś taka firma, która, mało kto wie, założyła swoje pierwsze biuro w gmachu urzędu wojewódzkiego na Placu Bankowym. I tam zaczęła swoją działalność. Stamtąd właśnie rozwinęła się bardzo, bardzo, bardzo, aż któregoś dnia ktoś wpadł na pomysł, że ci państwo, czyli szefowie tej firmy, powinni sobie zamieszkać w takim dobrym miejscu, godnym, niedaleko Warszawy. Ich wybór padł właśnie na dwór Pęcice, no i to już jest dalej taka historia, że oni tam zamieszkali, zaczęli się tam urządzać, no i wszystko byłoby pewnie dobrze, do momentu, dokąd ktoś tam nie postanowił w końcu im się dobrać, czyli ich rozliczyć za to, co robili. Jak wiemy, oni zniknęli, uciekli, natomiast została ich ekipa w tym dworze, ta, która tam pracowała za czasów Art-B, i jak ja później do tego doszedłem, ci ludzie wcześniej pracowali właśnie w urzędzie wojewódzkim i zostali sobie na początku dyrektorami tego ośrodka, a później podpisali tam między sobą umowę, czyli zastępcę dyrektora z dyrektorem, że wynajmuje mu na piętnaście lat ten piękny dwór i że to już będzie od tej pory jakby taka działalność komercyjna. No i kiedy się zmienił wojewoda, właśnie zaczęto się od tego, że ktoś mu na to zwrócił uwagę, i on poprosił właśnie wtedy Waldka, Waldek się zatrudnił wtedy w urzędzie wojewódzkim, i wybrał się do tych Pęcic. Okazało się po jakimś czasie, że miał inne zadanie, i nie było chętnego, kto mógłby te Pęcice pociągnąć. I ja wtedy zrezygnowałem z prywatnego biznesu, bo wymyśliłem sobie, że jeśli kojarzę kogoś z Żoliborzem i z agenturą, to jest moim obowiązkiem tam się pojawić i zająć się tym. To są przedziwne historie i ja zostawię może nawet taki artykuł z prośbą konkretną, bo chciałbym dotrzeć gdzieś do jego autorów, z którego będziesz się mogła dowiedzieć więcej. Rzecz w każdym razie trwała dłuższy czas, zmieniały się układy polityczne. Kiedy zmienił się wojewoda, przyszedł następny, który troszkę utrudniał, nie pomagał, a był z naszej opcji, rzecz się przeciągnęła jakieś niepotrzebne kolejne dwa lata i dopiero kiedy wróciło SLD do władzy, to nas brutalnie wtedy już wyczyszczono. Niemniej

jednak sprawę udało mi się doprowadzić do tego etapu, że dwór dzisiaj jest... Starają się o niego dawni właściciele. Już nie ma tam ani Art-B, ani ich pracowników, jest z powrotem własnością gminy, i czeka na jakieś tam historie prawne, jeszcze formalności do załatwienia. Zobaczymy, jak to tam się dalej będzie działo. Ja już teraz utraciłem kontakt, ale jak jeszcze się niedawno dowiadywałem, to tak jest, że udało się wyrwać to z tych rąk i Art-B ani jego właściciele już tam nie wrócą, chyba że go sobie kupią na wolnym rynku od prawowitych właścicieli, to jest inna rzecz. W każdym bądź razie ja przeszedłem przez ten cały czas przez kilkadziesiąt rozpraw sądowych, byłem sam osobiście skazywany, odwoływałem się, apelowałem, wygrywałem. W każdym razie, jeśli miałem jakieś kłopoty sercowe, zawałowe, to tam się to zaczęło. I to tak, à propos Waldka, z którym się spotkaliśmy, pytałaś, gdzie pracował. Wtedy, kiedy nas wyrzucili już później z urzędu, no to ja już od tego czasu pozostaję człowiekiem wolnym, czyli bez zatrudnienia, a Waldka ktoś zatrudnił w Pałacu Kultury w ochronie. Z tego, co mi wiadomo, ktoś z regionu Solidarności, kto się tam zatroszczył o to, po prostu znał prezesa, jakoś tam go umieścili. I on tam sobie pracował, i tam mogłem go częściej odwiedzać. Teraz już rzadziej, niemniej, jak jeszcze mogę się wybrać do niego do domu, no to jakoś tam wspominamy sobie stare dzieje i próbujemy o czymś rozmawiać, ale krótko mówiąc, jest to strzép człowieka po tym, co mu zafundowano, po tej nagonce medialnej jest to strzép człowieka. Jak wiesz, wygrał jakieś te sprawy z dziennikarzem, który dał się tak manewrować...

Anna Pietraszek: A który to był dziennikarz?

Adam Nowosad: Sumliński. Sumliński, mówimy. On się dał w to wmanewrować, przez tego samego zresztą człowieka, który później Sumlińskiego uwikłał w jakieś takie sprawy, z którego to powodu on ma sam teraz kłopoty.

Anna Pietraszek: A który to był? Nie kojarzysz nazwiska?

Adam Nowosad: Sławny jakiś pułkownik SB, który odwiedził Sumlińskiego, a później odwiedzał marszałka sejmu, to jakaś taka historia.

Anna Pietraszek: I przez niego teraz [niezrozumiałe, 00:09:16]

Adam Nowosad: Tak, tak, tak.

Anna Pietraszek: Czyli za forszę pisał to, co mu tamten dawał. A teraz i Szymowski.

Adam Nowosad: Jak?

Anna Pietraszek: Słyszałeś takie nazwisko? Redaktor Szymowski?

Adam Nowosad: Nie.

Anna Pietraszek: Jest kontynuatorem tej linii w dziennikarstwie.

Anna Pietraszek: To w razie czego Waldkowi przekaz. Ale naprawdę.

Adam Nowosad: No tak. W każdym razie ja nazwisko tego pułkownika skojarzyłem sobie, bo on odwiedzał swojego czasu Waldka w urzędzie wojewódzkim z taką propozycją, że jeśli ten zgodzi się z nimi współpracować, czyli powie im coś, co oni chcieliby, żeby im powiedział, to bardzo mu pomogą, uniknie kłopotów w przyszłości. Oczywiście Waldek tego pana wyprosił. Później się okazało, że dotarł do Sumlińskiego. I stąd ja kojarzę jakieś takie kłopoty już Waldka z tym nazwiskiem i z tym panem. Ale to jakby zupełnie inna historia. Bo chciałaś spytać o człowieka.

Anna Pietraszek: Ale to bardzo ważne, co mówisz.

Adam Nowosad: No tak, ale otwieralibyśmy taki następny wątek, na który ja twierdzę, że jeszcze za wcześnie. Bo ja, tutaj jadąc do ciebie, gdzieś znalazłem taki artykuł, z którego wynika, że siedem osób zeznających w sprawie księdza już nie żyje, zginęło. Nie znasz tego?

Anna Pietraszek: Ale artykuł taki?

Adam Nowosad: Tak. Nawet go gdzieś mam przy sobie.

Anna Pietraszek: Ale jakie jest twoje zdanie na ten temat? Czy tak jest możliwe?

Adam Nowosad: Nie wiem, trudno mi powiedzieć. Sam śledzę te sprawy, czytam i gdzieś znajduję artykuł, z którego wynika, że siedem osób już nie żyje, świadczących w sprawie księdza. Mogących świadczyć, może tak. Może ja go później jakoś odnajdę, bo to się w takim układzie niespecjalnie uda. Ale jest to taka znamienna rzecz, dlatego właśnie twierdzę, że chyba jeszcze za wcześnie, bo wydaje mi się, że to są jeszcze sprawy na tyle rozgrywające się aktualnie, że mogą być groźne. To jest coś takiego, "Świadcowie śmierci". I tam między innymi wynika z tego... Stąd ta moja powściągliwość, bo jeśli mogą być groźne, to mogą być groźne również dla kogoś, o kim mogę mówić, więc z tego powodu tak powściągliwie. Tak się ciągle dzieje niestety. Mamy tego typu świadomość, że sprawa się nie zakończyła, ona ma jakby swój dalszy ciąg. Podobno pracują nad nią różni ludzie, różne służby, podobno również IPN się tym zajmuje, więc mam nadzieję, że kiedyś do jakichś wniosków i konkluzji dojdą.

Anna Pietraszek: Ale mieliście jakieś doświadczenie, czy Waldek, czy ty, że ktoś was wezwał, coś opowiadaliście?

Adam Nowosad: Do Waldka to strzelano wręcz.

Anna Pietraszek: Kiedy, niedawno?

Adam Nowosad: Nie, nie, to w tych latach, kiedy były sprawy po wydarzeniu.

Anna Pietraszek: Ale teraz, kiedy są kolejne dochodzenia?

Adam Nowosad: Nie, nie sędzę. Czasami zgłaszają się jacyś dziennikarze z propozycją napisania jakiegoś artykułu śledczego, ale jakoś nic się nie dzieje. Zgłaszają się do Waldka, ktoś do mnie tam dotarł, z tym że ja jestem tutaj taki raczej sceptyczny i niespecjalnie chętnie wchodzę w tego typu relacje, bo...

Anna Pietraszek: Ale nazwisko Szymowski nic ci nie mówi?

Adam Nowosad: Nie. Ten, który się ostatnio zgłosił, nazywał się chyba Czuchnowski.

Anna Pietraszek: Też taki sam gagatek.

Adam Nowosad: No to to Czuchnowski miał tu zrobić takie śledztwo. No dobrze, ale niechże tam sobie śledzą. Waldka i ja z tych czasów znam, tak jak wspomniałem, z dawnych, wtedy, kiedy jeszcze źle mu się wiodło, oczywiście kiedy pracował i miał jakieś zajęcie, no to dobrze, była to rodzina wychowująca dwóch synów. Jakoś tam im się żyło, nigdy niespecjalnie świetnie, ale powiedzmy, że w jakimś tam dostatku normalnym na tamte czasy, kiedy w komunizmie wszyscy egzystowaliśmy jakoś równo. Kiedy go wyrzucono z pracy, ze straży, wtedy pracował na ulicy Polnej, no to był bez zajęcia. Jakiś czas nawet pracował u mnie. Jakies tam próbowaliśmy wspólne przedsięwzięcie przeprowadzić, które się nieszczególnie powiodło, ale to był akurat ten moment, kiedy właśnie już trafiliśmy do księdza, czyli Waldek... Ja się przekręcam w różne strony. Czyli Waldek zaproponował tę wizytę u księdza i to wtedy się odmieniło. Żyło im się wtedy bardzo skromnie, bo chyba żona nie pracowała, a jeśli pracowała, to jakoś tak dorywczo. I tyle. I ten czas, kiedy poświęcał księdzu, to, jak wiemy, już się zaangażował tam tak zupełnie bez reszty, niemalże każdego dnia, 24 godziny na dobę, z jakimś krótkim wyjątkiem pod koniec życia księdza, też na bodajże miesiąc czy dwa z jakiegoś powodu przestał towarzyszyć księdzu. Ale nie znam tego szczegółu zbyt dobrze. Zdaje się, że chodziło tam o jakieś sprawy rodzinne Waldka, których ksiądz nie chciał zaakceptować. Jakies kłopoty z żoną. Twierdził, że powinien pozostać przy żonie, żonę się zajmować, i miał miejsce jakiś taki epizod, ale jak mówię, wtedy już bardzo mało uczestniczyłem w

tych sprawach i wiem tylko, że przyjechał któregoś dnia i mówi: "Wiesz, też nie jadę z księdzem, bo teraz jakoś tak rzadziej. A, mieliśmy taką rozmowę na tle Lucyny i trochę się poróżniliśmy". Ale to już tak, żeby nie było plotkarsko. To był taki epizod. Później już został z księdzem. Rzeczywiście ksiądz ufał Waldkowi bardzo. Nie sądzę, żeby był ktoś inny, komu bardziej mógł zaufać. Niestety Waldek nie był jedyną osobą, przed którą ksiądz się otwierał i zwierzał. Bo miał też jeszcze różnych innych doradców, którzy tam się kręcili wokół tego środowiska i zawsze pojawiali się z dobrymi radami. Często tym radom ksiądz ulegał i niestety okazywało się, że miało to złe skutki. Natomiast ja chcę powiedzieć jedno, żeby to było takie wyraźne, że jest absurdem rzeczywiście wychodzenie z założenia, że to sama ochrona księdza Jerzego przyczyniła się do jego męczeństwa, do jego śmierci. Że to jest totalny absurd. Że myśmy tam byli ludźmi przecież niezwiązanymi... Nie reprezentowaliśmy żadnych środowisk. Ja osobiście byłem wręcz chyba jedynym przedstawicielem wtedy tak zwanego badylarstwa. Ja miałem ogrodnictwo w tym czasie. Z polityką zupełnie nic do czynienia, z żadną organizacją polityczną, z żadną Solidarnością, z żadną inną partią nigdy do niczego nie należałem, poza tym tylko, że zawsze byłem, już choćby z racji tego, czym się zajmowałem, wrogiem ludu i kimś kto stał po drugiej stronie. To nie jest możliwe, żeby nawet ktokolwiek spośród tych ludzi, którzy byli wokół księdza, tych którzy oddawali mu swój czas tak na co dzień, którzy mu pomagali, żeby byli zainteresowani czymkolwiek, czy to robieniem kariery, czy pozyskiwaniem jakichś środków, czy czymkolwiek, co byłoby argumentem, żeby twierdzić, że zagrożenie dla księdza płynęło ze strony najbliższych mu ludzi, tych, którzy go otaczali, ochraniali. Nic podobnego. Jestem przekonany, że jeśli takie zagrożenia miały miejsce, to rzeczywiście płynęły z otoczenia księdza, ale z tego drugiego szeregu. Gdzieś tam teraz się mówi, że są jakieś ślady takich działań, że są jakieś relacje ludzi, którzy dostawali się gdzieś w otoczenie księdza, zwłaszcza w tym ostatnim czasie tych jego kilku miesięcy działań, bo wtedy było najgoręcej. Mnie wtedy właśnie nie było. Ja się zajmowałem wtedy ukrywaniem archiwum i zgodnie z umową powiedzieliśmy sobie, nie pokazuj się teraz im na oczy, zejdź trochę z oczu. I siłą rzeczy wyłączyłem się też z działań, niespecjalnie wiedziałem, co się dzieje. Do mnie dopiero dotarło, że jest jakieś zagrożenie, kiedy Waldek wrócił z tej podróży, gdzie rzucono tym kamieniem, wrócił z Gdańska. Że coś takiego się dzieje. Dla mnie to było szokujące i niemożliwe, ale jak się później dowiedziałem, że ksiądz Jerzy prosi o zwrot dokumentacji, że wyjeżdża do Rzymu, to już się uspokoiłem, że to już jest dobrze.

Anna Pietraszek: A nie bierzesz pod uwagę takiej możliwości, że ksiądz Jerzy wcale nie chciał wyjechać do Rzymu, a jednocześnie szykował się na śmierć?

Adam Nowosad: Nie. Twierdzę, że na śmierć... Nie sądzę, żeby ktokolwiek świadomie chciał się szykować na śmierć.

Anna Pietraszek: To nie to, że by chciał, tylko że się z tym tak dalece liczył.

Adam Nowosad: Są takie wersje i takie opowieści, z których wynika, że ksiądz był przygotowany na to, że był gotowy na tego typu ofiarę. Mnie się wydaje, że każdy, kto oddaje się takiej służbie, jakiej oddał się ksiądz Jerzy, z natury jest gotowy na tego typu ofiarę. Jak każdy biskup, tak i każdy ksiądz.

Anna Pietraszek: Ale po ludzku każdy myśli, że to go nie dotknie. A przynajmniej nie będzie to męczeństwo.

Adam Nowosad: Po ludzku każdy myśli, że to go nie dotknie, że nie będzie to męczeństwo, i ksiądz naprawdę, z tego, co ja wiem, jestem gotów o tym przysięgać, wybierał się do Rzymu. Bardzo boleśnie przeżył ten obowiązek, to wysłanie go do Rzymu. Bardzo boleśnie. Ja tam w którymś miejscu piszę, że ktoś tam przedstawiał księdza, który wykonuje teatralne gesty, zakrywa twarz dłońmi i płacze. Mówię, że to jest bzdura. Ksiądz Jerzy tylko raz zapłakał przez cały ten czas, kiedy ja go znałem, właśnie kiedy wrócił z rozmowy z prymasem. Tylko raz.

Anna Pietraszek: To jak to było, jak wrócił z rozmowy z prymasem?

Adam Nowosad: To wtedy rzeczywiście zapłakał i powiedział, że czegoś podobnego się nie spodziewał.

Anna Pietraszek: To opowiedz tę sytuację.

Adam Nowosad: Słuchaj, ona jest znana, ale...

Anna Pietraszek: Ale opowiedz po swojemu, bo byłeś, widziałeś.

Adam Nowosad: No nie wiem... Co widziałem? No widziałem to, że wrócił człowiek, który wyglądał jak zbity pies, ze spuszczoną głową, z zaczerwienionymi oczyma, i wszedł do siebie na górę, myśmy się starali tam dowiedzieć, co się działo. Ksiądz opowiadał coś takiego nie mnie bezpośrednio, ja tego wtedy nie słyszałem, natomiast wszedłem na ten moment, kiedy było już jasne, że wydarzyło się coś bardzo smutnego, bardzo przykrego. I kiedy myśmy się zaczęli oburzać, bo dowiedzieliśmy się, że właśnie wrócił od prymasa i że jest taka historia... Przecież to wszyscy wiemy, to jest opisane w zapiskach księdza Jerzego, że został potraktowany gorzej niż od SB.

Anna Pietraszek: Ale mówił coś tobie, opowiadał, czy...

Adam Nowosad: Nie, nie.

Anna Pietraszek: Twoimi oczami to.

Adam Nowosad: Ja powiedziałem tylko coś takiego, że to jest przecież dramat i jeśli się coś takiego mogło wydarzyć, to jest to haniebnie, i skandal, i że zaczniemy protestować chyba w końcu, że tak się dzieje. I wtedy wiem, że znowu stanowczo zabronił nam jakiegokolwiek mówienia z kimkolwiek o tej sprawie, rozgłaszania, ignorowania, i wtedy właśnie mówił, że to jest nasz Kościół, to jest nasza matka. Ktokolwiek by nie stał na jego czele, nie wolno zapominać, że mówimy o Kościele. Mówi: "Macie milczeć, to jest moja sprawa, to jest moje osobiste przeżycie i moja rzecz. Ja w duchu rozliczę się". Później, jak wiemy, ja to czytałem w zapiskach, że oczywiście przyjął to cierpienie jako dar do dalszej pracy nad sobą, do jakiegoś udoskonalenia własnego ducha, ale wiemy, że wtedy rzeczywiście dostał takie polecenie wyjazdu do Rzymu i że z tym się zgodził. Oczywiście bardzo to przeżywał, bolał nad tym, ale zgodził się z tym i przyjął do wiadomości, że jedzie. Jest przecież cały szereg osób, które to gdzieś już tam opisały, że zęgnął się, że cieszył się z tego, że jedzie do tego Rzymu, tak jak wspomniałem na początku, bardzo mu odpowiadało to, że będzie mógł się poświęcić nauce społecznej Kościoła, czyli temu, co było jego taką ideą fix, czemu chciał się oddać po powrocie z Rzymu. Więc dla mnie, jak słyszę stwierdzenie, że ksiądz Jerzy szykował się na śmierć, to mówię, nieprawda. Długo przygotowywał, prowadził go w tę stronę, oczywiście, wiemy to, bo cały ten okres trzech lat był przygotowaniem do męczeństwa. Natomiast sam ksiądz Jerzy nie wiem, czy myślał, pewnie się liczył z taką możliwością, bo przecież wszyscy wiedzieliśmy, że wtedy, wbrew temu, co się teraz wydaje, komuniści sobie nie żartowali, że te służby jednak były realne, że one były groźne, że ludzie ginęli, że ludzie siedzieli w więzieniach. To się dzisiaj wspomina jako taką egzotykę, że kiedyś owszem, ale wtedy, w tych czasach, myśmy rzeczywiście żyli w takim przeświadczeniu, że za to, co robimy, po prostu można źle skończyć, że to są jakieś konsekwencje. Przecież kiedy wywoziliśmy takiego świadka w procesie Przemyka, Grzesia Filozofa, z prokuratury, no to zorganizowaliśmy wtedy taką akcję na wzór, ja wiem, Akcji pod Arsenalem niemalże, kiedy na kilka samochodów wyciągaliśmy go z łap SB, bo chcieli go oczywiście aresztować i wtedy zmaltretować, czyli zmiękczyć. Takie rzeczy się działy, ksiądz Jerzy to widział, wiedział i miał tego pełną świadomość, podobnie jak my wszyscy. Tyle tylko, że nie zgodzę się z twierdzeniem, że chciał czegoś takiego jak śmierć czy męczeństwo. Swoją służbę widział inaczej, również służył ludziom, trzeba to jeszcze pamiętać i podkreślić, że przede wszystkim zawsze uważał się za człowieka potrzebnego innym, że on nigdy nie mówił o czymś takim jak "jestem dla robotników, jestem dla lekarzy, jestem dla artystów", nie, on po prostu mówił "jestem dla was", czyli dla każdego, kto potrzebuje. Dlatego jeśli dzisiaj robi się z księdza

Jerzego kogoś takiego, że jest synonimem kapelana, jest kapelanem Solidarności, jest kojarzony z człowiekiem, który stanął gdzieś tam na czele robotników w takiej czy innej sytuacji, to ja twierdzę nieprawda. Jeśli on tam był, to był dlatego, że go potrzebowali, że go poprosili o coś, to był, pojechał, że jeśli ktoś chciał, żeby został ich kapelanem, no to został. Był wcześniej kapelanem środowisk medycznych, ktoś go tam sobie zaprosił do tego, żeby patronował Solidarności, no to w jakimś sensie na to się godził. Z tym, że ja nie pamiętam do dzisiaj, czy rzeczywiście został jeszcze za życia kapelanem Solidarności, czy tylko zwyczajowo go już tak traktowano, czy było jakieś oficjalne mianowanie, nie wiem, tego nie pamiętam. Ale ja księdza pamiętam jako tego człowieka spoza polityki, tego człowieka spoza tych środowisk robotniczych, nie wiem, innych, warszawskich, lekarskich, aktorskich, i jako człowieka, który był dla każdego. Po prostu. Tak jak mi to powiedział. Mówi: "Dla każdego, jeśli cokolwiek potrzebujecie, mówcie mi o tym". I taka była jego, wiesz, idea, jego przesłanie, i tym się zajmował. Natomiast czymś innym jest przygotowanie do męczeństwa, kiedy to z woli Bożej, a nie przecież ludzkiego wyboru takie rzeczy się dokonują. Podobnie tutaj jestem trochę zdumiony tym wyznaniem księdza prymasa, kiedy to w 2000 roku mówił o tym, że żałuje, że nie uchronił życia księdza Jerzego. Jestem zdumiony, bo w czyjej to gestii jest życie każdego człowieka, również księdza Jerzego? Jak można było mówić, że się czegoś nie uchroniło? To już nie od nas zależało. No ale takie wyznanie padło. Ja ze zdumieniem do dzisiaj o tym myślę, że chyba jakbyśmy bardzo chcieli, to nie specjalnie możemy zdecydować o tym, czy ktoś będzie żył czy nie będzie żył. To gdzie indziej był problem, ale tutaj akurat nie. No dobrze, Aniu, to...

Anna Pietraszek: A jak przyszła wiadomość o porwaniu i potem o znalezieniu ciała, to jak ty to widziałeś, gdzie byłeś...

Adam Nowosad: No właśnie.

Anna Pietraszek: Jakim byłeś świadkiem wydarzeń? To tylko z twojego punktu, to nie musi być w konwencji wielkiej historii, bo nie ważne są komentarze, ważna jest twoja pamięć tutaj.

Adam Nowosad: Powiem ci w takim razie coś, czego właśnie zamierzałem nie mówić i nie opowiadać, no ale skoro tak się dzieje i poruszamy tak wiele wątków, to powiem ci również i to, że byłem jednym z tych ludzi, którzy mieli jechać z księdzem Jerzym do Bydgoszczy. Ja dostałem taką wiadomość o tym, że jedziemy do Bydgoszczy, na kilka dni, nie potrafię powiedzieć dokładnie, na ile, ale na kilka dni przed tym wyjazdem, i bardzo się ucieszyłem. Ja mam brata w Bydgoszczy i to miejsce, w które wybierał się ksiądz, to jest dosłownie rzut beretem, po sąsiedzku. I ja miałem w sobie taki szczerzy zamiar odwiedzić rodzinę, i

chętnie się zadeklarowałem, że skoro tak, to proszę bardzo. Nie miałem naturalnie świadomości, jakiego rodzaju zagrożenie istnieje, co się wtedy takiego może dziać. Tak się niestety stało, że w przeddzień wyjazdu, dosłownie wieczorem, dostałem telefon z mieszkania księdza, zadzwonił Waldek, że jest komplet. "Jest komplet, bardzo mi przykro, ale ksiądz mówi, że nie wypada mu odmówić, bo jadą z nim tam bardzo ważni ludzie", jedzie właśnie Jaworski, miał jechać Jacek Lipiński, miał jechać profesor Szaniawski, "i nie ma dla ciebie miejsca". "Przykro mi. Jestem umówiony - mówię - może ja jakoś dojadę tam do tej Bydgoszczy sobie pociągiem" - "To może się zabiorę z powrotem, ale - mówi - trudno powiedzieć, bo jest pełna obsada, więc wracając, może się tak zdarzyć, że też nie będziemy cię mogli zabrać, więc jak chcesz, to ryzykuj, teraz nie możesz pojechać". Ja jeszcze usłyszałem wtedy głos księdza: "Niech się nie martwi, jeszcze się kiedyś razem wybierzemy". No i to już mnie uspokoiło, bo dzwonił od niego z domu. Mówię, dobrze, trudno. I oczywiście następnego dnia dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak się to wszystko udało. Dzwonię, no i głuchy telefon, jakoś mi nikt nie odbiera na Żoliborzu, mówię, coś się dzieje, podjadę. Podjechałem, a tam już jakieś zamieszanie, jakaś konsternacja. Byłem jakoś tak już chyba trochę po obiedzie, to tak było... Skontaktowałem się z którymś z chłopaków, którymś z synów Chrostowskiego, i oni mówią, że ojciec nie wrócił, że coś się wydarzyło. Wtedy już zostałem też tam na Żoliborzu jakiś czas, tak jakby do dyspozycji, żeby w czymś tam pomóc, że co potrzeba zrobić. Myśmy się tam zbierali jakoś spontanicznie, zwoływali, coś się dzieje, nie wiemy co, później ktoś ogłosił, że ksiądz został porwany, że się coś takiego dzieje. Naturalnie byłem święcie przekonany, że to jest po pierwsze pomyłka, po drugie niemożliwe, a po trzecie, jeśli już go porwali, no to za chwilę wypuszczą, że to jest jakiś w ogóle wygłup, że skoro miał wyjechać, to po co komu to potrzebne, że to jest takie straszenie, że to, że tamto. Nie przychodziło nam do głowy, że w ogóle coś takiego się mogło wydarzyć. Dopiero kiedy wrócił Waldek na Żoliborz, to byłem też jednym z pierwszych ludzi, którzy mogli z nim rozmawiać, i wypytałem go bardzo szczegółowo o to, co się wtedy działo. I on mi opowiedział z detalami, opisał całą tę historię o tym, dlaczego postanowił zaryzykować, dlaczego wyskoczył, z jakim cudem mu się to udało. W każdym razie było to bardzo żywe. To był jeszcze taki porozbijany człowiek później. Mało kto dzisiaj wie, że właśnie wtedy pękł mu kręgosłup, znaczy jakiś tam krąg w kręgosłupie, że miał potłuczony łokieć na kawałki, do dzisiaj zresztą ma tam jakieś z tego powodu problemy, że miał później operację w Stanach na ten kręgosłup, żeby mógł w ogóle chodzić. Ja wtedy znałem tę relację już bezpośrednio. I bardzo szybko się o tym wszystkim dowiedziałem. Naturalnie nie wiedzieliśmy, jakie są dalsze losy księdza. No i wtedy przychodziliśmy... Już nie pamiętam, ile to czasu trwało, zanim okazało się to, co się okazało, i tak się złożyło... Ja tam podjeżdżałem, powiedzmy, kilka razy dziennie, na Żoliborz raz, dwa razy dziennie, dowiadywać się na bieżąco, co się dzieje. I tak się złożyło, że byłem w tym czasie w podziemiach kościoła,

w tych takich podziemiach, w pomieszczeniu pod zakrystią. I tam było takie nagłośnienie, był jakiś problem z łącznością, ktoś tam coś naprawiał właśnie, ktoś coś poprawiał. I wtedy przyszła ta wiadomość. Do nas ktoś przybiegł i powiedział o tym, co się stało. I rzeczywiście mam taką ciekawą i bardzo przykrą dla mnie refleksję z tym związaną. Bo ja, kiedy usłyszałem, że ksiądz zginął, przeraziłem się, jakby zasmuciłem tym faktem, niedowierzaniem, że to niemożliwe przecież, że Boże drogi, jak to się mogło wydarzyć. I usłyszałem wtedy głos księdza Przekazińskiego, który stanął i powiedział: "No, to mamy świętego". Dobrze, to prorocze słowa, mam nadzieję, znaczy ja jestem tego pewny. Ale wtedy przyznam, że to wyznanie, ten taki zakrzyk księdza, to mnie zważyło z nóg. Ja w tym momencie wyszedłem na powietrze, wyszedłem z zakrystii, wyszedłem gdzieś na teren kościoła, zacząłem gdzieś tam sobie chodzić pomiędzy tymi drzewkami, które tam gdzieś z tyłu rosną, trzymając się za głowę, nie mogąc wyjść z szoku. I w tym czasie... to się działo jak gdyby w mojej obecności, ale nie byłem w środku kościoła w tym momencie, natomiast, jak mówię, wyszedłem, żeby ochłonać, zszokowany tym, co się stało, i słyszałem tylko, że jest jakiś tumult, jakieś zawodzenie, jakiś tam jęk w kościele, no ale nie wchodziłem tam. Powiem tak, pojechałem sobie do domu stamtąd. Jak się dowiedziałem, co się stało, pojechałem, nie wiem, chodziłem jeszcze po mieście, chyba żeby ochłonać, żeby jakoś oswoić się z tym, co się wydarzyło. Kiedy już wróciłem do domu, no to już to ogłosili wszyscy oczywiście, pytali mnie, „co, jak tam, gdzie byłeś, co widziałeś?”, no mówię, że widziałem i słyszałem, no coś takiego usłyszałem. Wtedy mnie to bardzo zdumiało, że można z takim spokojem powiedzieć, że mamy świętego. Myśmy byli wszyscy gotowi ryczeć z bólu. Bo zabito kogoś, kto dla nas był kimś niezwykłym. Nawet nie wiem, jak powiedzieć, kim. No kimś niezwykłym. I słyszę w tym momencie: "No to mamy świętego". No dobrze. Dziś wiemy, że mamy świętego. Tylko wtedy nie było to takie proste, żeby to zaakceptować. Nam się wydawało, że zginął ktoś, kto nam pomagał żyć. To właśnie tak może. Ktoś, kto był dla nas podporą, jakąś taką opoką, której istnienia świadomość mając, no byliśmy jakoś pewni, że jest ktoś, do kogo się można zwrócić. I nagle dowiadujemy się, że nie, że oto mamy świętego. No teraz już, po latach, wiem, że dobrze, że mamy świętego, że dalej możemy się do niego zwracać, rzeczywiście. Był proroczy w tym, co powiedział, ksiądz Przekaziński, ale na mnie wywarło to wtedy ogromne wrażenie i wręcz zszokowało. To, co się działo później, ja uczestniczyłem jeszcze w pogrzebie, byłem w tych wszystkich miejscach, gdzie można było być, a miałem te wszystkie oznaki służb porządkowych, więc przemieszczałem się tam po terenie, nawet wspiąłem się na tę najwyższą wieżę kościoła, żeby zobaczyć, co się dzieje dookoła. I wtedy zobaczyłem ten niezwykły widok, to morze ludzi, ten taki napływający tłum uczestników, tych ludzi dookoła na dachach, stłoczonych, skupionych wokół tego grobu, wokół tej trumny, bo ona, jak wiem, była wystawiona na katafalku przed wejściem. I to było takie kolejne dla mnie silne przeżycie i wrażenie, że

jak gdyby wydarzyło się coś nieprawdopodobnego. Coś, czego ja nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek doświadczę, aczkolwiek byłem na pogrzebie kardynała Wyszyńskiego, znamy ten tłum ludzi też, który tam szedł ulicami, ale to skupienie w tym jednym miejscu właśnie, nie jakiś przemarsz, nie ten kondukt, tylko to bezkresne morze ludzi oglądane z góry zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Jest jeszcze jedna taka rzecz, że z góry zobaczyłem tę czeluść grobu, do której wkładano księdza, i też w samotności zostałem tam jakiś czas, sobie popłakując, na tej wieży kościoła, jak gdyby w ten sposób żegnałem się. Miałem oczywiście jeszcze taką sposobność takiego osobistego pożegnania z księdzem Jerzym, kiedy nad ranem wyproszono wszystkich z kościoła, bo trzeba było coś tam przeorganizować, już były przygotowania do pogrzebu i jeszcze coś robiono z trumną, nie umiem powiedzieć, czy ją tam zabijano już śrubami, czy skręcano, nie wiem, na czym miała polegać ta historia, i w pewnym momencie przybiegł do mnie Waldek właśnie, mówi: "Jak chcesz się pożegnać, to wejdź teraz do kościoła, bo jest jeszcze taka szansa, żebyś mógł dotknąć trumny, bo za chwilę już będzie wszystko zamknięte". I ja wszedłem, i wyobrażacie sobie, byłem sam. Podchodząc do tej trumny ucałowałem, dotknąłem i byłem sam w tym kościele w tym momencie. I to też taka kolejna historia, która...

Anna Pietraszek: Trumna była zamknięta?

Adam Nowosad: Trumna już była zamknięta, tak. No niemniej jednak kolejne takie nieprawdopodobne przeżycie i taka możliwość tej chwili, bo to trwało chwilę rzeczywiście. Zaraz zaczęli wchodzić jacyś tam ludzie, coś już się zaczęło dziać. I ja tak jakby byłem po raz kolejny z łezką w oku, z łzą w oku, pożegnać się z księdzem, to było takie moje z nim ostatnie spotkanie. Bo swojego ostatniego spotkania za życia nie pamiętam. Po prostu nie umiem sobie dziś przypomnieć, jak to było, w jakich okolicznościach. Było ich tak wiele, że nawet nie pamiętam tego ostatniego.

Anna Pietraszek: A czy miałeś okazję widzieć go po śmierci?

Adam Nowosad: Nie. Ja nie, dlatego że ja byłem cały czas na Żoliborzu, księdza przywieziono już w kondukt, już w trumnie, w takiej prostej drewnianej trumnie. Ja znam te relacje, po latach obejrzałem zdjęcie też z Parimatcha, bodajże to takie, gdzie jest zmasakrowana twarz księdza Jerzego. Nie wyobrażam sobie, czy można byłoby spokojnie... Przepraszam bardzo, ale rzeczywiście nie mam, nie wziąłem. Czy można byłoby spokojnie... Ach, jest. Przejść koło takiego widoku. Ty to znasz, tak?

Anna Pietraszek: Ale pokaż.

Adam Nowosad: To jest ten widok. To jest ten widok. No to jest straszna rzecz. Nikt mi nie powie, że to się stało tak sobie, od jakiegoś tam uderzenia ręką czy nawet jakąś pałką.

Anna Pietraszek: Już nikt nie próbuje tak mówić na szczęście.

Adam Nowosad: Jeszcze opowiem coś ciekawego, co też jest mało znanym faktem. Otóż kiedy po latach... Może dokończę jeszcze ten wątek pogrzebu. Po pogrzebie przestałem już zupełnie przychodzić na Żoliborz. Dla mnie to było traumatyczne, bolesne przeżycie, ja się rozstałem z księdzem Jerzym wtedy, uważałem, że koniec, zamknęła się ta historia. Tam się wtedy zresztą pojawiło całe mnóstwo ludzi różnych, ważnych, bardzo ważnych. Nie wiem, żeby było gdzieś można wejść, to trzeba było mieć jakieś tam przepustki, jakieś cuda. Jeszcze odwiedzałem Waldka, bo on tam jakiś czas mieszkał na tym Żoliborzu, ale też mu mówiłem, że to, co się tutaj dzieje, to już jest żenada, bo teraz nagle wyrosły nam jak z podziemia rzesze bohaterów, którzy tam postanowili, nie wiem, strzec miejsca chyba. I na jakiś czas, na długi czas, wyłączyłem się w ogóle z tego środowiska, z działania tam na Żoliborzu, odwiedzając tylko grób księdza oczywiście. To bardzo często, to robię do dzisiaj zresztą, niezależnie od tego, czy tam jestem tak czy inaczej podejmowany. Ilekroć jest taka potrzeba, jeżdżę tam zawsze z intencjami swoimi lub czyimiś i wiem, że jest to to miejsce, gdzie trzeba być. Kiedyś spotkała mnie przy tym grobie w jakimś takim zamodleniu pani Nela Wojniakiewicz, już świętej pamięci, taka opiekunka muzeum, które wbrew temu, co się dzisiaj mówi, istniało już od dnia śmierci księdza Jerzego, bo ta właśnie pani zaczęła zbierać wszelkie drobiazgi, wszelkie pamiątki i zaczęła je gromadzić gdzieś tam w podziemiach kościoła. Było to usankcjonowane, nominowane, ksiądz Bogucki nawet wydał taki specjalny edykt, że oto jest muzeum. Istnieje wiele ksiąg, wpisów muzealnych z tych lat, wręcz tysiące, bardzo wielu różnych ludzi. I ja tam, w tym muzeum, spędziłem, nie wiem, dobre dziesięć lat, może dłużej, jako taki człowiek wspierający tę panią, bo była to samotna, starsza już osoba, jak zmarła, miała osiemdziesiąt lat, trzeba było jej pomagać. Tam się angażowałem, zajmowałem się też jakiś czas grobem księdza, bo wyschła trawa jak nieszczęście, ja byłem kiedyś ogrodnikiem, więc znałem się na tym, restaurowałem tę mogiłę. To też piękna rzecz. I co takiego chcę opowiedzieć, co miało związek z trumną księdza. Kiedy jeszcze stała w kościele, jakaś pani podeszła też, żeby się pożegnać, bo była taka możliwość, po prostu tłum ludzi się tam przesuwiał przed tą trumną i każdy tam mógł dotknąć, ucałować, jakoś przechodzili. I ta pani zobaczyła coś takiego, że z nóżki trumny sączy się krew. Z nóżki trumny. Miała przy sobie różaniec, krzyżyk i jakieś kwiatki, stokrotki, które chciała położyć na trumnie, bo wiedziała, że ksiądz Jerzy kochał kwiaty, bo rzeczywiście kochał je. Dlatego miałem takie względy jako ogrodnik. Zamoczyła, wyobraźcie sobie te stokrotki w tej kwi i zamoczyła krzyżyk tego różańca. Minęło wiele lat, pani Nela jako taka bardzo troskliwa osoba... Jak mówię, zbierała

każdy drobiazg. Zebrała też to płótno, na którym stała trumna, spod tego katafalku, i przechowywała je przez lata. I kiedyś, ze zdumieniem, odkryła, że rzeczywiście są tam odciski trumny i pod jedną nóżką jest taki krwawy wyciek. Myśmy się zastanawiali długo, pytaliśmy różnych ludzi, jak to możliwe, i zapewniano nas, że absolutnie nie, dlatego że trumna była metalowa, była zalutowana... Właśnie wtedy chyba, kiedy wyproszono ludzi z kościoła, ona była zalutowywana, być może coś takiego się działo. I że to jest niemożliwe, żeby z metalowej trumny wyciekło coś takiego. Ten fakt był kwestionowany, niemniej jednak myśmy to w muzeum wyeksponowali. Zrobiłem taką specjalną skrzyneczkę na tę relikwię. I tylko niewiele osób mogło z tą relikwią mieć kontakt, już takie osoby, które Pani Nela bardzo chciała uhonorować, tam biskupi jacyś, jacyś tam wielcy ludzie ze świata, mogli przyklęknąć i ucałować tę relikwię. Niemniej jednak było to kwestionowane jako relikwia i pewnie jest tak po dzień dzisiejszy. Gdyby nie to, że kiedyś ta pani nadesłała do muzeum właśnie ten krzyżyk i te stokrotki z takim świadectwem, że właśnie wtedy, kiedy się żegnała, widziała to zjawisko na własne oczy, i przysłała również te zasuszone kwiatuszki i ten krzyżyk, bo jakoś już stwierdziła, że odchodzi z tego świata, że to jest taka dla niej rzecz ostatnia, którą chciałaby przekazać. I napisała takie świadectwo. Więc twierdzę, że mamy również taką wspaniałą relikwię, chyba dość niezwykłą, gdyby się potwierdziło, że jednak była to trumna metalowa i jeszcze zalutowana. To opowiedziałem, odpowiadając na twoje pytanie, czy widziałem. Nie, nie widziałem. Rzeczywiście przyjechała zalutowana i powiem tak, nigdy nie chciałbym tego widzieć, takiego widoku. Kiedy zobaczyłem po raz pierwszy w jakichś tam okolicznościach, to też to bardzo przeżyłem. To jest widok straszny. No nie wiem, Aniu, ja mówię, trzy lata. To jest... Nie ma takiej szansy, żebyśmy sobie opowiedzieli wszystko. Mówię o jakichś urywkach, strzępkach, coś śladujemy, może coś cię kiedyś zainteresuje, może spróbujemy...

Anna Pietraszek: A rozmawiasz z nim?

Adam Nowosad: Z księdzem Jerzym? Ależ codziennie. Rano i wieczorem, czasem i w nocy.

Anna Pietraszek: Pytasz go różne rzeczy, tak jakby stał koło ciebie?

Adam Nowosad: Ja śpię w takim miejscu i tak metr ode mnie wisi jego fotografia, portret wykonany przez Teresę Chromy, nie fotografia, tylko portret, wykonany przez Teresę Chromy, które to zdjęcie tego portretu bardzo sobie cenię, bo twierdzę, że Teresa oddała najlepiej, jak było można jego spojrzenie, jego oczy. Bo to był ten pierwszy moment, w którym się zaczęła moja znajomość z księdzem, gdzie, jak przypominam, ja pojechałem tam nastawiony niechętnie, że szkoda czasu, że nie, i jak spojrzałem w te jego oczy, to wtedy, zaczarowany, już bez jakichkolwiek wątpliwości, bez jakichkolwiek pytań,

wiedziałem, że muszę być do dyspozycji. Że cokolwiek mi się nie działo, jestem tu potrzebny, proszę bardzo, cała reszta się nie liczy. Nie liczy się ani biznes, ani małe dzieci, że trzeba tu być i tyle. Moja rodzina zrozumiała, jest katolicka i wiedziałem, "No gdzie ty jesteś?" - "No u księdza" - "Gdzie ty jeździsz po tych nocach?" - "No u księdza jestem". To było też takie dość problematyczne, no ale jak trzeba było, to się wychodziło, jechało i trzeba było nocować u księdza, no to się nocowało. Tak, rozmawiam z nim codziennie i każdego zachęcam. Bo jest bardzo kontaktowy. Tylko trzeba się postarać rzeczywiście o taką fotografię, ja gdzieś ją tu jeszcze chyba mam, znowu będzie... O.

Anna Pietraszek: Powiedz mi, jak pamiętasz te jego oczy?

Adam Nowosad: To polecam, spójrz sobie na te oczy. Niebywałe, przenikliwe, ciemne, jak dobrze pamiętam, piwne, czyste, było w nich coś takiego, że jak na ciebie spojrzał, to wszystko już wiedziałś. Po prostu. Spojrzał na ciebie i już wszystko wiedziałś w tym momencie. Czyli jakby załatwiał wiele spraw bez słów. Był jakiś problem, jakaś potrzeba, mówi, trzeba to, trzeba tamto, no człowiek jakoś tak niechętnie, bo a to ma to na głowie, a to ma tamto na głowie, no i jak się mu spojrzało w oczy, to było wiadomo, że trzeba, no to już jedziemy. Tak, to niezwykle spojrzenie, niezwykle oczy. To się udało temu aktorowi zrobić. Oni zwrócili na to świetnie uwagę, ja w każdym razie, jak na tych plakatach oglądam, wyeksponowane są oczy księdza, to jest to takie niezwykle zjawisko, o którym może kiedyś opowiem, dlaczego mnie tak te oczy zafascynowały.

Anna Pietraszek: A teraz nie?

Adam Nowosad: Nie, nie. Teraz już nie, bo to z kolei z innych wątek, pootwieramy za dużo spraw. Ale kiedyś o tym opowiem, rzeczywiście, obiecuję ci, zapewniam cię, że będzie to bardzo ciekawa opowieść. I co do tego, jak rozmawiamy, budzę się i patrzę od razu na niego.

Anna Pietraszek: A jak zamkniesz oczy, możesz go widzieć?

Adam Nowosad: Tak, tak, no ja...

Anna Pietraszek: I pamiętasz jego wzrok wtedy, jak zamkniesz oczy?

Adam Nowosad: Tak. Ja tę postać mam tak utrwaloną, że z całą pewnością, nie rozstajemy się.

Anna Pietraszek: A jak go wołasz, to czujesz, że stoi przy tobie?

Adam Nowosad: Tak.

Anna Pietraszek: Nawet fizycznie można to poczuć?

Adam Nowosad: Tak, ja jestem przekonany, że jest zawsze wtedy, kiedy go potrzebuję. Bo mi to powiedział jeszcze za życia.

Anna Pietraszek: To jesteś przekonany, ale czy masz nawet tego typu odczucie, jakby stał, że czujesz ciepło, które jest od niego? Czuję ciepło... Czuję obecność. I nie mam co do tej obecności najmniejszych wątpliwości. Gdybym miał określić to jakimiś słowami, no przyznam, że trudno mi, nie wiem, czy czuję jakieś powiewy, czy czuję jakieś chłody czy ciepła. Ja po prostu wiem, że on jest. I jest zawsze wtedy, kiedy się do niego zwrócę, kiedy go potrzebuję, kiedy budzę się rano i się modłę, to rozmawiam z nim, ja się przyłapuję nad tym, że za często z nim, że bardziej powinienem się w stronę krzyża odwrócić, ale tak jakoś się dzieje, że jeśli chcę podziękować za to, że dzień się zaczyna, to też się witam z Jerzym, jak się kładę spać, to też polecam mu swój sen. To się w człowieku wykształca. Ktoś taki jak ja jest do końca przeświadczony o tym, że mamy do czynienia z obcowaniem świętych. I nie mam co do tego cienia wątpliwości, a więc pozostaję przy nim i przy tym przekonaniu. Ja gdzieś napisałem, nie wiem, czy to do ciebie dotarło, takie swoje wrażenia z pobytu w szpitalu, kiedy robiono właśnie mi te zabiegi w sercu. I kiedy się pokomplikowała sprawa, i okazało się, że jest bardzo źle, i lekarz wpadł tam w panikę, bo czegoś tam się nie udało, coś mi tam próbowali zrobić, a to jakoś się nie udało i pojawiła się jakaś taka dramatyczna historia, którą ja jeszcze resztką przytomności kojarzyłem... I wtedy napisałem o tym, że poczułem dłoń, ktoś mnie trzymał za rękę. Ja byłem naprawdę słabo przytomny. Poczułem ciepło tej dłoni, nieprawdopodobne ciepło tej dłoni. Kiedy akcja się na moim sercu udała i odzyskałem... Bo ja jeszcze w takiej reszcie przytomności zdążyłem tylko zawołać: "Księdza Jerzy pomóż", i później, kiedy już mnie tam docucono i okazało się, że jest w porządku, to spojrzałem i stała przy mnie bardzo miła, fajna pielęgniarka, która trzymała mnie za rękę, rzeczywiście, ta pani. Bardzo się ucieszyłem, uśmiechnęliśmy się, później to jest taka procedura, wywożą człowieka na tę izbę opieki medycznej intensywnej, i ja tam leżę, kiedy już zostaje człowiek sam, tak chłonie z tego wydarzenia, bo to jest ciężkie przeżycie, kiedy jest się na krawędzi utraty życia, bo naprawdę nie była to zabawa, i już chłonę, ciągle czuję takie ciepło dłoni. No i wtedy po raz pierwszy sobie uświadomiłem, że jednak był i trzymał mnie za rękę.

Anna Pietraszek: Kiedy to było?

Adam Nowosad: To był rok 1983, kiedy ten zawał... Przepraszam, to 2003 rok, przepraszam bardzo, 2003. Wtedy sobie uświadomiłem tę jego fizyczną obecność i jeszcze nie do końca potrafiłem uświadomić sobie, dlaczego. I kiedyś dostałem od kogoś Biuletyn IPN-u rocznicowy z dwudziestej

rocznicy od śmierci księdza i tam przeczytałem artykuł, wspomnienie pewnej dziewczynki, takiej pani Moniczki Plusakow, która opisywała, ta dziewczynka, znaczy to jest relacja jej ojca, opisywała takie zdarzenie, że ksiądz Jerzy siedział przy niej i trzymał ją za rękę. I wtedy, jak ja to przeczytałem, to znowu szok, doznałem takiego niezwykłego, radosnego odczucia, bo uświadomiłem sobie, że no, że on tak robi. Że po prostu jest i trzyma za rękę człowieka. Dlatego właśnie spisałem choćby i to doświadczenie, żeby pomagać innym, którzy mają tego typu problemy i są tam gdzieś samotni, bo tak naprawdę, kiedy człowiekowi przychodzi umierać, to jest trochę samotny. Widzi tylko krzątanie jakichś ludzi i niespecjalnie wie, co będzie dalej. I to taka obecność kogoś takiego jak ksiądz Jerzy jest potrzebna. I stąd to moje przeświadczenie, że taka modlitwa powinna być pod ręką, żeby można było się do niego zwrócić o taką pomoc, żeby po prostu był, że on naprawdę pomaga i jest. No i to chciałbym na dziś jakby...

Anna Pietraszek: Tak czułam, że dobijamy do...

Adam Nowosad: ...zostawiając...

N0248_kr_FINAL_4_8

Adam Nowosad: ...poprzedzające i zacząłem opowiadać o księdzu, o jego stosunku do prześladowców. I to okazało się ciekawym wątkiem. Mnóstwo ludzi zadzwoniło, bo dzwoni ktoś, kto opowiada, że nie mógł właśnie zrozumieć, jak ktoś taki jak ksiądz mógł swojego psa nazwać Tajniak.

Anna Pietraszek: Ale to byśmy mogli to od razu [niezrozumiałe, 00:00:32]

Adam Nowosad: Oczywiście, mnie to nie przeszkadza, to może sobie iść. I musiałem wyjaśniać, że rzeczywiście nie był to absolutnie tajniak, tylko ksiądz dostał tę psinę, ktoś mu tam przyniósł i już nadano jakąś nazwę temu pieskowi.

Anna Pietraszek: Ja miałam Albina.

Adam Nowosad: Albin?

Anna Pietraszek: Za Siwaka.

Adam Nowosad: A, Za Siwaka.

Anna Pietraszek: Tylko że jedna sąsiadka miała męża Albina, więc przerobiłam go na Alpina.

Adam Nowosad: Tutaj Robert, znany śledczy wszelkich ruchów new age'owych, od razu doszedł do wniosku, że nie wolno mówić o zwierzęciu, które ma imię, bo to jest uczłowieczanie, a jeśli jest uczłowieczanie, to już jest new age. Zwierzę nie może być uczłowieczone.

Anna Pietraszek: Ale Tajniak jest przymiotnikiem.

Adam Nowosad: Niemniej jednak rzeczywiście wydało się to tym ludziom dziwne i ja to dementowałem. Warto by przypomnieć, że nie, on tak naprawdę był nazwany Tiny. Kto zna dobrze angielski, jeśli się nie mylę, z angielskiego to znaczy drobny, szczupły, drobiazg taki. Tiny. Znasz takie określenie? Tiny. I taka była nazwa tego psa, on taką tę psinę otrzymał i tak już go wołano. Ksiądz się bardzo zbuntował, mówi: "Nie, to jest niemożliwe, musimy go nazwać jakoś inaczej". Niemniej jednak to zostało. Po prostu między nami już przyjęliśmy sobie takie określenie Tiny. I ksiądz zawsze protestował, nie wolno, nie wołajcie tak na niego, nie wypada. To jest taka rzecz, o której też warto ludziom przypomnieć, że jeśli kojarzy im się stosunek do prześladowców, właśnie taki negatywny, to jest to nieprawdą. Wprost przeciwnie, on każdego uważał za dziecko Boże i tłumaczył nam długo, że to jest taki sam człowiek, takie samo dziecko Boże i nie wolno się z nich ani naigrywać, ani robić tego typu żartów, jak nazywanie psa takim imieniem. Co więcej jeszcze, te jego... To już nagrywamy?

Głos: Cały czas.

Adam Nowosad: Te jego historie o tych herbatach sławne, herbata, kawa, gdzieś tam widziałem w jakimś telewizorze, że któryś z robotników opowiadał o tym w tonie sensacji, że tak wyszliśmy, a było śmiesznie, a było fajnie, a uciekali, a się denerwowali. Otóż nie, ksiądz to robił z odruchu serca, najzwyczajniej w świecie. Kiedy widział ich siedzących w samochodzie na mrozie, no to przychodziło mu do głowy, żeby po prostu poczęstować ich herbatą. Zwyczajnie. Nie w takim znaczeniu, żeby sobie zrobić z nich żarty czy im dokuczyć, tylko przyszło mu do głowy, że są w potrzebie, siedząc ileś godzin w samochodzie. Mówi, „A może nie mają herbaty, mówi, wiadomo, jak tam o nich dbają?” Stąd to płynęło. To nie było coś takiego, że "dokuczemy im". Podobnie rzecz się ma do fotografowania sławnego. W zapiskach, opublikowanych już dziś, księdza Jerzego jest taki fragment poświęcony akurat mnie osobiście i Krzysiovi Chrostowskiemu, nazwał nas tam ksiądz bardzo sympatycznie, "chłopcy". Zrobili im mnóstwo zdjęć. Otóż któregoś razu, to opowiadałem już na Żoliborzu, my wpadliśmy na pomysł, że skoro ich tu tylu jest, to może zrobimy im zdjęcia, samochodom, żebyśmy poznali numery rejestracyjne samochodów, i będziemy je jakoś katalogować. I taki był nasz zamysł. I więc myśmy sobie śmiało z tym aparatem wyszli na zewnątrz, zaczęliśmy robić zdjęcia i okazało się, że sprowokowało to ich jakąś ostrą reakcję. Któryś z nich

nie wytrzymał i ruszył samochodem prosto na nas. Myśmy uciekali, do tego stopnia, że samochodem dojechał do samego muru ogrodzenia. Na Żoliborzu jest solidne ogrodzenie, takie kute, z porządnym murem, i musieliśmy przeskoczyć przez to ogrodzenie. Dopiero on się zatrzymał, no nie wiem, 20 centymetrów przed samochodem, do tego stopnia ich to rozwścieczyło. Ksiądz spał, ale jak usłyszał harmider, zobaczył co się dzieje, to zdecydowanie zabronił nam tego typu zachowań i powiedział, że od tej pory nie mamy prawa, nie ma zgody, żebyśmy wyszli w ogóle na zewnątrz, poza ogrodzenie, jest to za duże ryzyko. I też mówi, nie prowokujcie, nie wolno drażnić, są, to są, są w pracy, robią swoje, trudno. Taki był stosunek księdza do prześladowców, więc należy to przypominać ludziom i właśnie zwracać uwagę, że broń Boże nie traktował ich gorzej z racji tego, że byli w UB, że tam pracowali. Nam tłumaczył, że to są tacy sami ludzie, tylko po prostu zdeformowani, zmienieni przez system, któremu służą, ogłupieni, i trzeba się za nich modlić, a nie dokuczać i nie prześladować. To tak na marginesie. Teraz, Aniu, jeśli można, ja już, szczerze powiedziawszy, nie pamiętam, o czym myśmy ostatnio rozmawiali, bo to było bardzo, bardzo długo. Ty wiem, że robiłaś jakieś notatki, i mnie się wydało, że warto by było wrócić do jakichś wątków, które dla ciebie byłyby interesujące, żeby spróbować je rozwinąć. Bo na przykład nie wiem, czy mówiliśmy o moim pożegnaniu z księdzem, wtedy, kiedy byłem w kościele sam jeden, z trumną.

Anna Pietraszek: Tak, to mówiliśmy. Ale możesz opowiedzieć, coś może nowego przyszło do głowy.

Adam Nowosad: Nie, nie, właśnie zastanawiam się. Później o tym, jak Przekaziński zawołał: "Mamy świętego", co dla mnie było szokiem. Dobrze, tak staram się sobie przypomnieć mniej więcej, gdzie tam... bo to było dosyć długo i teraz, żeby wrócić do niektórych wątków, to liczyłbym na to, że sprowokujesz to jakimiś pytaniami.

Anna Pietraszek: Ale właśnie mi zabrakło jakby i taka potrzeba jakaś jest w środku, jak by opisać przyjaciela przyjaciela. To znaczy, żeby o takim osobistym stylu powiedzieć, tak jakbyś miał na przykład opisać mnie Leszkowi, gdyby mnie nie znał, jak wyglądam, jak się zachowuję, jakie mam skłonności, jakie odruchy, temperament taki czy inny, co nosił, jak się ubierał, dlaczego się tak ubierał. Co tylko takiego o osobie, o samej osobie?

Adam Nowosad: O samej osobie. Zacząłbym może od tego, że po pierwsze, nigdy nie uważałem się za przyjaciela księdza Jerzego, to tak na marginesie. Mnóstwo ludzi do dzisiaj lubi podkreślać swoje związki, nazywając je przyjaźnią. Otóż trzeba wiedzieć, że ksiądz był człowiekiem bardzo otwartym, usposobionym życzliwie do każdego i na ogół zwracał się po imieniu od razu, niezależnie od wieku, rangi,

niezależnie od, powiedzmy, jakiejś pozycji człowieka, mówił do niego per ty i wielu ludzi czuło się zaproszonych i odpowiadało tak samo, "A, no to wiesz, Jurek", tak czy inaczej. Ja miałem taki specyficzny dystans, pewnego rodzaju hamulec przed takimi zachowaniami. Dlaczego? Dlatego, że mnie w dzieciństwie w jakimś tam etapie mojego rozwoju wychowywali księża, zajmowali się mną, tak jak to rozumieli od strony formacyjnej. Dlaczego? Otóż myśmy mieszkali w różnych dziwnych miejscach, po lasach, na ogół w leśniczówkach w różnych miejscowościach. Mój tata był leśnikiem, ukrywał się po wojnie, po pacyfikacjach na wschodzie musiał się ewakuować, wtedy, kiedy tam wymordowano całą rodzinę i zniszczono cały majątek, ojciec jako jedyny ocalał i gdzieś przedostał się na tereny Pomorza, i tam w różnych miejscach do końca życia ukrywał się, i moje dzieciństwo tak wyglądało, że część spędzałem w Warszawie, część, lato na ogół, gdzieś w jakichś leśniczówkach. I tam przyjeżdżali księża, którzy zajmowali się... posługiwali w jakimś lokalnym kościele i na ogół mieszkali u nas. Więc ja z nimi miałem od dzieciństwa duży kontakt i dla mnie ksiądz był zawsze kimś specjalnym. To nie była taka osoba, do której się mówi "cześć, słuchaj, to"... Dlatego ja do księdza Jerzego przyjąłem podobną postawę od razu. Do mnie naturalnie mówi po imieniu, ja zawsze "proszę księdza". "Proszę księdza, proszę księdza, proszę księdza, to". I stąd ja nie twierdzę, że mógłbym kiedykolwiek uznać się za przyjaciela. Wiesz, zawsze byłem kimś, kto tam zgłosił się, żeby go wspierać, pomagać mu. Oczywiście zażyłość, do jakiej doszło, czyli częste kontakty, rozmowy na wiele różnych rzeczy, tematów, ilość czasu, jaką tam spędzałem, mogłaby uprawomocnić takie twierdzenie, że byliśmy na etapie przyjacielskim, niemniej jednak ja unikam tego słowa. Dlatego z tej perspektywy nie. Natomiast z perspektywy uczestnika tych zdarzeń, człowieka, który miał szansę i możliwość pomagania komuś takiemu jak ksiądz Jerzy, to oczywiście wiele mogę powiedzieć o jego sposobie bycia, zachowania, o jego bezpośredniości. I warto tu może zacząć od tego, że jak wiemy, jest to człowiek Podlasia, człowiek o specyficznej aparycji. To jest ktoś taki... To do dzisiaj widać po mamie księdza Jerzego, kiedy spotyka się ją, przywita i odezwie, to od razu mama promienieje uśmiechem. Podobnie i ksiądz Jerzy. Na każde przywitanie, na każde spotkanie, na dzień dobry, promieniał uśmiechem, witał się serdecznie, był bardzo ciepły, otwarty i dopiero po chwili przychodziło coś takiego, że pytał o to, „co tam u ciebie, w czym ci można pomóc?”. To było takie standardowe zachowanie na przywitanie. I tak mniej więcej określiłbym sposób jego bycia. Zawsze otwarty, zawsze uśmiechnięty, zawsze ciekaw ludzkiego losu, czyli tego, co się dzieje, bo prawdopodobnie wychodził z założenia, że może jest to ktoś taki, komu można pomóc. To była jego postawa taka generalna. Jak się co dzień zachowywał wtedy, kiedy byliśmy sami, kiedy nie było ludzi, kiedy była taka szansa, ten czas, żeby usiąść, pogawędzić? Bardzo swobodnie, luźno. Na ogół bez sutanny, czyli gdzieś w jakiejś koszulinie, spodniach. Ja pamiętam, że jednak nosił czarną koszulę. Wielu

ludzi twierdzi, że lubił kolorowe stroje, wręcz gdzieś słyszałem, że chodził w jaskrawych zielonych spodniach, ale być może. Natomiast sobie przypominam raczej ubierał się młodzieżowo jak na tamte czasy, jakieś džinsy, jakiś szeroki pas i jakaś czarna koszula, taka pod koloratkę, ale rzeczywiście wtedy, kiedy nie musiał, kiedy był z nami, to wyglądał bardzo swobodnie. Lubiał pożartować, był człowiekiem niezwykle komunikatywnym i lubiał dowcipy. Więc kiedy ktoś miał jakiś dowcip, to zawsze się z nim dzieliliśmy i często rewanżował się jakimś dowcipem, więc lubiał się pośmiać. Co jeszcze? Lubiał pograć w karty. Miał taką swoją ulubioną grę, tysiąca. I wtedy, kiedy już było spokojnie, kiedy już wszyscy się rozeszli, wiadomo było, że nikt nie będzie przeszkadzał, to w zależności od tego, ilu nas tam przy nim zostało, dwóch, trzech, czasami jeden, czasami sam z nim grywałem, mówił: "Słuchaj, jak sobie pogadaliśmy, zagrajmy w karty. Mnie to znakomicie jakoś odciąga od spraw bieżących, wyłącza". I tak, i często nam się zdarzało. Ja też umiałem akurat grać w tysiąca, więc bardzo często graliśmy sobie w karty. Co jeszcze? Lubiał zapalić, niestety. Ale niewiele. Nie było mu wolno, miał świadomość tego, jako ksiądz nigdy nie demonstrował tego nałogu, zawsze unikał, zawsze gdzieś tam, jak nikt nie widział, jak zostawialiśmy sami, mówił, „Słuchaj, otworzę okno, zapalę sobie”. Miał jakieś, dostawał tam od tych, którzy przywozili dary z zagranicy, jakieś dobre papieroski, i tak zostawał, mówi: "Co mi zostało jako księdzu? To jeszcze chyba tylko to, że mogę sobie zapalić". Ale niewiele. To było dosłownie jeden, dwa papierosy w ciągu dnia. Wtedy, kiedy już rzeczywiście nie mógł. Niemniej wiem, że miał wyrzuty, bo Teresa Chromy, która była nałogową palaczką wtedy, jakoś starała się wyperswadować mu, że to tak się zaczyna, że się pali niewiele, a później wpada się w nałóg. Więc nazywał ją siostrą w nałogu. I stąd wiem, że miał ten problem. Miał świadomość, natomiast jakoś nie chciał pozbawić się tej przyjemności. Uważał, że zapalenie jednego papierosa nie jest jakimś dramatem.

Anna Pietraszek: A kto to była Teresa?

Adam Nowosad: Teresa Chromy to była autorka portretu księdza Jerzego, jedyna, jaka namalowała portret za życia księdza, jakoś łapiąc go tam w przelocie między różnymi wydarzeniami. Udało jej się uchwycić tę sławną pozę, taką z palcem podpartym, i to jest ten portret Teresy Chromy. Zresztą to są najlepsze portrety księdza Jerzego, jakie do tej pory widziałem. I tak się złożyło, że miałem to szczęście, że pojechaliśmy z Teresą Chromy do Ojca Świętego zawieść ten portret do Watykanu w darze dla Ojca Świętego i jest on dziś gdzieś w Muzeach Watykańskich.

Anna Pietraszek: A kiedy pojechaliście?

Adam Nowosad: W jakim roku? No właśnie, tu się zaczyna mój problem. Ja nie pamiętam dat. Ale to już było długo, długo, długo po śmierci. Bodaj z dziesięć lat, może około dziesiątej rocznicy, może dwunastej, gdzieś tak w tych latach, musiałbym sobie to przypomnieć. Wyjechaliśmy tam taką grupą właśnie z Waldkiem Chrostowskim, z Teresą Chromy i z grupą krakowskich, z księdzem Jancarzem i grupą jego przyjaciół, tych, którzy pomagali księdzu Jancarzowi w Mistrzejowicach jeszcze wtedy, kiedy działał, za czasów Ojca Świętego. No oczywiście wspaniała pielgrzymka, wspaniałe spotkanie, niezwykle wrażenia, bo to możliwość posłuchania Ojca Świętego, bodaj zamienienia dwóch słów, zawsze zostawia ślad w człowieku i do dziś podobnie jak u ciebie, u mnie też wiszą tego typu zdjęcia i z sympatią wspominam, podziwiając... To był podobny okres, Ojciec Święty jeszcze w dobrej formie, w całkiem niezłej, może nie już idealnej, bo już po zamachu, ale w całkiem niezłej formie. No oczywiście jego komunikatywność i znakomita pamięć robiła na każdym wrażenie, bo tak jak już wspomniałem, wiedział niemal o każdym, kto tam był, cokolwiek. Czyli wystarczyło się przedstawić z jakiego środowiska, od razu potrafił zapytać o ludzi, a co u tego, a co u tamtego, co słyszał tu, co słyszał tam, mówi: "Na Żoliborzu? A, to rozwijacie tę inicjatywę księdza Boguckiego, Ruch Obrony Życia, no wspaniale". To robi niezatarte wrażenie, spotkanie z kimś takim. To tak à propos Teresy Chromy. Co jeszcze chciałabyś zapytać?

Anna Pietraszek: O osoby, które były wokół księdza.

Adam Nowosad: Właśnie, jest to też rzecz warta wyjaśnienia. Dlaczego? Otóż obejrzałem film "Popiełuszko". Jak pamiętasz, byłem i pozostaję nadal krytycznie ustosunkowany do tego dużego, sporego dzieła, zrobionego rzeczywiście z dużym rozmachem, z dużym nakładem. I dlaczego? Skąd się bierze ten mój krytycyzm? Otóż jest to film zrobiony jakby z perspektywy, z punktu widzenia jednego środowiska, konkretnego bardzo, a nawet, bym powiedział, jednej osoby. To był film, który moim zdaniem powstał z inspiracji pani Szczepkowskiej, córki Romy Szczepkowskiej, która rzeczywiście była osobą obecną w tym miejscu, obecną przy księdzu Jerzym, i jakby całe to zdarzenie, cała historia księdza Jerzego jest pokazana właśnie z perspektywy tego jednego środowiska, czyli ludzi skupionych w Komitecie Prymasowskim, wokół prymasa. Stąd ja twierdzę, że jest tam niestety wiele przekłamań, wiele takich historii, które są właściwe temu środowisku, i chciałbym może w paru słowach wspomnieć, jaki był stosunek księdza do tego konkretnego środowiska. Otóż w swoich początkach kiedyś ksiądz Jerzy odwiedzał Komitet Prymasowski na ulicy Piwnej, zachodził tam wtedy, kiedy potrzebował leków czy jakichś darów, odwiedzał ich i bardzo szybko się przekonał, że nie odpowiada mu atmosfera tego miejsca, nie odpowiadają mu niektórzy ludzie. Dochodziło tam do jakichś historii, teraz już znanych, opisanych, jakichś defraudacji. Słowem nie było tam takiej atmosfery, w której ksiądz czułby się dobrze. Postanowił

więc założyć sam własny punkt rozdziału darów i robił go z tym założeniem, żeby nie pojawiali się tam ci sami ludzie. Dlatego tak chętnie zaprosił nas do pomocy, zupełnie przecież sobie nieznanych, do pomocy przy rozdziale tych leków, bo wtedy, kiedy się zgłosiliśmy z Waldkiem, właśnie trafiliśmy na taki moment, że była potrzeba rozpakowania jakiegoś transportu i podzielenia, czyli rozdzielania tych paczek, tych leków, pogrupowania. I tak ksiądz Jerzy zaczął budowę własnego takiego ośrodka, który pełni tę samą funkcję co ten na ulicy Pivnej. Wiem, że miał spory dystans do tych ludzi, niemniej jednak oni go odwiedzali i byli tam aktywni. Ale mówię, jest to jedno środowisko wokół księdza. Oczywiście zupełnie marginalnie gdzieś tam pojawili się młodzi ludzie, studenci z Akademii Medycznej, których ksiądz hołubił najbardziej. To było dla niego środowisko, które bardzo lubił, którym się opiekował jeszcze w czasach, kiedy był duszpasterzem służby zdrowia i gdzieś rezydował przy kościele świętej Anny. I ci ludzie przyszedli za nim na Żoliborz. Po prostu była to spora grupa młodych ludzi, która go aktywnie wspierała. To oni właśnie pomagali przy organizacji mszy i konkretnie jedna z tych osób, Małgosia, której nazwiska nie pamiętam, ale to jest do ustalenia, była odpowiedzialna za dobór aktorów. I ona się zajmowała właśnie kontaktami z aktorami, i zaczęła ich tam zapraszać na przygotowania. I w ten sposób pojawiło się drugie środowisko, aktorskie, powiązane oczywiście też z Komitetem Prymasowskim, ale już może w mniejszym stopniu. Naturalnie byli też robotnicy, których znał wcześniej, z różnych zakładów pracy, ci z Huty Warszawa, z Ursusa, z FSO, z różnych instytutów naukowych pojawiało się tam mnóstwo ludzi, ale to było różnie. Czasami na krócej, czasami na dłużej. Wielu z nich, tych bardziej zorganizowanych, pozostało tam do dzisiaj, przejmując już po śmierci księdza wiele takich spraw organizacyjnych, jak straż przy grobie czy służby informacyjne, które powołał ksiądz Bogucki po to, żeby rejestrować zdarzenia i to, co się dzieje. Byli też parafianie, dziś zupełnie marginalizowani, tacy, którzy przychodzili na msze i lubili odwiedzić księdza, tak po prostu, jako parafianie, którymi się zajmował i z którymi się spotykał. Bo jak wiemy, w każdy pierwszy piątek miesiąca czy ostatni ksiądz spotykał się z chorymi ze swojej parafii, na ogół było to kilka, czasami kilkanaście osób w ciągu dnia. I ci ludzie, znając go z kontaktów osobistych, odwiedzali go, zaglądali też z taką ofertą pomocy, często przynosili coś do zjedzenia, jakieś pierożki, jakąś zupkę w słoiku czy nawet bodaj kanapki, bo wiedzieli o tym, że ksiądz nie ma czasu zjeść, a wydawał im się zawsze chudziną, bo był taki, nie odżywiał się regularnie, więc ci parafianie dbali o niego. Też warto pamiętać o tym. Między innymi była też pani Nela Wojniakiewicz, która była zaprzyjaźniona z księdzem Boguckim w tym sensie, że znali się rodzinnie, jeszcze wcześniej, przed wielu laty, przyjaźnili się jako rodziny. Pani Nela podjęła się takiej ciekawej rzeczy, bardzo potrzebnej, jak zbiory pamiątek. W ten sposób powstał załączek i de facto pierwsze muzeum księdza Jerzego, które ksiądz Bogucki poświęcił i od tego czasu już w podziemiach kościoła Stanisława Kostki pani Nela zaczęła gromadzić te rzeczy, i po

jakimś czasie, po latach, urosły te zbiory do zupełnie pokaźnych i tak na dobrą sprawę dzisiaj wypełniają całe to nowe muzeum. Są tam jakimś znaczącym zbiorem. Kto jeszcze? Różni ludzie z opozycji pojawiali się. Ale ci naprawdę sporadycznie. Ktoś mnie kiedyś pytał, jaki był stosunek księdza do środowiska KOR-u czy innych ugrupowań politycznych, których przedstawiciele rzeczywiście się tam pojawiali. Z całą pewnością mogę powiedzieć, że bardzo ostrożny, a w wielu przypadkach nawet negatywny. Nie miał zaufania, bał się zawsze wplątania w politykę i prosił nas, żeby nie nawiązywać kontaktów z tymi ludźmi, znanymi takimi, którzy się tam pojawiali, z pierwszych stron gazet, znanymi z opozycji, dlatego że byłoby niedobrze, żeby kojarzono i to miejsce, i nas właśnie z jakąś polityką. Bardzo tego pilnował. Niemniej jednak ci ludzie przychodzili, bo mieli jakieś tam sprawy, chcieli się poradzić, coś tam przywozili, w sensie jakichś nowości, czasami jakieś gazetki, jakieś ulotki, które ksiądz Jerzy natychmiast oddawał. Nigdy nie przechowywał ich u siebie. Sam wielokrotnie dostawałem jakąś taką paczuszkę, żebym to gdzieś rozdał najlepiej, tylko nie w tym miejscu. "Jeśli już, jeśli znasz kogoś, komu można to dać, to proszę, zabierz to, żeby to tutaj nie leżało". Niemniej jednak pojawiali się. Dzisiaj wiemy to, i to z takiej dosyć ponurej lektury, bo z lektury donosów agenturalnych, że ksiądz Jerzy był niezycliwy tym środowiskom. Jest to zapisane. Agenci byli uprzejmi precyzyjnie się tym pochwalić. Zresztą stało się tak, że to z tych środowisk pojawiło się sporo agentury wokół księdza. Właśnie ze środowisk politycznych, właśnie niestety z KPN-u, właśnie niestety z dawnego KOR-u. Dlaczego tak to zapamiętałem? Ano byłem zawsze takim fanem KPN-u. Wtedy, kiedy KPN urządzał manifestacje polityczne, ja chętnie na wszystkie chodziłem, uczestniczyłem w nich. Uważałem, że jest to forma sprzeciwu, forma oporu, jakiś sposób na walkę z komuną, i bardzo mi się to podobało. Te wszystkie historie KPN-u na Starym Mieście, katedra, później Grób Nieznanego Żołnierza, składanie wieńców, przemarsz. Zawsze brałem w nich udział. I kiedy poznałem pana Moczulskiego u księdza Jerzego, to poprosiłem o protekcję, żeby mógł mnie jakoś wprowadzić, poznać, ja chętnie wstąpiłbym, chętnie wspomógłbym ich. I ksiądz mi wtedy powiedział bardzo wyraźnie: "Słuchaj, to zależy. Jeśli chcesz działać politycznie, to masz wybór. Albo zostajesz tutaj, albo idziesz do nich. Bo takiej możliwości połączenia tych dwóch rzeczy ja nie widzę. Więc jak uważasz? Zdecyduj się. Jeśli chcesz do KPN-u, ja cię przedstawię, zaproteguję, tylko masz pewien wybór". Nie bardzo rozumiałem wtedy, o co chodzi, ale oczywiście skoro tak, to było dla mnie jasne, że zostaję przy księdzu i raczej wspieram go w tym, co on robi, a KPN jakoś odpuszczę. No trudno. Dzisiaj po latach się dowiaduję, że stamtąd przyszło dwóch bardzo groźnych agentów. Takich, którzy weszli bardzo blisko w to środowisko i sporo złego narobili.

Anna Pietraszek: Ale już znane są ich nazwiska?

Adam Nowosad: Tak. Są znane, rozpoznane.

Anna Pietraszek: A pamiętasz?

Adam Nowosad: To między nami, tak? Tak, chodzi o pana Lipińskiego Roberta, jest taki człowiek, i drugi pan, Stachnik. Ten tak zwany "Tarcza i Miecz". Który dodatkowo jeszcze cieszył się wsparciem środowisk Solidarności z Huty Warszawa. Tam został przez Seweryna Jaworskiego osobiście wprowadzony i uwiarygodniony.

Anna Pietraszek: A znałeś tych ludzi?

Adam Nowosad: Znałem, natomiast z widzenia. Nie mieliśmy tego kontaktu. Moja sytuacja była na tyle szczególna, że ja tam byłem z ekipy Waldka Chrostowskiego, czyli byłem połową jego ekipy. Było nas dwóch. Czasami jeszcze wspierał nas starszy syn Waldka, Krzysztof. Więc ja nie nawiązywałem takich kontaktów, bo dla mnie to byli jakoś ludzie z zewnątrz, nieznani mi, i wiedzieliśmy, ksiądz nas wielokrotnie uprzedzał, żeby raczej nie otwierać się tak bardzo przed ludźmi nieznanymi sobie, że on do końca nigdy nie wie, kto tam jest, więc jeśli już, to ostrożnie, z imienia tylko, bez nazwisk, bez jakichś tam historii. I w tym sensie rzeczywiście znałem ich i widywałem. Przyznam, że do tych dwóch osób jakoś nigdy nie miałem sympatii. Nie wiedzieć czemu. Ale dzisiaj domyślam się, chyba ich sposób zachowania...

Anna Pietraszek: A jaki?

Adam Nowosad: ...to powodował. Chyba wszędobylstwo. Czyli taka ich chęć wkręcenia się. Czyli jak się coś działo, to natychmiast zaczęli zadawać pytania, zaczęli się interesować tym, bardzo w jakiś taki sposób bardziej szczególny, i to budziło jakiś niepokój. Myśmy naturalnie nie mieli świadomości, że gdzieś tam między nami kręcą się tego typu ludzie.

Anna Pietraszek: A ich zachowanie na przykład, jak przychodzili do księdza?

Adam Nowosad: To jest opisane nawet. Włosy się na głowie jeżą, jak ksiądz potrafił im zaufać. To jest do tego stopnia, że jednemu z nich zostawił klucze do swojego mieszkania i poprosił, żeby... Bo była to taka sytuacja, ktoś tam przyszedł, właśnie to opisuje ten o pseudonimie "Tarcza i Miecz", że przyszedł na rozmowę do księdza, zaprotegowany przez właśnie pana Jaworskiego, i w międzyczasie był jakiś telefon, i ksiądz musiał wyjść. Czy został poproszony na chwilę. I ten mu zostawił klucze, mówi: "To jeśli ja nie zdążę... Powinienem być za pół godziny, ale gdyby mnie nie było, a ty się śpieszysz, to po prostu zamkniesz to i dasz klucz siostrze. Poczekaj". No i tak się stało, że jakiś czas później zaczęły się te stawne

historie znikania różnych drobiazgów od księdza z mieszkania. I to takich, które były pod kluczem, gdzieś zamknięte, w jakimś schowku czy na stryszku. I myśmy z dużym szokiem się dowiadawali, że nagle coś ginie.

Anna Pietraszek: Co na przykład ginęło?

Adam Nowosad: Drobiazgi, jakiś kalkulator, jakieś czekolady, jakieś takie...

Anna Pietraszek: Takie osobiste, ale trochę ważne?

Adam Nowosad: Trochę ważne... No może ważne, tam czekolada, powiedzmy, nie była ważna, ale to były takie czasy, że nie było niczego i jeśli ksiądz w darach dostawał tam ileś takich ładniejszych czekolad, to je gdzieś tam odłożył na bok, takich markowych, i one zginęły. Jakaś dziwna historia. Jakiś kalkulator, który też od kogoś dostał i używał go, bo był dobry, nie był na baterijki, tylko ten solarny, więc pamiętam, że bardzo mu na nim zależało, był przywiązany, i szukał go po prostu. Pytał się, gdzie, co i jak, i okazało się, że zginął, nie ma. Myśmy się między sobą zaczęli zastanawiać, bo sytuacja była dość niekomfortowa, dlatego że raptem kilka osób miało dostęp do kluczy, a coś takiego się dzieje. I to było, przyznam, dla mnie jednym z tych powodów, dla których ja postanowiłem na jakiś czas wyłączyć się z działań tam u księdza. Tylko ja bodaj już o tym mówiłem, ale jeśli nie, to... Po którejś takiej akcji, gdzie coś zginęło, ja uznałem, że to jest trochę powyżej mojej godności, bo mówię, nie da rady. Poszedłem do księdza na taką rozmowę, że „Księżo, skoro tak się dzieje, ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego, w takim razie ja przestanę przychodzić tak często jak dotąd i będę się zajmował tylko mszą świętą, przyjadę pomóc. Tak, żeby było nas więcej, żeby nie było takich sytuacji, w których są dwie, trzy osoby i coś ginie”. Dzisiaj wiemy, że to było działanie zamierzone i celowe. Ci ludzie, ci agenci, nie działali tam sami, tylko wykonywali bardzo precyzyjny plan, który polegał na rozbiciu środowiska, na poróżnieniu, skłóceniu. Tam były między innymi również takie historie, pojawiały się donosy, że ktoś z nas jest gdzieś tam podejrzany o coś. Że gdzieś go tam widziano, że gdzieś tam pod czyimś domem widziano jakiś samochód milicyjny czy ubecki. Jakieś takie historie. Ksiądz trochę się tym przejmował na początku, nawet, pamiętam, że jeździliśmy sprawdzać, czy to jest możliwe. Sprawdzaliśmy na przykład adresy, które nam w anonimach podawano. Zawsze okazywało się to jakąś bzdurą, jakąś rzeczą wymyśloną. Trochę tak naprawdę bardziej przejmował się tym ksiądz Bogucki, który przeżywał to i martwił się o księdza Jerzego. Ksiądz Jerzy w pewnym momencie już mniej, doszedł do wniosku, że to musi być prowokacja, i jakoś tak przeszedł na tym do porządku dziennego. Niemniej dla mnie to był taki charakterystyczny moment, dlatego to pamiętam, że kiedy zginęło coś, to postanowiłem się wyłączyć z aktywności u księdza, z tych działań, to

było tak około czerwca 1984 roku. I wtedy właśnie ksiądz Jerzy w niezwykle sposób okazał mi zaufanie. Zadzwoił, poprosił o spotkanie i właśnie wtedy powierzył mi takie specjalne zadanie, czyli przechowanie jego archiwum. Zakonspirowanie. Bardzo mu zależało na tym, żeby ono było bardzo bezpieczne, więc nawet mnie poinstruował, jak to się powinno zrobić. Czyli te pudła wywoziłem sukcesywnie z terenu parafii i przekazywałem je znanym sobie ludziom z prośbą, żeby oni to schowali w takich miejscach, o których ja nawet nie będę wiedział, gdzie to jest. Więc jedno z tych pudeł było właśnie zakonspirowane w taki sposób, że nie zdążyło wrócić przed śmiercią, ponieważ był łańcuszek ludzi potrzebny do odtworzenia. To takie najważniejsze, na które zwrócił moją uwagę, że są tam rzeczy dla niego bardzo cenne. To zostało u mnie, wróciło kilka dni po porwaniu. Nie wiedziałem już, co z tym można zrobić. Kiedy się okazało, że księdza jednak zamordowano, ja ponownie zakonspirowałem te rzeczy i dopiero po wielu, wielu latach wróciły do mnie do domu, otworzyłem to pudło, zobaczyłem, że jest tam mnóstwo rzeczywiście skarbów, czyli jego odręczne zapiski, kazania, ale takie zapiski na karteluchach, nie te sławne zeszyty, które zostawił sobie, ale takie na karteluskach, na kartkach różne przemyślenia, projekty kazań, jakieś refleksje, które mu się pojawiały i on je zapisywał na bieżąco, listy do przyjaciół, listy niewysłane jakieś, listy od przyjaciół, mnóstwo takich rzeczy, list od papieża, taki, który był dla niego wręcz skarbem, z błogosławieństwem, wtedy, kiedy był bardzo nękanym i prześladowany. Ksiądz Kraszewski, jak pamiętamy, ksiądz biskup, przywiózł mu z Rzymu właśnie różaniec i taki list. To nie był jakiś osobisty list, to było coś, co wielu księży dostawało, taka specjalna forma uhonorowania z podpisem Ojca Świętego. Niemniej dla księdza była to niezwykle ważna rzecz, bardzo się z tego cieszył i prosił, żeby to właśnie zakonspirować w taki sposób, żeby to nie przepadło. Oczywiście było tam kilka notesów, wszystkie adresy, telefony, rzecz absolutnie bezcenna. Mam nadzieję, że ludzie, którzy to ode mnie przejęli, jakoś to wykorzystali i przynajmniej dotarli do tych ludzi, bo są to tacy potencjalni świadkowie, z którymi warto by było dziś utrzymywać kontakt, nawiązać i zebrać ich świadectwa. Bo to są ludzie, którzy mieli z księdzem taki kontakt bezpośredni.

Anna Pietraszek: Ale nie przyszło ci na myśl, żeby zrobić kopię?

Adam Nowosad: Nie, zrobiłem. Ja postąpiłem troszkę inaczej. Na apel, kiedy już było wiadomo, że będzie proces beatyfikacyjny, ktoś ogłosił apel w kościele, że zbierane są pamiątki po księdzu Jerzym, ja zgłosiłem się tam i poprosiłem o kilka osób, żeby przyjechały do mnie do domu i oceniły tę sprawę. Takich z Kościoła, kilka osób.

Anna Pietraszek: A kiedy to było? Który to rok?

Adam Nowosad: Niestety nie pamiętam żadnych dat.

Anna Pietraszek: To mniej więcej.

Adam Nowosad: Gdybyś mi przypomniała, kiedy się zaczynał proces beatyfikacyjny...

Anna Pietraszek: Też nie pamiętam.

Adam Nowosad: Właśnie. To też skorzystam ze ściąg. Mamy tu jakąś chronologię.

Anna Pietraszek: To w studio, na żywo.

Adam Nowosad: Tak, mamy tu chronologię. 1997-1998 rok. I to mniej więcej było w tych latach. W 1997-1998 roku przyjechało do mnie kilka osób, w tym świętej pamięci już siostra Jana Płaska, jak również późniejsza notariusz procesu beatyfikacyjnego, pani Katarzyna Soborak, bodaj pan Marek Piotrowski, nomen omen, o znanym nazwisku, i chyba jeszcze ktoś. I wspólnie dokonaliśmy przeglądu tych rzeczy, i wtedy na koniec siostra Jana wyraziła taki pogląd, który był dla mnie troszeczkę niezrozumiały, ale powtórzę go. Otóż powiedziała: "To są rzeczy bezcenne, to są skarby. Ty je po prostu dalej trzymaj u siebie". Nie do końca rozumiałem, na czym polega problem. Moją intencją było przekazanie tego do muzeum tak w ogóle, żeby tam znalazło się dla nich miejsce, ale pani Nela, która też była w składzie tej komisji, Wojniakiewicz, powiedziała, że boi się, bo jest to muzeum niezabezpieczone, a to są rzeczywiście rzeczy cenne, już o jakimś znaczeniu relikwii, więc należało je otoczyć jakąś szczególną troską. Więc jeszcze jakiś czas kilka lat bodaj pozostały one gdzieś u mnie i wtedy, kiedy już był taki jeden z ostatnich apeli, kiedy prace procesu dobiegały końca, a ja dowiedziałem się, że będę świadkiem w procesie, postanowiłem, że trudno, nie wiem, dłużej nie będę tego trzymał, zwyczajnie przekażę to tak ad hoc, i zwróciłem się do księdza Kalwarczyka z taką prośbą, że jest coś takiego, co on na to. Dzisiaj mogę powiedzieć tak, kolejne moje zdumienie. Ksiądz Kalwarczyk był trochę zszokowany pojawieniem się takiego znaleziska i zachował się jakoś zdumiewająco ostrożnie. Najpierw powiedział mi, że proces jest w takiej fazie, że w tej chwili, kiedy znajdują się takie rzeczy, to jakby zaburza to cały cykl działań i trzeba będzie chyba, nie wiem, powołać zespół biegłych, którzy to będą umieli ocenić, czy to się nadaje do tego, żeby pokazać w pracach procesu. Byłem zdumiony, niemniej wracając do twojego stwierdzenia, trzeba było zrobić kopię, tak, zrobiłem kopię, ale uważam się za dziecko Kościoła i w związku z tym trzeba było zachować pełną lojalność. Przekazałem księdzu Kalwarczykowi zarówno kopie, jak i oryginały tych rzeczy, z taką prośbą i z takim zastrzeżeniem, że jeśli to sławne kolegium, które ma się zebrać i ocenić materiał, dojdzie do wniosku, że nie ma tam nic, co mogłoby przeszkodzić beatyfikacji, czego ja oczywiście byłem

pewny, bo ja znałem te materiały... Dzisiaj mogę powiedzieć więcej, że w ogóle takie obawy były bezzasadne, bo po prostu jeśli idzie o księdza Jerzego, nie mogło tam być z pewnością czegokolwiek, co mogłoby w jakiś sposób rzucić negatywne światło na osobę. Ale ksiądz Kalwarczyk był pełen obaw. Umówiliśmy się na spotkanie u niego na Kanonii w domu i ja powiedziałem, że przyjdę sam, nie ma problemu, przyniosę to, nie widzę tutaj jakichś obaw. Umówiliśmy się na konkretną godzinę, ja tam pojechałem, była jakaś pani, świadek tego zdarzenia, co było dla mnie zaskoczeniem, bo umawialiśmy się, że będziemy sami. Ale dobrze, nie ma problemu. Otworzyliśmy to pudło tekturowe, wspólnie przejrzelśmy znowu to, co się tam znajduje, łącznie z tą teczką kserokopii, którą ja sobie zapieczętowałem, z takim zastrzeżeniem, że tam jest to wszystko, co ja skopiowałem i jeśli ta komisja, czy ci ludzie, którzy będą się tym zajmować, dojdą do wniosku, że nie ma tam niczego złego, negatywnego, to kserokopie wrócą do mnie w stanie nienaruszonym. A dlaczego? To był taki mój warunek, że ja to oddaję, jednak chciałbym bardzo mieć w przyszłości prawo do publikowania tych rzeczy, kiedy to już będzie możliwe, a wyobrażałem sobie to tak, że będę mógł zrobić z tego jakieś skany, jakieś przedruki i będzie to można upubliczniać w formie takiej bezpłatnej, czyli żeby to szło do ludzi. Moim zdaniem to były rzeczy niezwykle cenne, to były jakieś myśli, jakieś fragmenty kazań, kazania zupełnie wcześniej nieznane, i powinny ujrzeć światło dzienne, i wychodziłem z założenia, że nie powinno się na tym zarabiać. Czyli postawiłem taki warunek, że ja się tym zajmę, ja byłem wtedy dość operatywnym przedsiębiorcą i powiedziałem, że będę to wydawał absolutnie nieodpłatnie pod takim warunkiem. No niestety nie udało się. Ku mojemu zdumieniu na tym spotkaniu jeszcze dostałem od razu przygotowany papier, taką bumagę, na której było napisane, że zgłosił się taki i taki obywatel z jakimś pudełkiem rzeczy po księdzu i oświadczył, że przechowywał to w stanie wojennym, a teraz zwraca. No przykre to, ale rzeczywiście nieodpowiadające prawdzie. Po pierwsze, że są tam nieznane mi materiały i że w ogóle nie wiadomo, co tam jest. Przyszedł człowiek, daje coś takiego, ja to potwierdzam, pieczęć, dziękuję. Nawet chyba bez "dziękuję".

Anna Pietraszek: I te ksera zostały tam?

Adam Nowosad: Tak, wszystko zostało tam. Oczywiście nic do mnie nie wróciło, a po latach okazało się, że gdzieś w księgarni znalazłem publikację księdza Sochonia, który z tych materiałów wydał jakąś książkę za takie pieniądze, które wydały mi się nieprzystoite. I powiem, że bardzo mnie to wtedy dotknęło i żałuję do dziś, że tak to zrobiłem, jednak należało to zostawić w muzeum, a do prac postulacji po prostu wypożyczyć i tyle. Dzisiaj jest jak jest, jestem bogatszy o pewne doświadczenie. Trudno, nie wróci.

Anna Pietraszek: A nic twojego własnego nie zostało po księdzu?

Adam Nowosad: Tak, ja mam jakieś pamiątki. Mam nadzieję, że uda nam się jeszcze wykroić może godzinę waszego czasu i odwiedzić mnie w domu, to wtedy pokażę te historie, które zostawiłem. I parę takich rzeczy, które nie znalazły zainteresowania też dla nowego kustosa muzeum księdza Jerzego, bo mam między innymi krzesło jedyne, jakie ksiądz posiadał, jego jedyny mebel, którym dysponował tak naprawdę, bo wszystko inne już później robotnicy z zakładów pracy jakoś mu tam fundowali i właśnie wtedy, kiedy mu zafundowali jakieś tam fotele, kanapę, to to krzesło niestety wyrzucili na śmietnik, a ja zbieram różne stare rzeczy i poprosiłem księdza, że gdyby to krzesło jednak się zdecydował oddać, to ja chętnie. No niestety któregoś dnia znalazłem je na śmietniku, całe szczęście, na Żoliborzu, zabrałem i ono do dzisiaj stoi u mnie w takiej formie, jak je tam wyrzucono, trochę takie zdewastowane. Ja próbuję je teraz doprowadzić do porządku, żeby jednak gdzieś to... Podobno ma być izba pamięci w mieszkaniu księdza Jerzego, więc myślę, że ono tam się powinno znaleźć. Ale stoi u mnie w domu takich parę rzeczy...

Anna Pietraszek: A co jeszcze?

Adam Nowosad: ...które okazały się nieprzydatne. Na przykład kamień górników z kopalni "Wujek", taki węgiel, który podobno, wedle ich relacji, jest autentycznie węglem krwią zroszonym. Oni go przywieźli księdzu jako właśnie dar i jako taką relikwię specjalną, i ten kamień miał być wmurowany w ścianę kościoła na Żoliborzu, ale niestety górnikom źle się napisało "Wujek", przez ó kreskowane. I kiedy się okazało, że jest to taki błąd, to ja to dostałem do domu, wziąłem to, żeby poprawić, żeby to jakoś przysposobić. Ksiądz wiedział, że ja się zajmuję konserwacją, jakimiś takimi naprawami, konserwacją obrazów, zegarów, i mówi: "To ty sobie z tym poradzisz". Ja to zabrałem, później się okazało, że górnicy, jak spostrzegli swoją gafę, to przywieźli coś innego, jakąś taką już ładniejszą, ktoś im przygotował jakąś taką rzeźbkę i to zostało wmurowane, a ten kamień został u mnie w domu, ten węgiel, niemniej jednak przez długi czas stał u księdza na biurku. Ksiądz miał taki... biurko to dużo powiedziane, taki regalik z jakąś otwieraną taką półeczką i tam właśnie stało to krzesło, i ten kamień, u niego tu występuje na wielu zdjęciach, ten węgiel z napisem i z taką czerwoną kokardą "górnicy z Wujka" na pamiątkę. I jakaś tam data. To i jakieś jeszcze takie pamiątki z więzienia, tych internowanych, którzy nam przekazywali jakąś misę, mam też sztandar, który wziąłem na przechowanie, kopię sztandaru, bodajże FSO. Kiedyś, kiedy była organizowana msza okolicznościowa i baliśmy się, że rzeczy mogą zginąć, ksiądz poprosił o zrobienie kopii takich historii jak właśnie te sztandary i jedna z tych kopii u mnie została. Ja ją przechowywałem, jest po dzień dzisiejszy. Też twierdzę, że powinna się znaleźć w jakimś muzeum, może nawet FSO. Ale

kiedy zgłosiłem to jako eksponaty do nowo tworzącego się muzeum, tego, które prowadziła pani Nela, to okazało się, że jest to niepotrzebne i tak sobie leży u mnie do dzisiaj. Nie pokażę.

Anna Pietraszek: A co jeszcze?

Adam Nowosad: To może z takich drobiazgów. Jeszcze jakaś tam, o czym już wspominałem, karteluszek z napisem, z jakąś dedykacją księdza Jerzego. Pewnie jeszcze parę drobiazgów, o których chyba w tej chwili nie pamiętam. Jak mnie odwiedzicie, to coś znajdziemy. Jeszcze są jakieś takie historie też od internowanych, oni tam przysyłali często księdzu jakieś takie pocztówki pocztą tej podziemnej, więziennej. Takich kilka drobiazgów, pamiątek, które dostawałem, które tam w jakiś sposób miałem przechować czy po prostu zostały u mnie.

Anna Pietraszek: A jakieś fotografie razem z księdzem?

Adam Nowosad: No nie, fotografii stosunkowo mało właśnie, z tym, że też oczywiście otrzymałem od księdza taki zbiorek fotografii, który już przekazałem do IPN-u, tutaj na ulicę Ogrodową. Nie na ulicę Ogrodową, tylko, przepraszam, tam gdzie ty jesteś.

Anna Pietraszek: Na ulicę Hrubieszowską?

Adam Nowosad: Tak, na ulicę Hrubieszowską, do pana Janka Rumana, przekazałem taki zbiorek fotografii, który dostałem rzeczywiście z rąk do rąk od księdza Jerzego z takim szczególnym poleceniem. Była to rejestracja prowokacji pod Katedrą świętego Jana, gdzie ktoś z zachodniej agencji filmowej sfotografował szybkim aparatem rozwój sytuacji, czyli dokładnie rozwój prowokacji, tej, którą przygotowali ubecy, żeby mogły interweniować siły porządkowe. Jest to seria dwudziestu kilku zdjęć. I ja je dostałem z takim poleceniem, ponieważ ksiądz bał się przechowywać u siebie te zdjęcia, a miał je w trzech kopiach. Jedną z tych kopii przekazał do kurii, jedną do Watykanu, a jedną dostałem ja na przechowanie. I ja tę swoją kopię jeszcze do dzisiaj oczywiście mam, bo w IPN-ie zostały skany z tych zdjęć. Przekazałem, mówiąc też, jaka jest intencja. Otóż ksiądz Jerzy poprosił, żebym przechowywał to do czasu, kiedy będzie możliwe zrobienie z tego wystawy, czyli pokazanie ludziom, jak naprawdę wyglądały zamieszki sławne na ulicach, jak to było przygotowywane, bo to jest znakomita rejestracja, dokumentacja takiej prowokacji. To zostało w IPN-ie. Mam nadzieję, że ktoś się tym zajmie i że do takiej prezentacji, bo można to zrobić w biuletynie, pokazać, a jeszcze lepiej zrobić to na dużych planszach i pokazywać ludziom dzisiaj, jak to wygląda. Taka była intencja księdza. Ja ją niejako zrealizowałem po latach, trafiając gdzieś na Hrubieszowską. Kiedy poznałem już pana Rumana, to stwierdziłem, że jest to ta osoba, która

powinna wiedzieć, co z tym dalej zrobić. Polecam również twojej pamięci. Bo jakoś tak do dzisiaj nic się nie dzieje, a mam nadzieję, że się kiedyś uda.

N0248_kr_FINAL_5_8

Adam Nowosad: ...czego byśmy mogli dotknąć, stosunku kurii do księdza Jerzego. To jest bardzo ważna rzecz, o której warto powiedzieć, uważam. Ja już jestem w tym wieku i na tym etapie, że się nie wstydzę o takich rzeczach mówić, a przy wielu sprawach uczestniczyłem, żenujących wręcz, takich, które dzisiaj skrętnie się ukrywa.

Anna Pietraszek: To czekaj, może dokończmy jeszcze ten wątek, ja sobie zapiszę, że kuria, i to wtedy takimi rozdziałami, bo tu już różne powstały. Zaczęliśmy mówić o tych osobach, które były przy księdzu. Czy jeszcze są jakieś osoby, które warto by były opisu? Właśnie problem Szczepkowskiej, no jakoś tak ludzie zaczęli ich rozdzielać, że pani Roma to co innego, a córka co innego.

Adam Nowosad: Być może można rozdzielać, niemniej jednak jest to matka i córka. Oczywiście ja pamiętam Asię Szczepkowską z tego okresu, kiedy tam przyjeżdżała do księdza i jeszcze była we wspaniałym związku małżeńskim z Mirkiem Komorowskim bodaj, jeśli się nie mylę, kiedy oczekiwali dziecka, nawet dlatego pamiętam, że odwoziłem ją często do domu, bo była w takim stanie, że ksiądz Jerzy zawsze apelował: "Kto tam ma samochód, to proszę odwieźć Asię do domu". Mnie się to przydarzało. Ona była rzeczywiście niezwykłą wtedy osobą, bardzo miłą, ciepłą, taką szczeniową, też wszędzie obecna, wszędzie jej pełno. Nie wiem, jak się potoczyły dalej jej losy, wiem tylko tyle, że już nie ma tego małżeństwa, wiem, że pozawierały jakieś dziwne przyjaźnie, ale, to zdaje się, jedna i druga pani bardzo przyjaźnią się, przyjaźniły się z panem Michnikiem chociażby. A więc jest to już troszkę inna konotacja. Ja znałem i pamiętam Asię i trochę mniej jej mamę, która, kiedy tam przychodziła, to głównie pytała się o to, kto jest kto, czyli jacy są ci nowi ludzie, jeśli się tam ktoś pojawił, zawsze była tego ciekawa. Zapewne z troski o księdza Jerzego, ale ja ją tak zapamiętałem, że wpadała często z jakąś wałówką, jedzonkiem i tak pytała o to, kto jest kim, czy znamy tego, czy znamy tamtego. Nie wiem, to dużo by można mówić. Często bywał jeszcze pan Szczepkowski, tata, który tak naprawdę trochę chyba szefował temu zgromadzeniu aktorów wtedy w tamtym miejscu i jakoś tak z jego polecenia, z jego, poręki może, to nie zgrabnie powiem, pojawiali się tam różni aktorzy. Na ogół zaprzyjaźnieni.

Anna Pietraszek: Jakichś pamiętamy?

Adam Nowosad: Choćby Fronczewskiego, który teraz rzadko wspomina o tym, że tam często bywał. Ja pamiętam i z wielką sympatią wspominam panią Nehrebecką Anię, nawet pochwaliłem się księdzu, że jest to moja ulubiona aktorka i że wręcz jestem nią oczarowany. Dostałem zaszczytu zakładania paltocika na przykład, ale bardzo ciepło i miło wspominam tę panią. Też jakoś później już nie widywałem jej w otoczeniu, rzadko kiedy się wypowiada, może warto zapytać, może coś pamięta. Bywała tam wiele razy. Pani Komorowska oczywiście, Maja, ale to jest akurat osoba, która utrzymuje ścisły kontakt z tym miejscem do dzisiaj i często się udziela. To z aktorów no cała plejada. Dla mnie jeszcze... został mi w pamięci też, ale musiałbym sobie przypomnieć nazwisko. Pan... oj, taki łysiejący dzisiaj. Machalski? Nie. Machalica, pan Machalica Piotr, tak. Dlaczego ja go tak zapamiętałem? Otóż przyszedł kiedyś, kiedy pełniłem dyżur przy schodach u księdza Jerzego, tam na parterze przy wejściu, i byłem takim cerberem, odpowiedzialnym, że nikt nie może przekroczyć, bo nie da rady, kładę się w poprzek, nikt nie wejdzie. I przyszedł pan Machalica, i ja, nie wiedzieć czemu, skojarzyłem go z księdzem. Po prostu on kiedyś grał w takim serialu "Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy", grał księdza. Ja byłem przekonany, że jest to ksiądz, a upoważnienie mieliśmy tylko do tego, żeby przepuścić księdza. Jeśli jakiś ksiądz się pojawi, to bardzo proszę. No i ja taki dumny, że to ksiądz, no to dobrze, to proszę zaczekać, pobiegłem do księdza na górę, był akurat czymś zajęty, coś pisał, odpoczywał, i mówię: "Proszę księdza, no tak, ale przyszedł ksiądz jakiś". A on: "Ale który?". Ja mówię, no nie potrafię... ale ksiądz. "No dobra, to jak ksiądz, to poproś, przyprowadź". Ja z tym panem Machalicą na górę wchodzę i trzeba widzieć reakcję księdza Jerzego, który wybucha śmiechem i mówi: "No ładnie, zrobili mi z pana księdza. Ale bardzo się cieszę, proszę bardzo". I to była taka historia, którą ja sobie zapamiętałem, z tego powodu właśnie. Kiedyś tak też poznałem rodzinę Śpiewaków. Taki hutnik z synem, który tam bardzo... Zresztą Darek Śpiewak, znany ci teraz, który tam się też bardzo udzielał, zwłaszcza tata, i też kiedyś tak przyszli i powiedzieli, że przyszedł Śpiewak. Ja mówię: "A, to do mszy pewnie, do organizacji. No dobrze, to też wpuszczę, bo to jest ktoś, kto tam do organizacji mszy, no to niewątpliwie jest potrzebny". I zrobiłem identyczną gafę, ale właśnie dlatego utknęło mi to w pamięci i z taką sympatią wspominam, jak się poznałem ze Śpiewakami.

Anna Pietraszek: A jakieś osoby takie podejrzane, które się tam gdzieś kręciły, jacyś nierozpoznanie jeszcze z nazwiska ubecy.

Adam Nowosad: Ach, to było mnóstwo, oczywiście, mnóstwo. Rzecz polegała na tym, to była taka troska księdza Boguckiego, kiedy już widział, co się dzieje, i uprzedzano go, że pojawia się tam mnóstwo dziwnych osób. Ksiądz Bogucki prosił o takie szczególne rozeznanie, żeby dopiero po jakimś uwiarygodnieniu kogoś tam ewentualnie wprowadzić, że może wejść, żeby się skontaktować z księdzem.

To mnóstwo takich osób, naturalnie. Ja sam wielokrotnie wiele takich osób po prostu zatrzymywałem, prosiłem na ogół jakieś dane personalne, telefon kontaktowy, coś takiego. Nawet jeśli taki telefon został, myśmy oddzwaniali i był to niemy telefon albo ktoś spod tego numeru już nie odpowiadał, mówi, że pierwsze słyszy, to wiedzieliśmy, na czym to polegało. Tak, były takie próby, mnóstwo takich ludzi przychodziło. Z tym że przyznam, że z dzisiejszej perspektywy, myśmy stanowczo za mało na to zwracali uwagi. Chyba to wynikało również z postawy księdza, który raczej był otwarty na wszystkich ludzi i jak dzisiaj wiemy, nie robił specjalnego problemu nawet wtedy, kiedy zgłaszał się ktoś i mówił, że jest ubekiem, z ich strony, uciekł... To jest taki znany przypadek, gdzie komuś tam pomógł, wprowadził go do siebie, bodajże nawet umożliwił zamieszkanie w tej swojej kawalerce, którą miał na ulicy Chłodnej. Był taki przypadek, on jest gdzieś opisany. Ktoś, kto uciekł z szeregów policji czy ZOMO, czy coś takiego i zgłosił się, że jest taki rozdarty, nie wie co z sobą zrobić, ksiądz się nim zaopiekował. Jakoś mu tam pomógł. To była prowokacja, jak teraz wiemy. Oni się w ten sposób dostali na ulicę Chłodną i tam założyli, co potrzeba, czyli zainstalowali tam jakieś swoje rzeczy, swoje nasłuchy, rozpoznawali teren i podobno też założyli punkt obserwacyjny w mieszkaniu naprzeciwko, gdzieś je sobie wynajęli od kogoś i tam już rezydowali, ale to już było przygotowywanie operacji. W ogóle był taki czas, kiedy rozpracowywano środowisko księdza i przygotowywano całe te działania, które później nastąpiły, to rzeczywiście wtedy było już widać, że są jakieś działania. To jest ten moment, kiedy ginęły rzeczy z mieszkania, chodziło o to, żeby ludzi poróżnić, kiedy się pojawiały anonimy i donosy na ludzi z otoczenia, bo tak naprawdę na ogół przy księdzu było niewiele osób, kilkanaście, nie wiem, dwadzieścia, pięć, dziesięć, które należało skłócić, poróżnić i którym robiono bez wątpienia portrety psychologiczne, czyli selekcjonowano, z kim jak trzeba postąpić. Ja myślę sobie, że ze mną sobie stosunkowo łatwo poradzili, bo wiedzieli, że się obrażę, kiedy mnie się postawi w takim otoczeniu, w takim kontekście, że coś zginęło. Dlaczego? Dlatego, że mnie się wtedy bardzo dobrze powodziło i jakoś tak nie czułem więzi akurat w takiej emocjonalnej z tym środowiskiem robotniczym, i jak było, to mówię, poniżej mojej godności, żeby znaleźć się w takim kontekście. Tak sądzę, że sobie ze mną poradzili i na innych trzeba było donosów, kogoś innego trzeba było posądzić o to, że ma jakieś agenturalne związki, do tego stopnia, że ksiądz Jerzy w pewnym momencie naprawdę był sam. To było już tak, że nawet Waldek Chrostowski, który był człowiekiem naprawdę bliskiego zaufania, przez jakiś czas też się wyłączył z działań wokół księdza. Z tego jak go później pytałem, co się stało, to mówi, że słuchaj, prawdopodobnie ktoś zrobił sobie ten sam dowcip, który robiono wielu innym ludziom, między innymi świętej pamięci Tadeuszowi Klimkowi. Warto to powiedzieć, może dla jego synów to będzie ważne, że też przyszły takie anonimy na niego, że to on jest jednym z tych ludzi, którzy są posądzani o jakieś związki. No i oczywiście to zostało natychmiast

przez księdza oddalone. Już ksiądz się orientował, że to już jest jakieś działanie, że to jest jakiś wygłup i że nie dajmy się zwariować. Niemniej jednak dla nas, ludzi tam bezpośrednio uczestniczących w tych zdarzeniach, były to historie, których nie rozumieliśmy, i różnie się zachowywaliśmy w związku z tym. Część się dystansowała, część się postanowiła wyłączyć. Bo tak naprawdę było groźnie. Sam ksiądz Jerzy, kiedy już były te nasilenia działań ubeckich, kiedy go tam nieustannie nęcano wezwaniami, w końcu aresztowaniem, w końcu jakimiś groźbami, to sam już wiedział, że im mniej będzie ludzi przy nim, tym bezpieczniej dla tych ludzi, tym lepiej. I nawet nas przestrzegał. Ktoś, kto miał małe dzieci, jak ja, to mi też to tłumaczył: "Adam, nie narażaj się, bo jest to taki czas, że teraz to wygląda nieciekawie". I tak jak kiedyś chętnie zabierał dwie, trzy osoby do samochodu na jakichś wyjazd, to w tym ostatnim okresie z tego, co mi wiadomo, jeździł już tylko z Waldkiem. Ktoś czasami się dosiadł. On miał tę świadomość. Dlatego jeśli mówię o tym, że ktoś specjalnie eliminował tych ludzi, którzy mieli jechać na te ostatnie jego wyprawy, tak jak do Gdańska czy do Bydgoszczy, to przychodzi mi też do głowy, że i sam ksiądz Jerzy mógł o tym decydować. Nie chciał narażać ludzi. Więc równie dobrze tak mogło być. Z tym że akurat w moim przypadku wiem, że miały jechać bardzo znane osoby, i wydało mi się to zadziwiające, że nie pojechały zamiast mnie wtedy, kiedy ja...

Anna Pietraszek: A kto miał pojechać?

Adam Nowosad: Mogę już o tym mówić, chociaż to jest... Jeden już nie żyje, pan profesor Szaniawski, Seweryn Jaworski czy Jacek Lipiński, którego kiedyś prosiłem o wyjaśnienie sprawy, ale jakoś nie pamiętał, z tym że w jednej z jego publikacji natknąłem się gdzieś na taką wypowiedź, że to właśnie on miał jechać w ogóle zamiast Chrostowskiego. Ale to są takie wątki, tak jak mówię, z gatunku sensacyjnych, które ja najchętniej omijam. Pewnie przyjdzie taki czas, że warto by się było nimi zająć, z tym że teraz, kiedy jesteśmy w przededniu beatyfikacji, twierdzę, że o wiele bardziej warto i należy mówić o tym, jaki był ksiądz Jerzy i jakie jest jego przesłanie. Ale jeszcze mieliśmy tam jakiś wątek Kuli bodajże, tak, Aniu?

Anna Pietraszek: Tak, ale jeszcze ciągle o te osoby cię męczę. A może taka osoba, którą ja pamiętam z wizerunku, młody człowiek, bardzo wyrośnięty, bardzo potężnie zbudowany, około dwudziestu, dwudziestu dwóch lat, taki wiek, bardzo krótko ostrzyżony, chodzący w kurtce moro, jak na tamte czasy to było takie wyzwanie, ta edukacja by wypadała. I od 1982 roku on się bardzo kręcił w rejonie parafii i też między innymi w blokach, w których ja mieszkalam, się pojawiał. Nie pamiętasz takiej postaci? Był bardzo charakterystyczny, prawie taki jak...

Adam Nowosad: Wysoki, duży?

Anna Pietraszek: ...siłowych sportów jakichś, coś takiego.

Adam Nowosad: To i ja byłem też kiedyś takim już postawnym facetem, i chyba też chodziłem w takiej...
Moro to jest takie zielone?

Anna Pietraszek: Takie zielone w takie jakieś niebieskie...

Adam Nowosad: A nie, nie, nie, pawki nie, ja miałem całą zieloną kurtkę. A kiedyś, tak, to ja też byłem postawny i dobrze zbudowany, podobnie jak Waldek Chrostowski, myśmy ważyli sobie po dobre 110 kilogramów i zamykaliśmy sobą wejście od plebanii, do ołtarza. Taką mieliśmy funkcję, słowo daję. Staliśmy sobie we dwójkę i nikt już nie mógł przejść. Tak że byli i tacy ludzie. Nie, nie, kręciło się i przewijało się przez to środowisko naprawdę mnóstwo ludzi. Po dwudziestu pięciu-ośmiu latach no to można sobie przypomnieć niektóre postaci, tak jak mówię, no jeśli gdzieś tam zapamiętałem jakiegoś aktora, to z jakiegoś tam powodu, jakieś nazwisko mi utknęło... Nie, nie, to nie sposób. To by trzeba gdzieś na zdjęciach próbować odnajdywać. Teraz z wielkim przerażeniem, kiedy spotkałem się z Jurkiem Szóstko, jest to taki pan, który fotografował w tamtym czasie, był to jedyny akredytowany przez księdza Jerzego fotograf.

Anna Pietraszek: Jak się nazywał?

Adam Nowosad: Jurek Szóstko. To już dziś trochę starszy pan, był u mnie niedawno, kilka dni temu, w domu, też schorowany, o, też o niezwykłych doznaniach. Też o takim kontakcie z księdzem Jerzym obcującym już ze świętym. I obaj, oglądając zdjęcia... On mi pokazał agenta, którego on znał, jest rozpoznany, właśnie będę chciał kiedyś o to spytać w IPN-ie, bo nie wiem, czy panowie mieli świadomość, że niejaki pan Lipiński, tym razem Robert, był rozpoznany przez to środowisko agentem i takim, z którego powodu siedzieli ludzie w więzieniu. On rozpracował jakieś wydawnictwo opozycyjne. I siedziała w więzieniu pani profesor Grabińska, pół roku podobno. I proszę sobie wyobrazić, że ten człowiek został rozpoznany przez Jurka Szóstko, jest takie jego zdjęcie, nawet je tutaj mam, on niesie trumnę księdza Jerzego. A więc niezwykłego zaufania w tym środowisku, skoro doznał takiego zaszczytu. Mnie nie było dane, a taki ktoś na pierwszym miejscu idzie z trumną księdza Jerzego, prowadził mamę pod rękę. Tego typu historie. Ale to są oczywiście sprawy dla jakichś śledczych, nie wiem, czy jeszcze się ktoś tym zajmuje.

Anna Pietraszek: A czy śledczy oglądali ten zbiór zdjęć?

Adam Nowosad: Mam nadzieję. Ja jestem umówiony z profesorem Żarynem, jakoś tam zostawił mi czas, mam sobie go wybrać. Będę chciał z nim o tym rozmawiać, bo skoro zrobił taką książkę, jaką tam napisał, to ma być drugi tom i warto już, żeby w tej chwili rozwinąć te kilka wątków, bo tam jest kilka osób już takich rozpoznanych bardziej. Niemniej jednak, ja twierdzę ciągle, że to i tak nie są ci ludzie pierwszego znaczenia. Jeśli tam się kręciła jakaś agentura tego typu jak ten "Tarcza czy Miecz", który był alkohikiem, tak à propos. Pytałaś dlaczego. No jakoś mam dystans do takich ludzi i jeśli widzę, że ktoś ma ten problem, to jakoś się dystansuję, no chyba że trzeba człowiekowi pomóc, ale z taką okolicznością się nie zetknąłem. To byli ludzie, którzy dostarczali jakiejś tam wiedzy operacyjnej, typu, co się działo, mogli klucze dorobić, mogli opowiedzieć, co było w mieszkaniu, bo był naturalnie rozpoznany bardzo dobrze układ mieszkania, gdzie co wisiało, tam jak zrobili akt oskarżenia księdzu Jerzemu, to między innymi jednym z zarzutów było to, że w jego mieszkaniu wisiała ta mapa Polski z tymi naniesionymi miejscami buntu, Radom, różne te miasta, które tam... było to przygotowane do jakiejś mszy. Ale to byli tego typu agenci, czyli moim zdaniem bez znaczenia, którzy pomagali co najwyżej ówczesnym służbom w rozeznaniu. Tak podobno wygląda praca operacyjna, że oni się posługują takimi drobiazgami bez znaczenia. Z tego robią jakiś obraz. Ale ja twierdzę, że ci ludzie to też są ofiary, bo cóż, jakiś alkoholik, który notabene w 1992 roku zginął tragicznie. To też jest taka ciekawa historia... Odnaleźliśmy jego grób, gdzie jest wyryte, że zginął tragicznie. Też warto by się zastanowić, cóż to była za tragiczna śmierć, czy aby ten człowiek jednak nie wiedział czegoś więcej niż tylko w tych raportach.

Anna Pietraszek: Może pod innym nazwiskiem.

Adam Nowosad: Może. Nie, to już dzisiaj byłby starszy, bo to już był wtedy niemłody człowiek, no właśnie, z KPN-u niestety.

Anna Pietraszek: A czy byłaby szansa, żebyśmy mogli u pana Szóstki też nagrać?

Adam Nowosad: O, Jurek jest starszym już człowiekiem, w Białymstoku.

Anna Pietraszek: To co?

Adam Nowosad: Chętnie, naturalnie. Nie, oczywiście. Tak.

Anna Pietraszek: Pojechalibyśmy razem?

Adam Nowosad: Tak, tak, naturalnie. To możemy, naturalnie. Nawet się ucieszy, bo taki bardzo rozmowny jest, sympatyczny.

Anna Pietraszek: Ja chciałabym zdjęcia obejrzeć. Tak mi nie daje spokoju ta postać, która ci się zapamiętała.

Adam Nowosad: Z tym że mnóstwo tych zdjęć... Jurek ma jeszcze trochę zdjęć, które ma u siebie, i jeszcze ma jakiś jego kolega, już też nieżyjący, córka, która te zdjęcia odziedziczyła, gdzieś je tam przechowuje i on sporo tych zdjęć już oddał do IPN-u w Białymstoku.

Głos: Ten białostocki IPN, tam?

Adam Nowosad: Tak, tak. Tak że tam można odnaleźć i z całą pewnością... Bo to był, tak jak wspomniałem wcześniej, taki jedyny nasz etatowy fotograf, który...

Głos: [niezrozumiałe, 00:21:52]

Adam Nowosad: Tak, tak, tak. Który jeszcze... Którego ja akurat bardzo dobrze znałem, dlaczego? Dlatego że to był człowiek, który mieszkał na placu Wilsona, wtedy bodajże Komuny, tak, jeszcze? Bardzo blisko, miał pieska i przychodził z tą psiną wyprowadzać księdza pieska. Więc był tam bardzo często, z racji tego, że blisko mieszkał, to jeśli ktoś wypadał z dyżuru, to na ogół dzwoniono po mnie i po Jurka. I stąd myśmy mieli szansę taką często sobie pogawędzić i dobrze się znaliśmy. Niestety istniała taka zasada, że nie robiono nam zdjęć, i Jurek to bardzo dobrze wiedział. On jako fotograf miał zadanie nie robić zdjęć ludziom z otoczenia księdza, czego do dziś nie mogę odżałować. Tam czasami występuje w jakimś fragmencie ucha, pół głowy, jakieś takie historie. Dlatego że taka była umowa. „Tylko nie ułatwiał zadania agenturze, nie fotografuj nas tu z otoczenia, tylko raczej na zewnątrz”. I on obsługiwał wszystkie msze, i jest to taki człowiek historia też, warto z nim sobie porozmawiać. Jeśli macie taką możliwość, to zachęcam. Ponieważ jeszcze jest w takiej formie, że śmiało można pogadać.

Anna Pietraszek: Kuria.

Adam Nowosad: Kuria. Dlaczego chciałbym o tym wspomnieć? Dzisiaj zwłaszcza przychodzą mi takie refleksje po obejrzeniu tego filmu. Otóż, jak wspomniałem, tam bardzo pięknie pokazano środowisko właśnie Komitetu Prymasowskiego, wszystkich aktorów. Wynika z tego, że wśród tego środowiska nie było żadnej ciemnej postaci. Wszyscy byli wspaniali, wszyscy byli patriotami, wszyscy dzielnie wspierali księdza. Jednym słowem są pokazani w znakomitej sytuacji. Tymczasem, jak wiemy, zdaje się, w środowisku aktorskim również nie brakowało ludzi, którzy mają jakąś przeszłość. Ja śmiem twierdzić, że i tam też tacy ludzie byli. Zwłaszcza w Komitecie Prymasowskim. A tutaj wynika, że ideał, że gdzieś tylko robotnicy, pośród robotników się pojawiali jacyś ludzie o czarnych charakterach. No i warto by sobie nad

tym trochę powspominać i czasami się zastanowić, czy to tak aby na pewno. Druga rzecz, środowisko kurii. Też wspaniale pokazane w filmie. Ksiądz prymas, który przedstawia swoją wersję wydarzeń, zastrzegając, że on nie wie, jak było, ale według jego pamięci to było tak. Istnieje też pamięć świadków, tych ludzi, którzy rozmawiali z księdzem Jerzym bezpośrednio wtedy, kiedy wrócił z kurii, takich jak ja, który co prawda nie rozmawiał z nim bezpośrednio, ale widziałem jeszcze jego zapłakane oczy i kiedy próbowałem się oburzyć, jakoś zaprotestować, pamiętam, zaproponowałem, że my tu pójdziemy do księdza prymasa jakąś grupą, że to tak nie może być, to zostałem ostro wtedy zestrofowany i nakrzyczany, że nie, że tak nie wolno, że to jest nasz Kościół, że to są nasi zwierzchnicy, że nawet jeśli się stało tak, jak się stało, to nie nasza to rzecz, to zostanie między nim a księdzem prymasem, proszę tego nie rozpowiadać, proszę o tym nikomu nie mówić i w ogóle takie pomysły, że będą jakieś protesty, wybijcie sobie z głowy. Dlaczego? Dlatego, że ksiądz Jerzy był właśnie człowiekiem bez reszty posłusznym i oddanym Kościołowi. Bez reszty. Nie było takiej możliwości, żeby cokolwiek kontestował czy o czymkolwiek dyskutował w gronie nawet tych ludzi, którzy mieli to szczęście i byli blisko niego, i wiedzieli co się stało. Nigdy nie dyskutował, zawsze nas uprzedzał, że wrogowie Kościoła tylko czyhają na takie rzeczy, że nie wolno tego robić. Krótko mówiąc zapomnijcie. Niemniej jednak napisał i zostawił swoje świadectwo w jednym z zeszytów, które prowadził, w jednym z pamiętników, i ono jest bardzo wierne, jest to słowo w słowo, ksiądz charakterem napisane. Te pamiętniki z jakiegoś powodu wydostały się na zewnątrz, ktoś je opublikował, bodaj w Parimatchu. Są pomysły, że ktoś nawet to sprzedał, że zrobił jakieś pieniądze. Ja nie znam losu tych pamiętników, wiem natomiast, bardzo dokładnie to pamiętam, że ksiądz je wyjął z tych rzeczy, które dawał mi na przechowanie, mówiąc, że jeszcze może to mu być potrzebne, ponieważ miał zamiar prowadzić cały czas pamiętnik i prowadził go tak notabene. Niemniej jednak teraz, jak ja patrzę w tych zapiskach, rzeczywiście ostatnie zapiski urwały się gdzieś tak w czerwcu. Najprawdopodobniej komuś jeszcze dał do przechowania te zapiski, trzeba by dojść do tego, komu. Tam jest zamieszczony bardzo wierny opis tej rozmowy, bardzo zresztą dobry. To, że używa się określenia, że "zostałem potraktowany gorzej niż od SB", to jest jedno, ale też dalej ksiądz pisze o tym, że przyjmuje to jako doświadczenie dla oczyszczenia. Że to go wzbogaca, że przyjmuje to w postawie pokory. I jest to moim zdaniem bardzo dobre świadectwo, bo naturalnie każdy zwierzchnik, tym bardziej zwierzchnik Kościoła, miał prawo podległego sobie księdza upomnieć, zestrofować czy nawet potraktować ostro, jeśli uważał, że było coś nie tak, a miał prawo tak myśleć. I dziwię się... Oglądałem ten film i wypowiedź księdza prymasa, no cóż, mamy, co mamy. Natomiast wtedy się zreflektowałem właśnie, że jest to film... zrelacjonowana rzeczywistość z punktu widzenia jednego środowiska. I tyle. Na szczęście nie zrobiono krzywdy księdzu Jerzemu w sensie jego postaci. Znakomicie go odegrał aktor i znakomicie naprawdę

pokazano księdza, jego osobowość, jego sposób bycia. Oczywiście te fragmenty, gdzie on się zachowuje chaotycznie, lata, biega rozdygotany, kogoś tam trzyma za głowę, kogoś tam przytula, to jest akurat nieprawda. Nie był taki, był naprawdę człowiekiem zrównoważonym, spokojnym, reagującym przytomnie, a nie jakieś takie histeryczne gesty rodzaju "ojeej, co się stało" i jakieś takie rzeczy, to nie. Jak również nieprawdą jest, że biegał po jakichś demonstracjach. Absolutnie. Wiem to bardzo dokładnie, bo ja biegałem po demonstracjach i wtedy, kiedy przychodziłem do niego, to też zawsze byłem strofowany. Kiedy ja biegłem z sensacjami, co się stało, to mi od razu tłumaczył: "Po co tam chodziłeś? Człowieku, zastanów się, nie tędy droga, nie o taką walkę chodzi, masz małe dzieci, nie wolno tego robić". Jestem przekonany, nigdy nie był na żadnej demonstracji. Jeśli gdzieś kiedyś przez przypadek się zaplątał na jakąś, to ja o tym nic nie wiedziałem, może to tak było na początku, w tym filmie to pokazano, nie wiem. Moim zdaniem jest to nieprawda, a nawet jeśli się wydarzyło i w ten sposób uwypuklono, to stawia to księdza w jakimś tam świetle, w którym nie powinien on się znaleźć, bo z całą pewnością nie była to jego charakterystyczna cecha, czyli bieganie po demonstracjach, nawet po to, żeby opatrywać ludzi, którzy tam zostali poranieni. Uczył nas zupełnie czego innego, uczył nas właśnie, że jedyna metoda walki, jaką powinniśmy stosować, to jest zwalczanie zła dobrem, czyli nauczanie się, co to znaczy zwalczać zło dobrem, że zmiana od samego siebie, od każdego z nas wymagał, żebyśmy się nauczyli, sami umieli sobie odpowiedzieć na pytanie, czy jesteśmy ludźmi wolnymi wewnątrz. Bo on mówił, no co z tego? Komunizm dzisiaj jest taki, jutro będzie inny. Ksiądz Jerzy nigdy nie zakładał, że komunizm się nagle skończy. A nawet wtedy, kiedy już wielu myślało, że tak będzie, to ksiądz Jerzy upewniał nas, a przynajmniej ja w rozmowie, którą z nim prowadziłem, dowadywałem się, że „to tak nie będzie, że komuniści spakują walizki i sobie wyjadą. Oni tu będą, oni po prostu przeformułują swoje metody działania, przeorganizują, będą”. Mówi: "Nauczcie się tego, że trzeba najpierw zrobić porządek z samym sobą, zająć się sobą, swoim wnętrzem, tak żeby znaleźć jakiś taki punkt odniesienia, od którego już będzie można mówić, że jestem człowiekiem wolnym, i wtedy poradzę sobie w każdych warunkach". A co to znaczy być człowiekiem wolnym, no to trzeba się nad tym pochylić i zastanowić nawet w dzisiejszych czasach, bo jest to zadanie, które nam pozostawił, i każdy z nas powinien to wiedzieć, co to znaczy, że jesteśmy wolnymi ludźmi. Wolnymi od wielu różnych rzeczy, od wielu różnych potrzeb, nałogów, takich czy innych uzależnień, różnych ciągów, z pozoru niewinnych. Słowem jest to jakieś zadanie. Podobnie jak to, o którym mówił w swoim ostatnim testamencie, czyli musimy rozeznaczyć, co to jest miłość, musimy dokładnie wiedzieć, na czym polega to zjawisko, żeby nie ulegać złudzeniu, że miłość to jest jakiś afekt, jakiś zachwyt, jakieś emocje, że jest to jakaś postawa, że trzeba do tego dojść, żeby się przekonać, że tak naprawdę gdzieś na końcu tego pojęcia pojawia się ten Bóg, który jest miłością, że trzeba do tego

dojrzeć, dojść, zrozumieć. To były jego nawoływania do walki z rzeczywistością ówczesną, do zmiany tej rzeczywistości. Czyli poprzez siebie. Zostawił takie świadectwa, jest jakieś wspomnienie grupy młodych ludzi, z którymi był na biwaku i tam gdzieś kiedyś przy ognisku tłumaczył im też, że „Polska nie zmieni się od tego, że będziemy wychodzili na ulice. Polska się zmieni wtedy, kiedy wy się zmienicie, kiedy każdy z was zajmie się własną formacją, kiedy będziecie się uczyć, kiedy będziecie zmieniać swoją postawę na taką, która bardziej jest ewangeliczna, a mniej ta świecka, i wtedy, kiedy tacy będą ludzie, to taki będzie kraj. To jest metoda”. Teraz co do kurii właśnie, w filmie brakuje mi tego, zupełnie zamazane zostały te wątki traktowania księdza przez otoczenie kurialne. No cóż, trzeba sobie powiedzieć, że wiele się napłakał, bo to, że raz wrócił zapłakany po rozmowie z prymasem, to jest jedno, ale też bardzo dotknęło go, co prawda nie mogę powiedzieć, żeby wywołało aż łzy, ale dotknęło go i bolało, kiedy zarzucano mu, że zajmuje się tym, czym nie powinien się zajmować, a zaniedbuje te obowiązki, do których był przypisany. A więc padł zarzut, że nie zajmuje się służbą zdrowia. Dlaczego to dokładnie pamiętam? Ponieważ poprosił nas wtedy o pomoc i myśmy przez dobre dwa-trzy dni zbierali gazety, które gdzieś tam przechowywał, i wycinaliśmy z nich fragmenty jakichś takich doniesień gazetowych, informacji gazetowych, z których tam wynikało, że ksiądz Jerzy był tu, był tam, brał udział w takim spotkaniu, brał udział w innym spotkaniu, i tego, jak się okazało, nazbierał się całkiem spory zeszyt wypchany, opasy różnych takich enuncjacji prasowych, jak również jakichś tam oświadczeń ludzi, i z tym zeszytem wiem, że jechał do biskupa, żeby się tłumaczyć, że jednak to nie jest tak, jak mu się zarzuca, że on z tym środowiskiem utrzymuje stały kontakt, odprawia regularne msze, że ci ludzie są... No właśnie, środowiska medyczne, to jest to zupełnie takie pominięte środowisko i w tym filmie, i de facto w wielu wspomnieniach wspaniałych ludzi, których on wychowywał, ale też i nieco starszych już takich lekarzy, pielęgniarek, które tam z księdzem się kontaktowały, i choćby jak Ligia Grabowska, która też gdzieś tam jakoś jest pomijana w tych wspomnieniach, jest to taka osoba, która zaznaczyła swoją obecność tam wiele razy, ona była jedną z organizatorek tych służb medycznych potrzebnych na czas mszy, jak również na czas wizyty papieża. Tych ludzi zupełnie się marginalizuje, natomiast uwypukla wspaniałą postawę kurialistów. Dla mnie takim szokiem było, kiedy uświadomiłem sobie przecież taki fakt, że ksiądz Jerzego w pewnym momencie zobowiązano do codziennego meldowania się w pełnym rynsztunku, czyli w sutannie z koloratką, w kurii. O godzinie 16.30, musiał się zgłosić, zameldować, odznaczyć swoją obecność. Nie wiem, co to takiego było, jaki to był środek wychowawczy, może tak należało, w każdym razie nie wiem, z jakiego powodu dzisiaj ci kurialiści zupełnie o tym milczą. Przecież jest to taka dość zawstydzająca forma represji chyba.

Anna Pietraszek: Jak długo to trwało?

Adam Nowosad: Myślę, że sporo tygodni, bo to już było rzeczywiście w tym ostatnim okresie czasu. Ja nie potrafię powiedzieć, wiem tylko, że były takie przypadki, że ksiądz Jerzy o jakiejś godzinie ubierał się w sutannę, wyjeżdżał. Nie mówił nam, o co chodzi przecież. Na ogół jeździł tam sam. Warto by spytać Waldka, może to pamięta. To jest też potwierdzone w jednym z doniesień tych rozpoznanych agentów. Tak że jest na to nawet jakiś taki dość formalny dowód, co się działo. Wielu księży było krytycznie nastawionych do tego, co robi ksiądz Jerzy, i byli przekonywani, że tak nie wolno właśnie postępować. Ksiądz Jerzy był stawiany jako ten negatywny przykład księdza, który nie powinien robić tego, co robi. Charakterystycznym jest tutaj wspomnienie księdza Sikorskiego. To jest taka też osoba i człowiek, który mógłby wiele na ten temat powiedzieć, bo on sam kiedyś wyznał publicznie, że kiedy w końcu pojechał na tę mszę [do] Stanisława Kostki, albo celebrując, kiedyś też miał taki przypadek, że spóźnił się na mszę i stał pośród wiernych, uświadomił sobie nagle, to są takie jego wspomnienia, że jest to wspaniała rzecz, że ten człowiek tak naprawdę nie robi niczego, o czym jemu jako księdzu mówiono w kurii. I wtedy to miał być jakiś taki przełom dla księdza Sikorskiego, i on jak gdyby włączył się w te działania, wsparł księdza. Wiem, że była taka historia, kiedy udzielił mu takiego poparcia, co bardzo księdza zbudowało. Zawsze warto pamiętać o postawie kilku biskupów, jak biskup Kraszewski czy biskup Miziołek, którzy też wspierali księdza, pomagali mu. Tutaj zwłaszcza niedocenionym człowiekiem jest biskup Kraszewski, o którym się mówi wręcz, że gdyby nie on, ksiądz Jerzy miałby jeszcze gorzej w tym środowisku. I wiemy, ja to pamiętam i wiem, że ksiądz Jerzy był w pewnym sensie izolowany, nie mógł dostać się na przykład na spotkanie z biskupami, kiedy była organizowana ochrona medyczna wizyty Ojca Świętego, to oczywiście odmówiono księdzu spotkania z papieżem, na to podobno były naciski władz państwowych, że nie wolno, ale do tego stopnia był izolowany, że nie mógł przedostać się nawet w te miejsca, gdzie spotykali się biskupi. Oczywiście ksiądz sobie poradził, myśmy go do pewnego miejsca odprowadzali, w pewnym miejscu nam również zniknął z pola widzenia i dopiero zobaczyliśmy go w autokarze z biskupami. Myśmy się śmiali, że jednak sobie z tym poradził. I takie rzeczy miały miejsce, więc dlaczego dzisiaj o tym nie mówić. Ksiądz Jerzy, powiem to może na koniec, moim zdaniem przeszedł tą samą drogą, co ojciec Pio. Dokładnie. Podobnie był traktowany i kto wie, jak by się dalej potoczyły jego losy, jeśli pojechałby do Rzymu, to miejmy nadzieję, że ustałyby te nękania ze strony kurii, natomiast gdyby został, nie wiem, jak by to dalej było. Jeśli kazano mu się zgłaszać w pełnym stroju, codziennie meldować, to następne kroki mogły być jeszcze bardziej radykalne. Nie wiemy.

Głos: Mówiąc o spotkaniu i kontaktach z kurią, tutaj mówiliśmy o prymasie wcześniej, potem kuria i kurialiści. Jak wyglądało w tym momencie bezpośrednio ewentualnie spotkanie z księdzem Królem?

Adam Nowosad: No właśnie. Ksiądz Król wspomina je podobno bardzo sympatycznie zawsze. Opowiada, że był zawsze taki opiekuńczy, że troszczył się o księdza i że wiele razy go chronił. Trudno dyskutować, skoro ktoś taki jak ksiądz kanclerz Król tak mówi, to niech tak zostanie. Ja wiem, że ilekroć przyszło mu tam pojechać, ksiądz Jerzy zawsze ciężko to przeżywał, wychodziły na nim siódme poty, widzieliśmy, że jest zestresowany, że jest bardzo zdenerwowany, spięty. Niemniej jednak nigdy nie dawał po sobie poznać, jak już wrócił, zawsze mówił: "A, w porządku, w porządku". Wiemy, że takie historie były. Dzisiaj ja jakoś poznałem tam bliżej księdza kanclerza. Kiedyś nawet zorganizowaliśmy taką akcję zbierania pieniędzy na potrzeby zakończenia procesu beatyfikacyjnego, więc z tego powodu też udało mi się dłużej porozmawiać z księdzem i trochę mówił dużo o sobie w takim jak najlepszym świetle. Ja powątpiewam. Wiem, że był to człowiek surowy, raczej taki stanowczy, i wiem, że ksiądz na spotkania, kiedy był wzywany lub kiedy wiadomo było, że się spotka, bardzo jechał spięty i właśnie przygotowywał się. Nie przysięgnę, ale chyba to dla księdza Króla szykował te swoje zapiski prasowe o tym, że jednak jest człowiekiem aktywnym, że zajmuje się tym środowiskiem. Wiem, że bardzo go dotknęło i bardzo przeżywał ten zarzut. I wiem, że wybierał się tam na takie spotkanie i właśnie prosił nas, myśmy wiele godzin siedzieli, żeby przygotować mu to wszystko. I z takim zeszytem udał się na spotkanie do kurii. No nie wiem jak było, jak wrócił, bo tak jak wspomniałem, nie miał w zwyczaju komentować, co się tam działo. Nieliczni, czasami coś Waldek wiedział więcej, ale na ogół był skryty. Co jest charakterystyczne w ogóle dla księdza Jerzego, że wszędzie, gdzie się pojawiał, po jakimś czasie stawał się takim człowiekiem trochę niewygodnym dla otoczenia. W tych swoich poprzednich parafiach, to też by warto było kiedyś przejść tym tropem i porozmawiać z tymi ludźmi. Dlaczego? Dlatego, że to był ksiądz rzeczywiście inny niż wielu w tamtym czasie. Był niezwykle aktywny, pracowity i wszędzie, gdzie się pojawiał, inicjował jakieś działania nieznane, niewygodne, niepotrzebne. Natychmiast zaczął organizować młodzież, zaczął tworzyć jakieś tam kółka zainteresowań, jakieś grupy. No i podejrzewam, że z tego powodu jako taki niezwykle aktywny młody ksiądz jakoś krótko bywał w tych swoich miejscach i na ogół w następnym miejscu był już tylko rezydentem, bo wikariuszem bodajże był w dwóch czy trzech parafiach, później już tylko miał status rezydenta. Posłużono się tym argumentem, że kiedy zemdlał w czasie odprawiania mszy, to uznano, że ma słabe zdrowie. Więc twierdzą, że nie, że zdrowie miał znośne zupełnie, tylko po prostu ciężko pracował. Wszędzie, gdzie był, ciężko pracował i eksploatował się ponad miarę, i to powodowało takie jego stany. Nie był to na pewno argument koronny, żeby uznać, że ksiądz się nie nadaje na księdza, bo jest słabego zdrowia. To tyle o kurii. Może dzisiaj jest wielu dumnych kurialistów, którzy twierdzą, że bardzo wspierali, pomagali księdzu Jerzemu. Bardzo chciałbym wiedzieć, którzy to są, bo ja pamiętam

tylko takich, co do których ja jestem przekonany, że ksiądz Jerzy raczej zachowywał pewien dystans, że trochę się ich obawiał. Może tak delikatnie.

Głos: Przewija nam się tutaj stale ksiądz Bogucki, który był bardzo ważnym dla...

Adam Nowosad: Bardzo ważnym. Tak, w filmie też pokazano taki fragment z księdzem Boguckim, kiedy to odpytuje jak gdyby na baczość, sztorcuje księdza Jerzego i każe mu tam zaśpiewać, bo słyszał, że Popiełuszko słabo śpiewa. Nie wiem skąd się to i komu wzięło, być może tak było. Ksiądz Bogucki miał taką postawę sarmaty, był to taki człowiek raczej dumny, raczej taki, że niełatwo było do niego się zbliżyć w takim znaczeniu potocznym. Zachowywał pewien dystans i taką postawę, rzeczywiście. Był na pozór człowiekiem dość surowym. Jednak jak wiemy, do księdza Jerzego miał stosunek zupełnie specjalny. To ksiądz Bogucki niejako wynalazł księdza Jerzego, gdzieś go tam poznał, gdzieś go zaprosił, to on zdecydował o tym, żeby ksiądz Jerzy miał u niego swoje miejsce, tam mu dał w sumie najlepsze warunki, jakie do tej pory ksiądz miał. Miał tam dużą salę, gdzie mógł się spotykać z młodymi ludźmi, miał tam jakieś zaplecze, skromne, bo skromne, ale miał, w każdym razie bardzo się cieszył z tych warunków, jakie miał na Żoliborzu, i wiem to z całą pewnością, że do księdza Boguckiego ksiądz Jerzy miał stosunek zupełnie synowski. On traktował go jak ojca do tego stopnia, co nas też szokowało, że całował w rękę księdza Boguckiego, zupełnie po synowsku. Bo czymś innym jest, kiedy witał się z biskupem i przyklękał, co my też robiliśmy, z dużym zdumieniem, bo czegoś takiego nie znaliśmy, ksiądz Jerzy nas tego nauczył, to do księdza Boguckiego miał stosunek absolutnie synowski i odwrotnie, ksiądz Jerzy [Teofil Bogucki] traktował go również jak ojciec, była to dla niego najważniejsza osoba w tym miejscu. Nie mogę powiedzieć, że innymi się nie zajmował, ale ksiądz Jerzy był dla niego kimś wyjątkowym. I takie pokazanie go w filmie, w sytuacji, kiedy jest ostry i próbuje odstłuchać śpiew księdza Jerzego, jest jakimś nieporozumieniem. Źle oddaje w każdym razie klimat i nie pokazuje tej osoby taką, jaką ona naprawdę była. Przychodził wielokrotnie zatroskany, przychodził z jakimś tam anonimem, z marsową miną, do księdza Jerzego, i tak przy nas rozglądał się, i mówił, „Zobacz, co znowu napisali tutaj, że ja to, że ja to jestem to, że ja to jestem tamto, że ty to tamto”. I nawet pamiętam takie zdarzenie, ale bodaj już o nim mówiłem, że ksiądz Jerzy tak się przejął, że poprosił nas, żebyśmy pojechali sprawdzić te miejsca, bo tam był adres rzekomo jakiś podany. Oczywiście była to bzdura, nieprawda. Wróciliśmy natychmiast do księdza Boguckiego, żeby się nie przejmował, że to jest anonim. Bo dlaczego go to zabolalo? Bo właśnie było imię, nazwisko, adres, a więc myślał, że jest to jakaś tam osoba, która nie wstydzi się i mówi rzeczywiście, jak to tam z jej punktu widzenia wyglądało. Bardzo zatroskany, bardzo wspaniała to postać. Żałuję dzisiaj, że ten grób księdza Boguckiego jest taki troszeczkę z boku, taki troszeczkę w tych zaroślach,

że należałoby to jednak jakoś uporządkować, trochę tam więcej zrobić, zadbać o ten grób. I czasami właśnie, kiedy obserwuję grupy pielgrzymów, które podchodzą, modlą się u grobu księdza Jerzego, to dalej już jest zaproszenie albo do muzeum, albo do kościoła, a omija się ten grób księdza Boguckiego. Twierdzę, jestem przekonany, że gdyby nie ksiądz Bogucki, nie byłoby takiego księdza Jerzego, nie miałyby szansy rozwinąć. To był pierwszy taki proboszcz, który po prostu dał mu pole do popisu, otworzył przed nim przestrzeń, zawierzył mu, zaufał mu. Wiedział, że cokolwiek on robi, będzie robił dobrze. I to ksiądz Jerzy przy księdzu Boguckim właśnie mógł zrobić to, co zrobił, mógł pokazać światu, co jest ważne dla człowieka, dla Polski. Ksiądz Bogucki był znany jako taki ksiądz patriota, wszystkie te napisy, te tablice dookoła kościoła o tym świadczą. I tak też zachowywał się, to on zainicjował mszę za ojczyznę i później dopiero dodano za tych, którzy dla niej cierpią, to był jego pomysł, i ksiądz Jerzy, który się tam pojawił, był dla niego takim właśnie wsparciem. Więc, uważam, niedoceniona postać, jakoś też przemilczana albo jeśli już pokazana w takim wysokonakładowym filmie, to w takiej sytuacji, że odpytuje, sztorcuje księdza. Nic podobnego. Nic takiego nigdy nie miało miejsca, a przynajmniej ja tego nie pamiętam. Być może tak się kiedyś zdarzyło, bo to któryś z księży, zdaje się, tak wspomina, ale nie wiem. Ja znałem księdza Boguckiego jako troskliwego, przejętego losami księdza Jerzego. I odwrotnie zresztą. Ksiądz Jerzy również każdą wieść o złym stanie zdrowia przeżywał bardzo boleśnie, bardzo żywo reagował, był w stanie wszystko rzucić, żeby tylko dowiedzieć się, co tam u księdza Boguckiego, co się dzieje w jego zdrowiu. No dobrze.

Anna Pietraszek: Przerwa mała? Nie, co byś tam chciała? Wiesz, Aniu, bo... Jeszcze bym chciała.

Adam Nowosad: No to tam powiedz, spróbujemy.

Anna Pietraszek: O sobie.

Adam Nowosad: O sobie samym?

Anna Pietraszek: Bo zacząłeś o ojcu. A gdzie ojciec mieszkał, o rodzicach...

Adam Nowosad: A to taką wiwisekcję to mi zafundował właśnie nasz przyjaciel Robert Tekieli w otwartym radio. Zachęcam do posłuchania. To jest albo już się pojawia, albo się pojawi na stronie Radia Józef. O sobie. Właśnie taka była intencja, żebym powiedział troszeczkę, jakie wywarł ksiądz Jerzy... jaki wpływ wywarł na moje życie. No warto. Na ogół chętniej zawsze mówię o przesłaniu księdza Jerzego, ale uświadomiłem sobie również, że takie własne świadectwo może być też dla kogoś znaczące i warte tego. Jak już wcześniej wspominałem o tym dzieciństwie takim poszarpanym gdzieś tam między lasami

Pomorza a Warszawą, dziadkowie mieszkali kiedyś na ulicy Bagno, która już dziś nie istnieje. Dom, w którym mieszkali, to już dzisiaj jest w tym miejscu zabudowany taki nowoczesny biurowiec, gdzieś na zapleczu Pasty. Zaglądam tam czasami ze łzami w oczach, no trudno, tak się stało, że go zburzyli, zlikwidowali, wybudowano teraz tam jakiś super biurowiec. Gdzieś kiedyś w dzieciństwie nawiązałem szczególny kontakt z pewnym świętym. Tak, Maksymilian Kolbe. Zupełnie nie wiedzieć czemu. Ja byłem jako małe dziecko, ale również jako dorosły człowiek zawsze bardzo dociekliwym. Przeszło mi to w pewnym etapie życia, ale na ogół byłem człowiekiem ciekawskim, zawsze lubiłem wiedzieć, dlaczego tak, a nie inaczej, i czemu tak, a przecież można inaczej i takim wiecznie dochodzącym, dociekającym. Pamiętam z dzieciństwa, że gdzieś wtedy pojawiał się kult ojca Maksymiliana, i księży, którzy, jak wspominałem, zajmowali się jakąś moją formacją religijną, a oni jakoś zwrócili moją uwagę właśnie na tego świętego. Dlatego od wczesnego dzieciństwa odwoływałem się do niego, zwracałem do niego z jakimiś sprawami i dziś twierdzę, że ten to święty nie inaczej, jak doprowadził mnie do księdza Jerzego. Po latach, po latach dowiedziałem się, że mieliśmy wspólnego patrona i że, mało tego, obraliśmy go sobie w podobnym wieku. Ja byłem nieco starszy, ksiądz Jerzy był nieco młodszy, kiedy obaj napotkaliśmy Maksymiliana. Nie wiem jak to było u księdza Jerzego, wspomnienia jego mamy są takie, że kiedyś z jakiegoś powodu ustawił sobie kapliczkę, mały ołtarzyk z wizerunkiem księdza Maksymiliana i od tego czasu przystroił go tam kwiatkami, modlił się do niego i jakoś tak utrzymywał kult, i oznajmił, że jest to jego patron. Do tego stopnia, że nawet kiedy była kwestia wyboru seminarium, to wołał warszawskie, bo bliżej Niepokalanowa. Tym to motywował. I ja kiedyś, kiedy trafiłem do księdza Jerzego, jak ci powiedziałem, niejako poraził mnie swoim spojrzeniem, poraził to jest złe słowo, ale zapamiętałem to jako niezwykle spojrzenie. Później, po jakimś czasie, zorientowałem się, że mieli takie same oczy. I ksiądz Maksymilian, i ksiądz Jerzy. Ciemne, piwne, przenikliwe oczy. Niezwykłe spojrzenie. Podobno ojciec Maksymilian też spojrzeniem wiele potrafił zdziałać. Tak było i z księdzem Jerzym, i ze mną, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy i kiedy, jak wspominałem, już nie miałem zamiaru poświęcać za wiele czasu sprawie, z którą się tam udaliśmy. Po tym spojrzeniu, kiedy spojrzał na mnie, poczułem pewnego rodzaju dreszcz, jakieś takie zadziwiające zjawisko, po którym wiedziałem, że jestem w jakimś specjalnym miejscu. Że spotkałem jakiegoś niezwykle człowieka i że trzeba w takim razie tu zostać. Trzeba mu pomóc. I w ten sposób właśnie włączyłem się w jego sprawy. Niemniej jednak, jeśli już mówimy o jego wpływie na moje życie, to warto tu powiedzieć, że wtedy, kiedy się do księdza wybierałem, byłem takim katolikiem jak wielu, czyli takim uważającym, że można sobie być wierzącym, ale ten Kościół to tak niezupełnie jest człowiekowi do szczęścia potrzebny, że tam Kościół sobie, a ja, to wystarczy, jak raz do roku się tam człowiek wypowiada, i jak jest od Wielkanocy albo na Boże Narodzenie w kościele, to już

jest wszystko w porządku, nie ma problemu. Żyliśmy sobie jak taki trochę, jak to się mówi, wierzący niepraktykujący, taki wynalazek, który w tamtych czasach funkcjonował i o którym byliśmy przekonani, że to jest takie dosyć normalne i powszechne, więc ja zupełnie sobie spokojnie, żyjąc obok Kościoła... A bywało nawet, zupełnie na obrzeżach Kościoła, potrafiłem zabłądzić w takie rejony, gdzie naturalnie można było sobie sporo pogrześcić. Więc ja, zanim spotkałem księdza Jerzego, nosiłem spory taki bagaż. I mój stosunek do Kościoła był rzeczywiście też taki z dystansem, często nawet bardzo krytyczny, chętnie, łatwo się dałem wciągnąć w jakieś takie panujące wówczas przeświadczenia, że „A, księża to powinni być tacy, a inni, a dlaczego robią to, dlaczego tamto”. Chętnie gdzieś wychwytywałem jakieś sensacje w stylu, ksiądz coś przegrał w karty czy miał kochankę. Tak zupełnie gdzieś na uboczu, żeby nie powiedzieć, że wręcz z dala od Kościoła sobie egzystowałem wtedy. Naturalnie byłem w związku formalnym, katolickim, zawarłem sakrament małżeński, ochrzciłem dzieci, ale mówię, było to tak zupełnie po łebkach i szczerze mówiąc, gdyby nie ksiądz Jerzy, nie wiem czy ta świadomość kiedykolwiek do mnie by dotarła, bo wtedy byłem na najlepszej drodze do takiego ustawienia się w miejscu człowieka zaopatrzonego w dobra materialne, gdzieś tam widziałem przyszłość swoją jako jakiegoś tam biznesmena, który sobie świetnie radzi, nie ma żadnego problemu, a przecież Bóg to jest taka sprawa zupełnie prywatna, więc jakoś sobie z tym tam poradzę i z Panem Bogiem się dogadam. Dzisiaj to sobie nawet myślę, że ja chyba byłem jednym z tych, którzy mieli swojego Boga. Bo wielu ludzi do dziś nie zdaje sobie sprawy, że kiedy tak właśnie mówi, że Bóg tak, a Kościół nie, no to tak jakby stworzyli sobie swojego Boga, takiego własnego, z którym się świetnie dogadują, i nie jest im potrzebny żaden pośrednik. Trzeba wiedzieć, że ksiądz Jerzy miał specyficzny zupełnie stosunek do takich ludzi jak ja, rozpoznawał ich znakomicie oczywiście i szczególnie troskliwie potrafił się kimś takim zająć.

N0248_kr_FINAL_6_8

Adam Nowosad: Zdziwiałem, że nikogo nie zainteresowało, że człowiek, który miał jechać na taką wyprawę, nagle nie jedzie.

Anna Pietraszek: A mnie się wydaje, że nawet gdybyśmy mieli ty i ja być świadkami za cenę własnego rozstroju zdrowia, to ja bym się nie cofnęła. Tylko można było na coś wpaść.

Adam Nowosad: Wtedy, za komuny, to ja: broń Boże. Skoro mnie nie dotyczyli, to ja jak najbardziej z daleka. Oczywiście jako ten człowiek ciekawski rozpocząłem własne śledztwo, bo mnie też interesowało bardzo. Przyznam dzisiaj, że ja byłem też jednym z tych ludzi, którym przychodziło do głowy, że Waldek Chrostowski odegrał tam jakąś rolę niejasną. Przyznam to. Dopiero trzeba było lat i tego, że ja oczywiście

znam i Waldka, i jego rodzinę od lat, a te jego dzieciaki od maleńkości, to było mi łatwiej skojarzyć to, co się u niego dzieje, i dlaczego to akurat nie on, dlaczego w żadnym razie nie mógł być on. Już nagrywamy. Ale też sobie zadałem ten trud. Bo to jest takie pierwsze skojarzenie. Dlaczego ten człowiek na przykład zostawił tego księdza?

Anna Pietraszek: Ciekawe, ale dla mnie na przykład to było absolutnie od samego początku dowodem na cud i dowodem, że ta śmierć jest śmiercią świętego. Jest tam moja reakcja, którą do dziś pamiętam.

Adam Nowosad: Tak, tak należy to rozumieć.

Anna Pietraszek: Ale później takie nagabywanie i podważanie Chrostowskiego, udziału Chrostowskiego, ostatnio nawet przecież...

Adam Nowosad: No tak. Teraz jest fala... Dlaczego? Dlatego że agentura potrzebuje ciągle tego nazwiska jako tego nośnika. Jak się rzuci "Chrostowski", to wszyscy wiedzą o co chodzi. No szok. No jak to? Najbliższy przyjaciel, kierowca i coś takiego. I oni się nim posługują zwyczajnie, świadomie, wykorzystując takich ludzi jak ten nieszczęśnik, Sumliński, którego można nakarmić pewnymi sprawami i on jako ten dziennikarz śledczy rozpędza się, zapala, biegnie w jakieś rejony, o których nic nie wie, jest karmiony przez prokuratora, który też został odpowiednio nafaszerowany tym, co potrzeba, i też idzie w jakimś tam kierunku. To wszystko jest chore. Natomiast nikt nie zrobił naprawdę prostego rozeznania w otoczeniu. Od tego się zaczyna. Przecież jeśli tam było dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt osób, każda z tych osób powinna być przesłuchana gruntownie, powinna opowiedzieć o sobie tyle, ile... Zgodnie z upewnieniami śledczego. Powinni wszystko wiedzieć. Z mojego otoczenia gdzieś słyszę, IPN tam kogoś zaprosił, zadał mu parę pytań zupełnie nie na temat, jakieś takie historie, ci sławni robotnicy, którzy tam, powiedzmy, mieli jakieś tam wersje do powtórzenia, byli odsłuchiwanie, ale to też po jakimś czasie. Zupełnie nie to. Dlatego uważam, że komuś zależy na utrzymywaniu takiego stanu. Dokąd można robić sensacje typu "wykryjemy nowego agenta". Ja sam też nie powiem, że nie bez emocji interesuję się tym, jak tam wykrywamy jakiegoś agenta, jest tutaj, niesie trumnę z księdzem Jerzym. Przepraszam bardzo, jest to taka charakterystyczna rzecz, że mieli taki tupet. Na mnie to działa z tego powodu, że... No spójrz, ten po lewej stronie trumny. To to był ogromny zaszczyt być w tym miejscu. Mnie było dane ucałować tę trumnę, ale nikt by mnie nie dopuścił do tego, że nie miałem szans się dostać do takiego kordonu. Jeszcze nieś trumnę, to zawsze było to jakieś wyjątkowe wyróżnienie.

Adam Nowosad: Szedł Waldek...

Anna Pietraszek: A poza tym to był dowód na to, że to są jacyś najbliżsi.

Adam Nowosad: No tak. I z tego powodu te zjawiska sensacyjne jakoś mnie tam też zajmują, bo po latach odtwarzam sobie atmosferę tamtego otoczenia, tamtych zdarzeń, ale jak mówię, to nie tędy droga, bo cóż ci drobni, Bogu ducha winni agenci... Ten, to podobno kiedyś ktoś go spotkał, gdzieś handlował jakimś mięsem na jakimś bazarze. Ten człowiek stąd. I też nie zwrócił na niego uwagi... Dopiero Jurek Szóstko mi uświadomił, że to przez niego siedziała ta profesor Grabińska, która kolportowała jakąś tam bibułę. No to takim ludziom to już chyba wypadałoby zadać pytanie, jeśli przez kogoś ktoś siedział w więzieniu, to co ty tam robiłeś u tego księdza. Ale to jest też kolejny dowód na to, że nie było śledztwa w otoczeniu. Skoro teraz, dopiero po latach, wychodzą, Żaryn, gdzieś trafia w IPN-ie na jakieś tam tarcze, jakieś tam miecze. Oczywiście Żaryn też nie ma tej świadomości, że tak naprawdę w IPN-ie niewiele będzie rzeczy. Tam nie ma też wszystkiego. Część jest, on niby twierdził, że mają wszystko, ale to jest nieprawda.

Anna Pietraszek: A gdzie jeszcze może być?

Adam Nowosad: Jeśli jest tak, jak my wiemy, my, mówię o tej grupie ludzi wokół księdza Jerzego, że myśmy byli inwigilowani przez kilka wywiadów, no to twierdzę, że źródłowe sprawy są gdzieś tam w tych wywiadach.

Anna Pietraszek: Kilka?

Adam Nowosad: Kilka. Gdybyście sięgnęli pamięcią do tamtych czasów, to pamiętacie, że był niejaki Kiszczak. On był szefem takiego całego wywiadu, później następcą tego wywiadu było chyba WSI, to wcześniej była WSW, tak jakoś, Wojskowa Służba Wewnętrzna, i w ramach tej Służby, jeśli on był szefem tego wywiadu, to działał jeszcze jakiś wywiad cywilny, tak zwana ubecja. A oni się między sobą ostro żarli. Oprócz tego było KGB, które nie odpuszczało, Stasi i Mosad. Była całkiem spora grupa wywiadów. Nas ostrzegano, tam przychodzili ludzie dobrze ustosunkowani, mocni politycznie, którzy nam mówili, co się dzieje, w jaki sposób jesteście inwigilowani i kto się tym tak naprawdę zajmuje. Ja już w tej chwili nawet nie potrafię podać nazwisk, ja nawet nie wiem, czy to bezpośrednio do mnie docierało, natomiast Waldek mi na przykład mówi: "Wyobrażasz sobie, że za nami jeździ Mosad?". Mówię, rany boskie. To wtedy myśmy się zaczęli dopiero organizować w taki sposób, że każdy miał notesik i zapisywało się numery rejestracyjne samochodów, które za tobą jechały. I porównywało się. Oni się często zmieniali, ale jak już mieliśmy te numery, to łatwiej było się zorientować, a, to mam ogon. I wtedy gdzieś tam jakoś trzeba było inaczej reagować, tak żeby ich nie dowieźć do siebie do domu. No ile ja miałem takich

historii, że ja gdzieś przed domem musiałem zostawiać samochód, biegać opłotkami, żeby się do domu dostać. I teraz, cóż IPN dostał z tych wywiadów? Nie wiem. Witkowski, sławny prokurator, napisał i opublikował to w książce, dlatego ja się tym posługuję, u Sumlińskiego, że istnieje lista agentów wokół księdza Jerzego. To przepraszam bardzo, jeśli ona istnieje, to trzeba ją upublicznić, trzeba się tym zająć. Jeśli istnieje taka lista, jeśli on jest przekonany o tym. To po co robić takie historie, Żaryn się tam trudzi, pracuje, wertuje, robi te kwerendy w tych IPN-ach. Trzeba porozmawiać z prokuratorem Witkowskim. Jeśli on doszedł do wniosku, że jego śledztwo szło w tym kierunku, że wykrył Chrostowskiego jako jednego ze współsprawców porwania, bo tak by trzeba było na to patrzeć. Bo jeśli Waldek brał w czymś udział, no to w tym porwaniu. To nie jest to zasadniczy wątek sprawy. Jeśli była jakaś agentura wokół księdza, która donosiła, to też to nie jest zasadniczy wątek sprawy. To są jakieś elementy składowe. A gdzie są nici do tych ludzi, którzy naprawdę to montowali i którzy to trzymali w rękę? Dzisiaj się mówi w książce pod tytułem "Stół bez kantów", znajduję taki fragment wypowiedzi jakiegoś historyka, który mówi z przekonaniem i to publikuje, że w 1984 roku wysłano do księdza Orszulika ludzi od Kiszczaka, którzy mieli zorganizować Okrągły Stół. W 1984 roku. Wtedy ginie ksiądz Jerzy. Komuś to było nie na rękę. Dla kogoś to Okrągły Stół był, nie wiem, za wcześniej, nie taki? W 1989 roku giną kolejni księża, przed Okrągłym Stołem. To też jest jakiś wskaźnik, coś powinno dać do myślenia. Tym bardziej ja teraz, w swojej sytuacji, kiedy doświadczyłem paru takich stanów granicznych, zawałowych, wiem, że nie ma się sensu tym zajmować. Ja wiele lat i wiele wysiłku poświęciłem po śmierci księdza Jerzego na to, żeby dotrzeć do wszystkich uczestników tamtych zdarzeń. Oni nawet o tym nie wiedzieli. Ja bywałem u nich w domach, ja z nimi rozmawiałem, ja bywałem w różnych sytuacjach, żeby dowiedzieć się od nich, o co mogło chodzić. I ja tak na dobrą sprawę zrobiłem taką robotę, której w moim przeświadczeniu nie zrobił żaden śledczy do dzisiaj. Nie dotarł do tych ludzi. Bo ja wyraźnie pytałem, czy byli kiedykolwiek, mieli kontakt jakiś. Nie.

Anna Pietraszek: Sumliński w tej swojej książce, ale i w tych różnych artykułach, we Wprost i w Newsweeku, to sugerował, właściwie twierdził, że byli świadkowie zabójstwa księdza Jerzego, o jakimś rybaku, pamiętam, że był świadkiem wyrzucania ciała, i że oni później w tajemniczych okolicznościach wszyscy zginęli.

Adam Nowosad: Zginęło do tej pory, jak już tam ktoś naliczył, ja mam te artykuły, dziewięć osób. Niektóre może to jest kwestia złej interpretacji zdarzenia, bo zginęły też jakieś osoby z rodziny księdza Jerzego. No ale przyjmijmy, że to jest jakieś nieporozumienie, że zbieg okoliczności. Z tymi rybakami też różnie jest, może się okazać, że trochę konfabulują. Z całą pewnością są świadkowie, którzy potwierdzają,

że jakieś ciało zostało wrzucone do Wisły innego dnia, niż się przyjmuje. Są jacyś nurkowie z ekipy wydobywczej, do których bardzo łatwo dotrzeć, którzy wydobyli ciało księdza wcześniej i dostali polecenie zatopienia go z powrotem. To też żadna historia. Ale to wszystko, jak mówię, są rzeczy poboczne. Dla mnie takim najistotniejszym było, że zginęło dwóch oficerów dzisiejszego MSW, którzy zajęli się jedną konkretną sprawą, mianowicie rozgrywką między służbami wewnętrznymi, tymi, którymi zawiadywał niegdyś Kiszczak, czyli MSW i tym cywilnym pionem. To między nimi rozgrywały się właśnie te sceny i ci oficerowie podobno zaczęli wydobywać to na światło dzienne, rozpracowali ten mechanizm i biedni zginęli w wypadku samochodowym.

Anna Pietraszek: A kiedy zginęli?

Adam Nowosad: Teraz, niedawno. Dwa, trzy lata temu? Tak jak kojarzę. Bo to też w jakichś prasowych publikatorach. Z tym że, kochani, to tak dla nas zostaje, niech to tak pro memoria, bo te rzeczy rzeczywiście nie ma potrzeby, żeby wychodziły na światło dzienne. Jak to nagrywacie, to już niech zostanie, ale ja...

Anna Pietraszek: Nasze świadectwo też dajemy jakieś.

Adam Nowosad: Też dajemy, tak, tak.

Anna Pietraszek: A miałbyś zaufanie do prokuratora Witkowskiego?

Adam Nowosad: Miałbym? Czy miałbym, pytasz? Nie, nie mam, absolutnie. Nie mam, nigdy nawet...

Anna Pietraszek: A znałeś go?

Adam Nowosad: Nie, nie, nie. Nawet gdyby się do mnie zwrócił o coś, z całą pewnością niechętnie bym z nim rozmawiał, jeśli już, z jakiegoś obowiązku, tyle, ile trzeba. Z jakiego powodu prostego? Wiesz, jest to prokurator z trzydziestoletnim doświadczeniem. To jest taka cezura czasowa, która wiele mówi. Prokurator jeszcze dziesięć lat dobrze funkcjonujący w PRL-u. Nie znam, nie mogę powiedzieć o człowieku, być może przyzwoity, nie potrafię, ale wiem z całą pewnością, że został skierowany w takie miejsce, gdzie odbije się od ściany wcześniej czy później. On oczywiście doszedł do jakichś tam wniosków samodzielnie i próbował udowodnić parę rzeczy, takich jak chociażby to, że ksiądz nie zginął wtedy, kiedy się podaje. Ale to komuś też było nie na rękę i go od razu w tym momencie wyłączyli. Natomiast ktoś go umiejętnie wpuścił na te wątki poboczne, typu... Bo ja znam relację Waldka z rozmowy z Witkowskim. Dlaczego ja bym z nim nie rozmawiał? Bo znam tę relację i wiem, że zachowywał się bardzo

nieprzyjemnie i wręcz groził Chrostowskiemu, że mu postawi zarzut. Na co Waldek zareagował słusznie i spontanicznie: "No to uprzejmie dziękuję, to spotykamy się w sądzie, proszę mi postawić zarzut i na tym kończę z panem rozmowę".

Anna Pietraszek: A jaki zarzut miałby postawić?

Adam Nowosad: Współudziału. Współudziału. Bo jeśli tak, to on twierdził, że Chrostowski jest odpowiedzialny przynajmniej za porwanie, że coś tam było nie tak. Tymczasem dla średnio myślącego młodego człowieka nie jest wielką sztuką ułożyć sobie taki scenariusz wydarzeń, z których wynika, że skoro wyeliminowano tych, którzy mieli jechać z księdzem Jerzym jako obstawa, to znaczy, że był potrzebny jeden człowiek. Czyli był potrzebny jeden świadek. Wybrano i wytypowano go na podstawie portretu psychologicznego, jestem tego zupełnie pewny. Wybrano i wytypowano taką osobę, która ma jechać. Waldek miał nie jechać początkowo. W skutek pewnych manipulacji, okazało się, że jednak jedzie. Ja bardzo chciałem jechać, bo jak wspomniałem, miałem brata w Bydgoszczy, którego chciałem odwiedzić, i z dużym rozżaleniem się dowiedziałem w wieczór przed wyjazdem, że nie jadę, zadzwonił do mnie Waldek z mieszkania księdza, słyszałem wyraźnie głos księdza, więc nie jest to żaden przypadek, powiedział jeszcze: "Niech się nie martwi, jeszcze kiedyś pojedziemy razem". To były ostatnie słowa, jakie ja usłyszałem, że kiedyś pojedziemy razem. Mam nadzieję, że w jakiejś tam podróży będzie mi towarzyszył. I gdzieś tu jest pies pogrzebany. Źle to jest powiedziane. Bo skoro tak, skoro komuś był potrzebny świadek, Chrostowskiemu podpiłowano kajdanki. Mieli go przykuć do jakiegoś drzewa w lesie, miał się uwolnić po jakimś odpowiednim czasie, dopiero wtedy wyliczyli sobie, że pewnie będzie kogoś zawiadamiał, że oni będą już w innym miejscu i tak dalej, był ewidentnie potrzebny taki świadek tego zdarzenia. On nie miał...

Anna Pietraszek: A skąd wiemy, że go chcieli przykuć?

Adam Nowosad: A po co mu podpiłowali kajdanki?

Anna Pietraszek: A były podpiłowane?

Adam Nowosad: Oczywiście. Były celowo podpiłowane.

Anna Pietraszek: I on to wiedział?

Adam Nowosad: Nie, a skąd, to wszystko wyszło później. Celowo zostawiono orzełek z czapki przecież na miejscu porwania. Mnóstwo różnych rzeczy się wydarzyło. Waldek zrobił jedną historię, nie wiem,

Duchem Świętym wiedziony, ksiądz Jerzy już mu pomagał? Pojęcia nie mamy. Że wyskoczył, ryzykując naprawdę życiem. Przy czym trzeba pamiętać, że to był komandos, on był do takich rzeczy przygotowany, był w wojsku komandosem, dobrze wysportowany, on to trenował. Dzisiaj się mówi, że wyskakiwał przy 100 kilometrach na godzinę, że to w ogóle nie było możliwe, przecież to jest prędkość, która każdego zabije. Po pierwsze nie wiemy, jaka była ta prędkość, ten fiat to był stary rzęch, w każdym razie w tym momencie kulejący, bo jakiś kawałek dalej zdechł im przecież zupełnie, oni gdzieś tam musieli się ratować jakimiś sposobami, ledwo dojechali, coś tam, pompując to paliwo czy coś. I co, i był potrzebny świadek, żeby skierować pewne światło w jakimś kierunku. MSW porwało i tak dalej. Dzisiaj wiemy, to przecież nie ukrywa się tego, że sami zainteresowani twierdzą, i rzeczywiście każdy logicznie myślący wie, że co jak co, ale Jaruzelskiemu i tej ekipie wtedy było to w ogóle niepotrzebne. Takie zdarzenie. Wprost przeciwnie, oczywiście, Jaruzelski, Kiszczak, cała ta ekipa była zainteresowana tym, żeby księdza wywieźć z Polski, żeby on sobie pojechał do Rzymu i jestem przekonany, że tak właśnie było. Że takie były ustalenia, że on w spokoju sobie wyjedzie. Ale jeśli się teraz dowiadujemy, że już bodajże na tydzień przed przyjazdem księdza do Bydgoszczy tam była zainstalowana ekipa śledcza pana Milewskiego, konkurenta Kiszczaka, to łatwo sobie wyobrazić, że przygotowywali coś o znacznie szerszym zasięgu niż tylko proste porwanie i zamordowanie księdza, którego zresztą sam sposób męczeństwa, to też warto tego dotknąć, nie wskazuje na to, bo z tego opisu nawet procesu toruńskiego wynikać by miało, że ksiądz był potraktowany brutalnie, ale nie mniej jednak jakimiś tam pałkami, jakimiś tam kijami, jakimiś tam więzami był bity gdzieś tam po głowie. Każdy, kto widział zdjęcie, to z prosektorium takie, księdza Jerzego, widzi, że jest to człowiek zmaltretowany totalnie, że tam nie ma kawałka normalnego ciała. Mało tego, wyrwano mu język. No więc gdzie, kto, kiedy, czym?

Anna Pietraszek: A wierzysz w istnienie czy konstruowanie już wcześniej, w 70. latach, w MSW, w esbecji, takiego specjalnego komenda do zabijania księży?

Adam Nowosad: Tak. Wiem o tym, przecież to jest opisane, rozpoznane. To zawdzięczamy między innymi Witkowskiemu. Tak, on tutaj wykonał znakomitą robotę, nie twierdzę, że nie. Ja nie twierdzę, że Witkowski jest takim człowiekiem, który jest tam w ogóle zaprzeczany jakiejś tam złej sprawie. Nie, on tylko został nakarmiony jakąś wiedzą, tą, którą można go było nakarmić. No pewnie, wiemy o tych komandach, istniały, dlaczegoż by nie? Jak wiesz, stary system komunistyczny wychodził z takiego założenia, że należy mordować wyznawców Chrystusa. Zabijać ludzi, którzy mają Chrystusa w sobie. Po to im byli potrzebni księża jako ofiary, bo z jakiegoś powodu wychodzili zapewne z założenia, że im mniej będzie takich księży jak ksiądz Jerzy, tym będzie lepiej dla nich, tym im się łatwiej dogada z Kościołem, bo

Kościół można było w różny sposób próbować ugłaskać, a to dając pozwolenia na budowę, a to umożliwiając wyjazdy na studia, na jakieś tam różne historie Kościołowi potrzebne, i być może tak widzieli swoją rolę wtedy, że jeśli sami wyeliminują jakąś ilość takich księży niepokornych, no to tym lepiej dla nich. Dzisiejszy komunizm już odstąpił od tego, już zajął się raczej w bardzo przemyślany sposób zabijaniem Chrystusa w sercu człowieka. Nie ma powodu, żeby likwidować ludzi, wystarczy, że ludzi się pozbawi wiary, pozbawi się Chrystusa, że zacznie się pokazywać im inne perspektywy, inne miraże, jakieś sposoby życia, bycia, jakaś konsumpcja, jakiś raj tu i teraz, jakiś relatywizm. No i cały szereg tych zjawisk, z którymi teraz mamy do czynienia, które powodują, że człowiek chętnie pozbywa się Chrystusa sam ze swojego serca, bo dochodzi do wniosku, że On tylko przeszkadza, że nie pozwala żyć tak, jak powinien żyć człowiek, czyli ciągle są jakieś ograniczenia, a to nie można robić aborcji, a to nie można używać pigułek wczesnoporonnych i tak dalej. I myślę, że ci dzisiaj... Bo dla mnie komunizm, oczywiście wbrew temu, co twierdzi, z przykrością to muszę powiedzieć, wynajęta aktorka, Joanna Szczepkowska, że komunizm się skończył, twierdzą, że jest nieprawdą. Każdy, kto to kojarzy dobrze, powinien się zreflektować teraz, kiedy Joanna wystąpiła bodajże w Muzeum Narodowym na takiej uroczystości, czy w sejmie, na jakiejś uroczystości poświęconej rocznicom ostatnim i tam w obecności Kwaśniewskiego powtórzyła, że komunizm się skończył, bo to my tutaj, Polska. Mówię, no to już teraz, jak ona stoi przy Kwaśniewskim, to już chyba powinno być dla wielu jasne, że jest to po prostu aktorka. I że dajemy się nabrać na wiele rzeczy. Również wtedy na to jest sławne hasło, że się skończył. Nie, nie skończył się, przeformułował się. Teraz ksiądz Małkowski podjął ten wątek i gdzieś go tam w telewizji, u Pospieszalskiego, zdaje się, tak uwypuklił, nagłośnił, że się komunizm, jak on to nazwał, przepoczwarzył. To jest prawda. Ale tego był świadom i o tym wiedział ksiądz Jerzy, i przed tym nas uprzedzał, przestrzegał, i dlatego organizował takie rzeczy jak właśnie ten Uniwersytet Latający, Robotniczy, nie pamiętam jego nazwy, ja tam oczywiście w tym brałem udział, ale nie pamiętam, nawet miałem jakiś indeks, gdzie mieliśmy się uczyć paru rzeczy takich jak właśnie katolicka nauka społeczna, jak antropologia chrześcijańska, jak logika. Przygotowywał nas, bo wiedział dokładnie, że to będzie tak, a nie inaczej, i dlatego chętnie wybierał się na te studia, żeby samemu się wzbogacić i umieć się tym zająć bardziej profesjonalnie. No dobrze moi drodzy, to może...

Anna Pietraszek: Ale jeszcze ostatnie.

Adam Nowosad: Jeszcze?

Anna Pietraszek: Mówiłeś o ojcu.

Adam Nowosad: No tak.

Anna Pietraszek: A skąd pochodził, kiedy się urodził?

Adam Nowosad: To wróćmy do tego wątku. Kiedy się urodził? No ale tego to ja... Mówiłem, że nie pamiętam dat, ale tata się urodził w maju 1919 roku w Kostopolu, na terenach dzisiejszej Ukrainy... wołyńskie, tak? W powiecie Rówieńskim. Równy. Niewiele więcej wiemy. Był bardzo tajemniczym człowiekiem, jak wspominałem, ukrywał się, nigdy się nie ujawnił. Był w jakichś formacjach wojskowych, najprawdopodobniej w Armii Krajowej, najprawdopodobniej w stopniu oficerskim. Nie wiemy tego. To, co mu się udało uratować z majątku, podobno zupełnie sporego. Dziadek mój miał być majorem Wojska Polskiego, gdzieś tam mieli jakiś swój majątek właśnie w tych okolicach, w okolicach Kostopola. Wiemy tylko tyle, że cała rodzina zginęła, część została wywieziona bezpowrotnie, bez śladu na Syberię, reszta wymordowana na tym terenie. Ojciec brał udział w akcjach odwetowych, miał już wtedy kilkanaście lat, bodaj dziewiętnaście, jeśli dobrze policzyć. Całą wojnę spędził gdzieś tam w partyzantce, w tych lasach, i w 1947 roku zgłosił się w jakimś punkcie repatriacyjnym na Śląsku bodajże, i tam się nam urywa jego ślad. Zgłosił, że jedzie na Ziemię Odzyskaną. Na tychże Ziemiach Odzyskanych, gdzieś w okolicach Złocieńca nawet nieroztropnie wystąpił o odszkodowanie, przyznano mu tam bodajże 100 hektarów ziemi z jakimś dworkiem. Nawet podobno miał iluś tam niewolników, Łotyszy do pracy. Takie to były czasy. Ale to była jego ostatnia nieroztropność, bo tam go właśnie dopadli i tam go zamknęli gdzieś w jakimś UB na jakiś czas. I miał takiego znajomego, hrabiego Łubieńskiego, który był trochę takim socjalizującym hrabią, miał dosyć dobre kontakty, i ten podobno miał pomóc mu wydostać się z tego UB, jednakże pod warunkiem, że ślad po nim zaginie. Czyli wydostał się, porzucił i tę ziemię, którą mu tam przyznano, porzucił cały ten dom, zupełnie podobno ładny, zostawił dokumenty wszystkie rodzinne gdzieś tam, zakopał na tym terenie, powiedział nam, że jak będziemy dorośli, to się dowiemy. Zmarł tragicznie, już nie zdążyliśmy, i całe życie ukrywał się...

Anna Pietraszek: Kiedy zmarł?

Adam Nowosad: Mój Boże, kiedy zmarł? Daty, daty. Dwadzieścia lat temu? Nie, co ja mówię. Więcej, trzydzieści kilka lat temu. Ja miałem wtedy lat osiemnaście, teraz mam pięćdziesiąt osiem, to pomnóżcie. Czterdzieści lat? Nie. No to czterdzieści. Uprzedzałem, że zupełnie nie radzę sobie z datami. Zmarł tragicznie, ale w takich sytuacjach dosyć dziwnych, kiedy już wyprowadzał się do kolejnej swojej leśniczówki, bo z reguły gdzieś po kilka lat, dwa, trzy lata, i zmieniał miejsce pobytu. Wyprowadził się do takiej leśniczówki, gdzie mama już powiedziała, że ma tego dość akurat, bo tamto to już było zupełnie

takie odludzie, gdzieś z dala od jakiejś najbliższej miejscowości. Swoją drogą ja tam byłem, odwiedziłem jeszcze tatę za życia. To był przepiękny, wielki poniemiecki dom, taki kilkunastopokojowy, murowany, solidny, z ogromnym zapleczem gospodarczym i można tam było rzeczywiście jakoś się urządzać, ale mama już miała dość takiego życia, tych przygód, już nie pojechała z tatą, została w tym swoim poprzednim miejscu, miała tam jakąś swoją pracę. I tam zginął z zaccadzenia. Piec. Napalił sobie w piecu i coś tam z wentylacją, coś tam, po prostu w ten sposób zginął. Życie miał fatalne, bo żyć z taką świadomością, że się wszystkich utraciło, a jeszcze brało się udział w tych akcjach odwetowych, podobno bardzo krwawych, bo to tam boje na tych terenach były takie... Niemniej jednak miał sentyment ciągle, na koniec swojego życia nas wywiózł do takiej wsi, gdzie mieszkali przesiedleńcy z Ukrainy. Tak jakby odnalazł swoich. W takiej miejscowości, się to nazywało pięknie, Międzybórz, ja mówię o tym Międzyborze. To była taka jedyna ciągłość dzieciństwa, gdzie ja byłem od pierwszej do ósmej klasy w jednym miejscu. Tam skończyłem szkołę podstawową. To było takie osiem lat wspólnego z ojcem, z rodziną, a później już to wszystko się pourywało. I wcześniej też oczywiście, to tak jak mówiłem, między Warszawą a jakimiś tam bardzo małutkimi miejscowościami, zwykle urokliwymi, ale bardzo małutkimi. Nikt o nich nie wie, że istnieją w ogóle. Tak że co do taty, z gruntu w takim razie antykomunista. Dla kogoś takiego jak ojciec komunizm był takim zjawiskiem bardzo negatywnym i myślę, że ja wyniosłem to z domu, ale, żeby nie było tak różowo, mój brat już przeciwnie. Mój brat dla odmiany, kiedy, też bardzo wcześnie, wyszedł z domu, trafił w jakieś takie środowiska robotnicze gdzieś w Bydgoszczy, poszedł do pracy zwyczajnie, do jakiegoś zakładu tam dużego, takiego czerwonego zagłębia, i tam się bardzo ładnie wkręcił w te historie socjalistyczne, i tak mu zostało. Wprawdzie dawno się od tego odciął, jednak już nastawienie jakieś takie pozostało. Socjalizm mógł nie być taki zły. Tak że nasze rozmowy wyglądają czasami bardzo ciekawie. Ale to tak bywa nawet między braćmi z takiego domu. Teraz tak, powróciłbym... Bo to chyba tyle z tych historii.

Anna Pietraszek: Mama?

Adam Nowosad: A mama też repatriantka, dla odmiany wracająca z niewoli niemieckiej do Warszawy.

Anna Pietraszek: Jak ma na imię?

Adam Nowosad: Edwarda, tak nietypowo. Tata miał Aleksander.

Anna Pietraszek: Trzeba dopisać.

Adam Nowosad: Mama, tak, Edwarda, bardzo oryginalne imię. Wracła sobie z niewoli niemieckiej, z której też wielokrotnie uciekała, i też zaliczyła całe mnóstwo różnych więzień, jak Pawiaki, jak jakieś Działdowo, Stutthof bodajże, w tej chwili też nie pamiętam, ale takich kilka miejsc zaliczyła. Zawsze tam ją zamykano, kiedy schwytano ją po kolejnej ucieczce. Też przeżyła swojego wiele. I gdzieś tam wracając z kolejnej niewoli, spotkali się właśnie na tych ziemiach obiecanych i tak już im zostało. Jest jeszcze taka ciekawostka, że mój brat na przykład ma w rubryce "ojciec nieznan". Bo nie odważył się ojciec zgłosić właśnie jako ojciec, więc został ochrzczony w takiej sytuacji. Ja już mam wpisanego ojca, ale zaraz po tym wiem, że się wyprowadził stamtąd, więc jakoś tak rzutem na taśmę zaryzykował. Mama, no cóż, jak każda mama, wspaniała. Wychowała nas najlepiej, jak umiała. Mam jeszcze przyrodnie rodzeństwo, właśnie z mamy wojennych i przedwojennych historii, takich tuż wojennych, mam dwie siostry. Z jedną z nich jeszcze mamy jakiś taki kontakt, druga już jest trochę tak w odległym wieku i z dala stąd. I co tam jeszcze? Wychowała, jak umiała, później już radziliśmy sobie sami od dosyć wczesnych, młodych lat. Ja wróciłem do... Zmarła babcia, został sam dziadek w Warszawie i ja przyjechałem tutaj jako taki nastoletni chłopak, do Warszawy, i w sumie tak się sobą zajmowaliśmy, dziadek mną, a ja dziadkiem.

Anna Pietraszek: A mama z zawodu?

Adam Nowosad: Mama? Była sobie sprzedawczynią w jakimś sklepie okolicznym. Tyle tylko. Co do zawodów... Miała tam jakąś szkołę handlową, ukończyła w Warszawie przed wojną, na ulicy Chłodnej bodajże, jakąś szkołę handlową i tak się tym zajmowała później, ale wtedy poszła do pracy, kiedy już tata zmienił po raz kolejny leśniczówkę na następną, i nie chciała już się tam wyprowadzić. To wtedy zaczęła jakąś tam pracę i w ten sposób nam tam jakoś pomagała. Ja już wtedy mieszkalem sobie w Warszawie, u dziadka właśnie, byłem dosyć samodzielnym człowiekiem, niemniej jednak też mam ciekawą historię swojego wykształcenia dla odmiany, to jest taka ciekawostka, którą się niekiedy chwale, budzi to zdumienie ponieważ ja ukończyłem, moja droga, osiemnaście klas szkoły powszechnej. Fajne, prawda? Dosyć zadziwiające. Otóż ja po ukończeniu podstawówki niestety byłem pierwszym rocznikiem, który się załapał na ośmioletnią, później kończyłem sobie różne szkoły zawodowe. Oczywiście na początek poszedłem w ślady taty, a więc zostałem leśnikiem. Ukończyłem szkołę zawodową leśną, przerwałem naukę w technikum, już nie chciałem iść dalej, więc zostałem na poziomie zawodowym, później przyjechałem do Warszawy, tu ukończyłem szkołę zawodową budowlaną, na takiej ciekawej specjalizacji, technologia uzdatniania wody, później jeszcze pełne technikum budowlane i tak mi się nazbierało niemal osiemnaście lat, jakby tam dobrze policzyć. I z całym rozmysłem nie rozpoczynałem żadnych studiów, dlatego że nie widziałem wtedy możliwości tego typu angażowania się w komunizm. Ja byłem wtedy już

na etapie, że trzeba radzić sobie w inny sposób i warto pomyśleć o tym, żeby zacząć zarabiać. To wszystko oczywiście były dzienne szkoły, jak najbardziej, jak tam jest taki... zawsze z dobrym jakimś wynikiem, a, średnim, ale zawsze radząc sobie. Nie rozpoczynałem żadnych już studiów, uznałem, że osiemnaście lat to wystarczy. A więc mam bardzo wiele zawodów, czyli potrafię mnóstwo rzeczy robić. Oprócz tego, że jestem leśnikiem i ogrodnikiem na dokładkę, o takiej specjalizacji leśnik-ogrodnik, to jedną z rzeczy, które zacząłem robić na początku, to było ogrodnictwo, czyli rozwijałem sobie badiarstwo pod Warszawą. Wtedy już ożeniłem się z taką dziewczyną, która miała trochę ziemi pod miastem, i tam sobie otworzyliśmy ogrodnictwo. I to zaczęło się tam jakoś kręcić, to były jeszcze dobre czasy, faktem jest, że już schyłkowe, bo już kiedy komunizm się przewracał, to już te realia robienia jakiegoś tam biznesu były troszkę inne niż wcześniej. Niemniej jednak widziałem swoją przyszłość w tym kierunku i gdyby nie fakt, że spotkałem kogoś takiego jak ksiądz Jerzy, pewnie tak by wyglądało moje życie. I tu zaraz będę wracał właśnie do tego, jaki wywarł wpływ na mnie. Bo taki widziałem sens wtedy działania, że od komunizmu należy się zdystansować, należy robić swoje, czyli robić to, czego oni nie lubią, czyli zarabiać pieniądze i być niezależnym i samodzielnym. Pozwoliło mi to o tyle uniknąć różnych dziwnych przygód, że nie należałem do żadnych organizacji, do żadnych związków, partii, gdzieś tam, nie miałem styczności z robotnikami, przeciwnie, sam byłem pracodawcą, zatrudniałem kilkanaście osób, więc byłem w troszkę innym miejscu niż wielu z nas w tamtym czasie i uczyłem się trochę innych rzeczy. Oczywiście trzeba sobie uświadomić, i dziś to dokładnie wiem, że każdy rodzaj działalności gospodarczej w tamtych czasach, później i dzisiaj, jest ustawiony trochę i zorganizowany na takich zasadach bandyckich, czyli dobrze będą sobie tylko radzili ci, którzy nie mają skrupułów, którzy potrafią oszukać, zakręcić, zachachmęcić, bo to była rzeczywiście taka metoda funkcjonowania. Wiem to bardzo dobrze, bo później, kiedy upadło ogrodnictwo siłą rzeczy, kiedy już się zmieniły realia gospodarcze, ja się z tego wycofałem, zlikwidowałem i otworzyłem kolejną działalność, bardzo różną zresztą, ale na pewnym etapie były to sklepy z materiałami budowlanymi i hurtownie. Miałem kilka hurtowni, kilka sklepów, siedem, dziesięć... Też zatrudniałem tam mnóstwo osób i tak naprawdę to wiem, że gdybym pozostawał dalej w tym miejscu, to te zawały przyszłyby dużo wcześniej. Była to do tego stopnia wyczerpująca praca i gonitwa, to był właśnie ten okres, kiedy już żyłem z godziny na godzinę, od rana wieczora, kiedy człowiek ganiał, nie wiedział, co się za nim dzieje, co jest przed nim, czyli jednym słowem szaleństwo, w które dałem się wpędzić z jakiegoś powodu. To ksiądz Jerzy właśnie o tym mówił: "Nie dajcie się wpędzić, nie bądźcie niewolnikami nawet tego, co wam się wydaje, że ma sens". Czyli zarabianie pieniędzy wydawało się czymś takim oczywistym, bo trzeba, są potrzeby, trzeba dzieci kształcić, dom, to, tamto. No więc nie. Kiedy sobie uświadomiłem, że jest to taki system, w którym jeśli zdecyduję się pozostać, to będę musiał

przyjąć za coś normalnego, że trzeba oszukać, że trzeba podmienić faktury, że trzeba dopisać sytuację, dopisać rzeczywistość do tej, jaka była, że trzeba opłacić kontrolerów, że trzeba się z kimś podzielić, że trzeba dawać łapówki, bo jak się wejdzie tu, jak się wejdzie tam, na jakieś tam realizacje jakichś budow czy z jakimś zaopatrzeniem... Krótko mówiąc, przyszedł taki moment, kiedy sobie powiedziałem, że dość tego, wystarczy, i za ogromne pieniądze, w sumie za sporą część tego, co zrobiłem, zlikwidowałem wszelką tego typu działalność. No i wtedy jak gdyby mój kolega został wojewodą, taki kolega, znajomy, pojechałem sobie... Zatrudniłem się w urzędzie wojewódzkim, o. Po to, żeby zająć się agenturą w worku pod Pruszkowem. Szczerze mówiąc, myślałem, że wystarczy mi no to kilka miesięcy. Potrzeba było czterech lat. I już wtedy, kiedy tam wszedłem, musiałem zostać. Tak na marginesie, Aniu, prosiłem właśnie, gdybyś mogła kiedyś odnaleźć artykuł "Rzeczypospolitej", to tam jest to opisane bardzo dokładnie, co się tam działo. Ja bym chętnie do tego wrócił, tak dla siebie, dla swoich dzieciaków, żeby to miały na pamiątkę. No i tak to się działo. Natomiast chętnie wrócę do tego wątku: ksiądz Jerzy i moje życie. Dobrze? Bo tam już wyczerpaliśmy z grubsza?

Anna Pietraszek: Mhm.

Adam Nowosad: No to już wiadomo. Dzieci mam dwójkę, niestety jedno i drugie na emigracji.

Anna Pietraszek: A gdzie?

Adam Nowosad: A, jedno w Irlandii, a to drugie to jeszcze tak nie zdecydowało się, tymczasem na Kanarach, na Wyspach Kanaryjskich. Podobno stamtąd chce do Australii, ale mam nadzieję, że mu panna jego przeszkodzi, bo ona tu czeka na niego, więc mam nadzieję, że wróci. To jest ta od króliczka. Dzieci na emigracji również dlatego, że ojciec, który w pewnym momencie musiał rozłożyć ręce i powiedzieć: "No, sorry, ja już nie będę zarabiał pieniędzy, bo w tych realiach, w tym systemie nie chcę zarabiał pieniędzy. Po prostu do tego się nie nadaję". Bo dla mnie taka sytuacja, w której ja wiem, że żeby mieć, to trzeba zakręcić, jest nie do przyjęcia. A zrozumiałem to właśnie dzięki księdzu i to jest ten jeden z jego uzysków. Prawdopodobnie jeszcze do tej pory żyję dlatego, że to zrozumiałem w porę. Za późno już, ale w porę, już z jakimiś tam zniszczeniami na własnym sercu, ale trudno. Właśnie, kiedy znalazłem się u księdza Jerzego, to tak jak mówiłem, ten człowiek taki trochę z boku Kościoła, który raczej widział sensację w tym, co się dzieje, a niezupełnie kojarzyło mi się to z Kościołem, z wiarą, z Bogiem, zacząłem dopiero w trakcie tych kontaktów rozumieć parę rzeczy i parę kwestii. Już o tym wspominałem wcześniej, ksiądz Jerzy był szczególnie wyczulony na takich ludzi i dokładnie wiedział, na czym to polega, i nie nawracał takich jak ja. Wprost przeciwnie, niewiele było takich rozmów, które wychodziły od niego, że „słuchaj, człowieku, coś

źle robisz, powinienes tak, powinienes inaczej”, nie. To ja, który byłem właśnie dociekliwy, zadawałem mu całe mnóstwo pytań, aż któregoś razu zmęczyłem go na tyle, że dał mi egzemplarz "Nowego Testamentu" do ręki i mówi, „tam znajdziesz wszystko, jeśli ci będzie potrzebna, to tam szukaj”. No i ja w ślad za tym zacząłem oczywiście studia, zacząłem to wertować, czytać i zadawać mu jeszcze więcej pytań w takim razie. Bo skoro tak, no to... A dlaczego tak, a dlaczego inaczej, a dlaczego w ten sposób, a nie inaczej. I wtedy nauczył mnie kolejnej przydatnej dla mnie bardzo rzeczy, mówi: "»Testamentu« czy »Biblii« w ogóle się nie czyta. Zarzuć. Ty się tym módl. Przyjmij to do siebie i zacznij się modlić na »Testamencie« i na »Biblii«, a nie analizować, dociekać, bo to nie jest kierunek, to cię niczego dobrego nie doprowadzi, z tego zawsze pojawiały się rozłamy w Kościele, ludzie się gubili, dlatego że próbowali przy pomocy własnego rozumu dochodzić jakiś prawd i poprzez takie studia osiągalni taki czy inny stopień rozjaśnienia”. Nie od razu, ale po jakimś czasie zrozumiałem to i rzeczywiście dotarło do mnie, że jeśli wszystko, co Bóg stworzył, jest dobre, to również Jego słowo musi być dobre i trzeba je przyjąć takim, jakim jest, trzeba je po prostu przytulić i pokochać. I to jest ta rzecz, o której dzisiaj mówię młodym ludziom i takim dyskutantom, na których natrafiam ciągle, że jednak tam było inaczej, z tego by wynikało, niż jest. Zawsze przypominam, że księdza Jerzego nauka była troszeczkę inna. I tak to po kolei, powolutku przez lata dojrzewałem jakoś w rozumieniu wiary, i powracałem sobie do Kościoła, do tego stopnia, że dziś... I jeszcze nie jestem tam, gdzie powinienem być, bo dobry katolik powinien codziennie być na Eucharystii, jednak mnie się to nie udaje. Jednak ciągle jeszcze gdzieś tam tłumaczę się, że brak mi sił. Ale wtedy, kiedy najsilniej przemówił do mnie ksiądz Jerzy, to był ten moment, kiedy znalazłem się po zawale na sali operacyjnej, kiedy robiono mi taki zabieg polegający na udrożnieniu żyły, ja byłem już wtedy w szóstej godzinie czy ósmej godzinie zawału i już niewiele ponoć ten zabieg miał szansę poprawić, niemniej jednak lekarze się zdecydowali, że to mi może tego serca trochę oszczędzić, i dostałem się do szpitala na MSW, takiego ciekawego właśnie, bo tam mnie wysłano dlatego, że akurat było miejsce. Później, jak się okazało, nie był to przypadek, był w tym udział księdza Jerzego. Na tym stole doszło do komplikacji, wjechali mi tam do serca tymi urządzeniami i założyli jakąś sprężynkę, i rzecz się zaczęła komplikować, pojawił się drugi zawał. I to pojawił się w takim miejscu, że na dobrą sprawę ja jeszcze przytomny widziałem, że lekarze są spanikowani i nie wiedzą, co dalej zrobić, bo rzecz wyglądała kiepsko. Pielęgniarka gdzieś stojąca obok trzymała mnie mocno za rękę. Ja się pytałem, czy ja już umieram. Ona mnie tak ścisnęła za rękę, i wtedy głośno zawołałem: "Księżu Jerzy, pomóż". Tak dosłownie. No i w tym momencie lekarz operujący nagle powiedział, jest ryzyko, ale spróbujemy. Okazało się, że był to jedyny taki specjalista w Warszawie w tym czasie. Wrócił ze szkolenia w Stanach Zjednoczonych i uczył się na takich przypadkach tam. Nikt inny nie byłby w stanie tego zrobić. Po prostu ten drugi zawał miał mnie

obowiązek zabić na tym stole operacyjnym. Nie było od tego szans. Nie było dojścia do tej żyły, która wysiadła, nie było jak się do tego dobrać. I tenże lekarz, później mi to opowiedziano, ryzykując, wiedział, że niewiele jest do stracenia, że ja już jestem na takich ostatnich rzęsach, podjął się tego i z bardzo dobrym skutkiem. Dostał się w pobliże tej drugiej żyły, jakoś to poszerzył, zbalonikował, zawał ustąpił, mnie zawieziono na salę tę taką pooperacyjną i tam do siebie dochodziłem. Ja to już opisałem, ale poza tym jednym fragmentem, umknął mi uwagi, mogę to teraz króciuteńko już zupełnie opowiedzieć. Cały czas czułem uścisk ręki tej pielęgniarki. Spojrzeliśmy sobie w oczy, uśmiechnęliśmy się, kiedy już to wszystko się zakończyło. Widziałem, że ona to też przeżywa bardzo. Wróciłem na tę salę i ciągle czuję ten uścisk dłoni. Mówię, skąd ja to znam? I nagle sobie przypomniałem przecież, że identycznie ujmował mnie kiedyś za dłoń ksiądz Jerzy. Kiedy? Kiedy mnie spowiadał. To była taka właśnie długa spowiedź z tych moich wszystkich wyczynów przed tym, zanim do niego trafiłem. Bardzo solidna, bardzo porządna, chyba taka w życiu mi się przytrafiła, kiedy on na koniec przytulał człowieka. Nie wiem, ilu jest takich ludzi, myślę, że nie jestem jedynym. Przytulał ich do serca i kiedy udzielał rozgrzeszenia, trzymał cię za rękę, mocno ściskając, taki charakterystyczny, ciepły uścisk dłoni. Mocno, naprawdę mocno mnie ścisnął, czułem to i zapamiętałem. I właśnie wtedy odnalazłem go w tym szpitalu, dosłownie ten uścisk dłoni i to utrzymujące się ciepło. Co było charakterystyczne? Wtedy przeprowadzał mnie właśnie ze śmierci do życia, wtedy, kiedy mnie spowiadał. Do tego prawdziwego życia. I w ten sam sposób pomógł mi wtedy w szpitalu. I od tego momentu zrozumiałem, że dla mnie pewien etap życia musiał się zakończyć i musi się zacząć inny, czyli zaczynamy żyć już tym, czego na serio uczył ksiądz Jerzy i za co złożył ofiarę, czyli trzeba zrobić wszystko, jeśli to życie zostało mi darowane, żeby zrozumieć, co to znaczy być wolnym człowiekiem. Mało tego, żeby innym o tym mówić, dlaczego warto być wolnym człowiekiem. Dlaczego należy zaprzestać tego, co się do tej pory robiło, czyli szarpania się z życiem, gonitwy za pieniędzmi, jakimś tam wyścigiem szczurów, za poprawą swojego statusu materialnego, swojej pozycji. Zrozumiałem, że to wszystko jest bez sensu i nie ma żadnego znaczenia, że jeśli mam jeszcze jakieś życie przed sobą, to z całą pewnością warto je poświęcić, przeznaczyć na to, żeby jeszcze paru osobom powiedzieć o tym, czego naprawdę uczył ksiądz Jerzy, jaka była jego ofiara i jakie jest jego przesłanie. I to jest właśnie coś, czym teraz się usiłuję zajmować, również występując na jakichś spotkaniach, czy to w radio, czy też niedawno byłem na takim spotkaniu w szkole, takiej prywatnej szkole Stowarzyszenia Żagiel, gdzie mogłem opowiadać o księdzu Jerzym młodym ludziom, jak się okazało, bardzo młodym, ale też i ich rodzicom, i tam się zgodziłem jeszcze podjechać raz do takiej młodzieży licealnej, żeby z nimi porozmawiać o tym, żeby oni też zaczęli rozumieć, że zupełnie nieistotne są te wątki, albo mało istotne są te wątki kryminalne, natomiast warto jest zajmować się tym, co ksiądz Jerzy pozostawił po sobie jako

przestanie dla nas i dla tej młodzieży. Czuję, że się sprzęt grzeje. Sprzęt się wam zagrzewa? Jeśli jest jeszcze, to wiesz...

Anna Pietraszek: To opowiedz o tym.

Adam Nowosad: I to tak w skrócie. Ale to jest skomplikowana sprawa. Bo nie da się opowiedzieć... Ja napisałem parę rzeczy...

Anna Pietraszek: Powiedz tak, jakbyś się spieszył, a miał jedyną okazję nas nawrócić.

Adam Nowosad: Nie, to się nie da. Bo jak wiesz, ksiądz Jerzy też mówi, że nikogo nie można nawrócić i nikogo nie nawracał. Natomiast jak wiemy z jego zapisków, dziękował Bogu, że posługuje się takim narzędziem, jak on to powiedział, marnym czy niegodnym narzędziem jak ja, żeby kogoś nawrócić. I tak właśnie było. Wielu nawracał. Od czego warto zacząć? Na pewno od zrozumienia istoty miłości, bo to jest jakby pierwsza sprawa. Trzeba sobie umieć uświadomić, czym w istocie jest miłość i dlaczego jest tak ważna w życiu człowieka, bo jeśli w efekcie tej opowieści dojdziemy do takiej konkluzji, że Bóg jest miłością, no to żeby dojść do tego Boga, trzeba wykonać jakąś pracę tu, na ziemi. Tak naprawdę pielgrzymujemy po to, żeby spotkać się z miłością. Ale żeby na to spotkanie pójść przygotowanym, musimy, żyjąc tutaj, doświadczając tego wszystkiego, czego doświadczamy pośród ludzi, musimy próbować tę miłość poznać. Czyli jakby jej dotknąć. I wiesz, najlepszym sposobem oczywiście na poznanie miłości jest kontakt z samym Bogiem, z Chrystusem eucharystycznym, ale też z Jego nauczaniem, z Jego słowem, które przecież ksiądz Jerzy często przywoływał i nim się posługiwał tak naprawdę. Właśnie w tym celu, żebyśmy mieli szansę poznać, co to znaczy miłość. Myśmy wtedy naturalnie tego nie rozumieli, bardziej ustawialiśmy to w kontekście wydarzeń bieżących, politycznych, jakichś tam patriotycznych, a zdecydowanie mniej poświęcaliśmy swojej uwagi temu, żeby rozpoznać zjawisko takim, jakim ono jest, jakim je widział ksiądz Jerzy. Kolejną taką rzeczą... Zło dobrem zwyciężaj. Przecież też trzeba sobie umieć odpowiedzieć tak naprawdę, o co tu chodzi, jakie to ma być zwycięstwo. Zło dobrem zwyciężać to znaczy co? Nadstawić drugi policzek może, a może, nie wiem, zejść komuś z drogi, gdzieś się usunąć, a może zrobić jakiś dobry uczynek, to wtedy to będzie jakiś wkład w zwyciężanie zła. No pewnie w jakimś stopniu tak, pewnie to nadstawienie drugiego policzka też, chociaż twierdzę, że to jest akurat odpowiedź na inną okoliczność, pewnie ten dobry uczynek też nie zaszkodzi. Ale znowu wracam do takiego prostego porównania, że zło dobrem zwyciężyć można jedynie wtedy, kiedy się zło rozpozna, kiedy się będzie wiedziało, czym ono w swojej istocie jest. Jeśli uda nam się rozpoznać je prawidłowo i skojarzyć, że jest to nie inaczej, jak tylko szatan, to wtedy łatwiej nam będzie spozycjonować obecność szatana w naszym

otoczeniu, jego wpływ na nasze życie i kiedy się zorientujemy, co takiego on robi z nami, z ludźmi, z którymi mamy do czynienia, i kiedy zaczniemy poprzez przyłgnięcie do "Pisma Świętego" rozumieć, że tak naprawdę jedynym sposobem na szatana jest zwrócenie się do Pana Boga, do Chrystusa, do Maryi, która jako jedyny człowiek ma tę właściwość, że potrafiła zmiążdżyć głowę węża, to wtedy będziemy wiedzieli, że w ten sposób można zło zwyciężać dobrem. Ale to jest właśnie takie działanie, znowu, poprzez własną formację i pomaganie innym, żeby ich umieć ukierunkować na tego typu formację, żeby wiedzieli, że nie należy tracić czasu na jakieś właśnie historie z tego świata i nie należy samodzielnie przeciwstawiać się działaniu szatana, tylko za każdym razem zwrócić się do Pana Boga i przyłgnąć do krzyża.

N0248_kr_FINAL_7_8

Adam Nowosad: Czasami znajduję takich właśnie jakichś sporo ciekawostek. Ta się ukazała po pogrzebie, jest to jakieś wydanie podziemne, chociaż pewnie już chyba nie, ale ze wstępem Klemensa Szaniawskiego. "Copyright by Adsum", jakieś wydawnictwo Adsum. Znajduję tu rzeczy niepublikowane, takie na przykład wystąpienie pana związkowca Jaworskiego, którego nie wygłosił. To też jest ciekawostka. Takie wystąpienie Lecha Wałęsy...

Anna Pietraszek: Jak to bywało, że nie wygłosił?

Adam Nowosad: Nie wygłosił właśnie. Nie wszyscy by mogli wygłosić, prawdopodobnie Jaworski chyba nie dał rady. Pewnie z powodu szczupłości czasu, jaki był na pogrzebie. W każdym razie taka ciekawostka, którą warto sobie kiedyś w spokoju przejrzeć. Zapewne w jakiejś ilości niewielkiej wydana, przez Adsum. Mamy nawet cenę, 150 złotych. Proszę, proszę. Takie historyjki. Mam tych dokumencików trochę więcej, tylko rzeczywiście tak się dzieje, że jak zacząłem sobie montować łazienkę, to wszystko uległo już degrengoladzie, przemieszczeniu, przemieszaniu i nie mogłem znaleźć paru rzeczy, istotnych, które były mi gdzieś potrzebne.

Anna Pietraszek: A co jest tam?

Adam Nowosad: Niemniej parę znalazłem. Gdzie tam?

Anna Pietraszek: A tu.

Adam Nowosad: A tu no to mamy takie różne historie, których dotyczył ksiądz Jerzy. Ofiarował mi taki różaniec przepiękny, na tamte czasy rewelacyjny, prosto z Chin. Świecący w nocy.

Anna Pietraszek: Piękny.

Adam Nowosad: No. Dostaliśmy po takim różańczyku.

Anna Pietraszek: Nosisz go?

Adam Nowosad: Nie, raczej już robi jako zabytek. Nasz jest na sznureczku. I te sznureczki od używania troszeczkę się sfatygowały. Więc jest to już taka rzecz zabytkowa. Dla mnie niezwykła historia, relikwia, też jeszcze ze śladami dłoni księdza Jerzego. Tak to wyglądało. "Nowy Testament".

Anna Pietraszek: Powiedz, kiedy dostałeś? Kiedy to było?

Adam Nowosad: - A to było po spotkaniu z księdzem Romaniukiem, kiedy to został ksiądz Jerzy wezwany do księdza Romaniuka na bardzo poważną, ostrą rozmowę. I z tej rozmowy przyjechał rozpromieniony, ucieszony, obładowany właśnie takimi egzemplarzami "Nowego Testamentu". Bo poprosił księdza o to, żeby ofiarował przyjaciółom, księdza Jerzego. Przywiózł i wtedy nam rozdał z takim poleceniem, żebyśmy się modlili z tym "Testamentem" w dłoni. Trochę się sfatygował. Był taki czas, kiedy rzeczywiście był przeze mnie intensywnie używany. Mam do tego duży sentyment, bo wiąże się z tym jeszcze taka opowieść, kiedy jako człowiek dociekliwy zadawałem księdzu mnóstwo pytań. Tam mi mówi: „Tak mnie męczysz. Zajrzyj sobie zawsze do »Nowego Testamentu«. Jeśli Bóg ma ci coś do powiedzenia, to tam to znajdziesz". I mi powiedział, „otwieraj nawet przypadkowo”, czyli nie szukając specjalnie. I rzeczywiście, wielokrotnie mi się sprawdziło. Kiedy byłem w jakimś takim miejscu wymagającym wyjaśnienia, szukałem pomocy i znajdowałem.

Anna Pietraszek: Czy są jakieś notatki księdza?

Adam Nowosad: Tutaj? Nie, nie, nie.

Anna Pietraszek: Jakies karteczki, jakieś zapiski masz?

Adam Nowosad: To moje. To sobie tam zaznaczałem kiedyś jeszcze.

Anna Pietraszek: A otwórz na dzisiaj.

Adam Nowosad: Ale na dzisiaj? Na dziś to mamy w ogóle bardzo dobrą Ewangelię, chcę powiedzieć, liturgię dnia, bo mamy dużo o miłości. Jeszcze tylko... Tak sobie otworzyłem liturgię i mamy czytanie z księgi "Pieśni nad pieśniami", „jak potężna jest miłość”. I drugie: "Miłość Chrystusa przynagla nas". To takie ciekawe, bo też zawsze szukam do liturgii dnia jakichś zadań na dzień no i ta "miłość Chrystusa, która nas przynagla" jest taka dla mnie wymowna bardzo. To tak à propos liturgii. Co dzisiaj możemy

sobie znaleźć? No spróbujmy. Coś zupełnie... Gdzieś tu jestem. No to proszę. "Wezwanie do praktyki miłości". Niesamowite. Prawdziwy szczep winny. "Zapowiedź zesłania Ducha Świętego". No przeczytajmy "Wezwanie do praktyki miłości". "Jeśli zaś wy mnie miłujecie, to będziecie też zachowywać wszystkie przykazania moje. Ja będę prosił Ojca, a On ześle wam innego pocieszyciela, żeby był z wami na zawsze. To jest Duch Prawdy, którego świat nie może przyjąć, ponieważ nie może Go ani zobaczyć, ani poznać. Ale wy znacie Go, gdyż On pozostaje z wami i będzie w was. Nie zostawię was sierotami. Wrócę do was już niedługo, a świat nie będzie mnie oglądał, lecz wy mnie widzieć będziecie, ponieważ ja żyję i wy żyć będziecie. Kiedy przyjdzie ten dzień, zrozumiecie, że ja jestem w moim Ojcu, a wy we mnie, a ja w was". No trudno o lepsze przywitanie z księdzem Jerzym. Jestem z wami. Tak że...

Anna Pietraszek: Czyli ta praca mu się podoba.

Adam Nowosad: Chyba tak, skoro nas tak przywitał. Z pamiątek, tak, rzeczywiście bardzo cennych, bardzo dla mnie ważnej książki, "Wezwano mnie z dalekiego kraju", właśnie z dedykacją jedyną, jaką otrzymałem.

Anna Pietraszek: A przeczytaj.

Adam Nowosad: "Z najlepszymi życzeniami imieninowymi, świątecznymi i noworocznymi". Ksiądz Jerzy Popiełuszko, 24 grudnia 1983 roku. To moje imieniny. I tu jest... No, to jest rzeczywiście taka rzecz cenna. Mam też jedno jedyne zdjęcie księdza Jerzego, z autografem. Takie dość typowe, w zamyśleniu, które jest też niezwykle cenne. No i jedna jedyna rzecz, jaką zachowałem sobie z tego zbioru, o którym za chwilę opowiem, karteczka, takie rozesłanie z uprzejmą prośbą o przekazanie koleżankom oraz z serdecznymi pozdrowieniami i modlitwą, ksiądz Jerzy Popiełuszko. To była taka jedna jedyna rzecz, która znajdowała się w tej oto skrzyneczce, w tym pudełku, którą pozostawiłem z tego zbioru. Sobie na pamiątkę. Jedyną rzecz. Z uprzejmą prośbą o przekazanie.

Anna Pietraszek: Koleżankom.

Adam Nowosad: Ale potraktowałem to jako takie polecenie dla mnie. Z uprzejmą prośbą o przekazanie. A więc cała reszta została przekazana, ta jedna rzecz została u mnie, pewnie ją niedługo oprawię. Pewnie gdzieś za jakimś szkłem, żeby to sobie jeszcze troszkę pożyło.

Anna Pietraszek: Podobno najlepiej zafoliować i dopiero wtedy oprawić.

Adam Nowosad: To już jest taka, powiedzmy, nieodwracalna chyba interwencja. Trochę mi szkoda, ale być może jakaś jest teraz... Teraz są te foliarki takie nieniszczące, być może tak trzeba będzie to... Widać, że pisane naprędce, bo jeszcze się rozmazał atrament. Ksiądz Jerzy komuś to przekazywał. Zwykle, kiedy wysyłał nas gdzieś do kogoś, to właśnie pisał tego typu karteczkę. Więc ja takich karteczek w życiu miałem kilka, gdzieś w różne miejsca się udając, tylko na ogół albo je zostawiałem, albo się wyrzucało. Któż miał wtedy świadomość...

Anna Pietraszek: Że jest koło świętego.

Adam Nowosad: ...że będzie to wartość relikwii.

Anna Pietraszek: No tak trzeba podobno myśleć o każdym.

Adam Nowosad: Tak, to prawda, tylko że nie zdajemy sobie z tego sprawy i na ogół tak funkcjonujemy, że, no cóż, życie codzienne ma swoje jakieś prawa. To jest dla mnie o tyle ważne, że to jest jedyny ślad, jaki pozostał mi po przekazaniu tego zbioru. Tak jak wspomniałem, byłem na tyle nierozważny, że przekazałem nawet te kserokopie, które porobiłem, razem spakowałem, w tej skrzyni pojechały do księdza Kalwarczyka, zawiozłem, po czym otrzymałem taki dokument, którego właśnie nie udało mi się znaleźć, ale go dostarczę, do sfotografowania, taki dokument, w którym podziękowano mi za przekazanie zbiorów, co do których zawartości ani ilości pojęcia nie mam. Czyli nie wiedziałem, co tam mam. Niejako były to rękopisy księdza Jerzego, jakieś dokumenty, o których wartości ani znaczeniu nie miałem pojęcia. Trochę mnie zdumiało, bo przy tym stole, to wszystko jest tak jak wtedy, zebrała się komisja kościelna, którą poprosiłem, między innymi siostra Jana Płaska, już nieżyjąca, ale też pani notariusz procesu beatyfikacyjnego, pani Soborak, i to było nas tutaj sześć-siedem osób, wspólnie dokonaliśmy przeglądu, oceny. I z opinii siostry Jany wynikało, że są to niezwykle cenne rzeczy, niezwykle potrzebne i przydatne. I jak już mówiłem, siostra Jana powiedziała: "No to, kochany, schowaj je jeszcze bardziej". Żeby one naprawdę się nie dostały w niczyje ręce. Taka ciekawostka. Ksiądz Jerzy przyklejał sobie kiedyś wąsy i brodę. Jest to mastyks, taki sławny kamuflaż, kiedy gdzieś wyjeżdżał i trzeba było, żeby był nierozpoznany. Mastyks w tamtym czasie był trudno dostępną rzeczą, ktoś mu to przywiózł, a ja poprosiłem, czy mi to może ofiarować, kiedy już nie musiał używać wąsów i brody, i w ten sposób dostałem ten mastyks, był mi wtedy potrzebny do różnych prac konserwatorskich, jakimi się zajmowałem, ale ma to dla mnie też takie znaczenie, że są tu ślady linii papilarnych i dłoni księdza Jerzego.

Anna Pietraszek: A kiedy przyklejał te wąsy i brodę? Pamiętasz coś takiego?

Adam Nowosad: Tak, oczywiście. Wtedy, kiedy trzeba było, żeby się wydostał w sposób niezauważony na spotkanie. Już nie pamiętam, jakieś ważne spotkanie w każdym razie, kiedy się tak wystroił, to demonstracyjnie wyszedł głównym wyjściem, przeszedł koło tych wszystkich pilnujących, samochodów, nikt się nie zorientował, wszedł w samochód, jakiś też zupełnie inny, i wyjechał. Natomiast ci wszyscy, którzy spodziewali się, że w jakiś sposób się wydostanie, pilnowali go z drugiej strony kościoła, licząc na to, że tamtędy będzie wychodził. Bardzo nam się to wtedy wszystkim podobało, księdzu Jerzemu też, był ucieszony jak dziecko, wyglądał nie do poznania, bo to była świńska bródka, także został mi taki mastyks jako pamiątka. No i ten sławny węgiel, kamień węgielny, odrzucony. Dlaczego odrzucony? Otóż miał on być wmurowany... Nawet boję się go dotykać, dlatego że jest już w bardzo słabej kondycji, jest przechowywany normalnie w jakimś pudełku w folii, na dziś go wyjąłem, żeby obejrzeć. On stał na regale u księdza Jerzego przez długi czas. Przywieźli go górnicy z kopalni "Wujek", zapewniając, że jest to autentyczny węgiel zroszony krwią tych górników, którzy wtedy brali udział w tych walkach, bo to byli właśnie ci ludzie. Ksiądz natychmiast postanowił, że będzie to wmurowane w ścianę w kościele, w bocznej nawie, u Stanisława Kostki. Niestety górnicy popełnili pewien błąd. Napisali "Wujek" przez "ó" kreskowane. I wróciło to do mnie z prośbą, żebym to jakoś zlikwidował. To się udało, wydrapałem, niemniej jednak od razu, kiedy już to wziąłem w ręce, doszedłem do wniosku, że to bardzo słaba rzecz i że ona nie wytrzyma próby czasu, czyli jeśli będzie wmurowana, wcześniej czy później się rozsypie. Przekonałem księdza, że nie nadaje się, to ksiądz poprosił, przywieziono inną rzecz, już taką rzeźbę, ktoś się tam postarał, coś wyrzeźbił, jakąś figurkę, nie pamiętam, patronki górników czy coś takiego. To jest w każdym razie w kościele wmurowane gdzieś tam teraz po prawej stronie, patrząc od wejścia, a kamień wrócił do księdza na regał i wydał się księdzu tak cennym, że również przekazał mi go jako jedną z rzeczy do przechowania. Traktował to jak relikwię i mówił też, żeby to zostało, bo bał się, że w trakcie aresztowania może zniknąć. Tam, gdzie stoi kamera, pan Leszek, jeśli nie usiądzie... to są jeszcze inne pamiątki, ale to możemy pokazać przy następnym podejściu, przy zmianie kamery. A, to spadło sobie już. Dobrze, dobrze, to później. To jest taki talerz... to może nie, to niech wróci, przekazany księdzu przez więźniów z Zabrza, z Zaborza. 1981-1982, Solidarność, "Boże, zbaw Polskę". Mamy tutaj też kopię sztandaru. "Solidarność Fabryki Samochodów Osobowych". Ma taką szczególną cechę, że został już nadgryziony przez myszki. Ponieważ był również przechowywany jako rzecz cenna. Poszukiwano tych sztandarów, kopie zrobiono dlatego, żeby nie zostały one zabrane przez SB. No ale kopie też się okazały cenne, poszukiwano tego jako dowodu, że jest to działalność w Kościele niedopuszczalna, czyli jakaś taka polityczna, ponieważ te sztandary były na którejś z mszy wyłożone na stopniach ołtarza, tam na przód, w prezbiterium. No, przechowuję i mam nadzieję, że kiedyś się komuś przyda. Jest tam jeszcze krzesło

autentyczne, które właśnie jest w trakcie renowacji. Jedyne meble, jakie naprawdę posiadał ksiądz Jerzy. Później go sfilmujemy. On wygląda tak, jak wygląda, ponieważ został wyrzucony. Kiedy nasi przyjaciele hutnicy ulitowali się w końcu i postanowili księdzu sprawić prezent, to zakupili dla niego nowy komplet, jakąś kanapę, jakieś takie fotele, no, brzydkie, skajowe, to te rzeczy wyrzucono. I ja, jak widać, jestem trochę takim fanem, zbieraczem staroci, i bardzo prosiłem, żeby ksiądz to krzesło mi ofiarował, żeby je zostawił, że ja się nim zaopiekuję. Ono było rzeczywiście sfatygowane, nie tak jak teraz jest. Ktoś niestety w trakcie tej przeprowadzki potraktował je bardzo brutalnie, chyba wyrzucono je z okna wręcz. Upadło na ziemię, stąd złamało się to główne oparcie. I następnego dnia, czy może dwa dni później, znalazłem je już takie porozrywane, ktoś czegoś szukał jednak w tym krześle. Czyli tradycyjnie rozpruto całe te obicia. I on sobie tak u mnie od dwudziestu iluś lat stoi, dokładnie chyba nawet ośmiu, pięciu, sześciu, dwudziestu siedmiu gdzieś tak, sześciu. Dlaczego o tym mówię? Są to rzeczy, które ja przechowuję i zgłosiłem je do zagospodarowania w muzeum, może w Izbie Pamięci, ale okazało się, że nikt tego nie chciał.

Anna Pietraszek: Dlaczego?

Adam Nowosad: Nie umiem powiedzieć. Kiedy się reaktywowało muzeum, kiedy zostało przebudowane i jest w tej postaci, w jakiej jest teraz, zgłosiłem to do Małgosi Grabowskiej, która to muzeum aranżowała, ona opowiedziała o tym, że są takie rzeczy, księdzu Malackiemu, ale ksiądz nie wyraził tym zainteresowania. Nie umiem powiedzieć. Mam nadzieję, że kiedyś się przyda Izbie Pamięci, bo takie krzesło tam pasuje jak mało jaki mebel, bo rzeczywiście było to jedyne autentycznie krzesło, jakie posiadał ksiądz Jerzy. Przywiózł je ze sobą z poprzedniej parafii. Jest w takim stanie, w jakim go używał, czyli jest jedna noga inna, druga inna, jest tam łatanie, pozbijane. Niemniej jednak była to jego własność i używał tego krzesła, kiedy pracował. Ja dziś tego używam jako modlitewnika, klęcznika takiego, kiedy sobie paciorek odmawiam... przy tym krześle. Niewątpliwie też przez księdza Jerzego wielokrotnie dotykany. Jeszcze chwilę wróciłbym do tych zbiorów i dlaczego to jest dla mnie takie ważne. Staram się nie zaśmiecać sobie pamięci i rzadko kiedy sięgam po nowe, rewelacyjne jakieś publikacje na temat księdza Jerzego. Podobno opublikowała coś ostatnio pewnie Czackowska. Też nie wiem, z jakich korzystała źródeł, mam nadzieję, że z dobrych. Ktoś ofiarował mi książkę Mileny Kindziuk, "Świadek prawdy". Jest dość zasobna, gruba, z jakąś nieufnością na to popatrzyłem, ale dzisiaj muszę stwierdzić, że jest to chyba jedna z najlepszych publikacji, z jakimi się zetknąłem. Poza tą: "Zapiski, listy i wywiady", bo to ma po prostu wartość autentyku, czyli jest tutaj praktycznie bez komentarzy. Są to autentyczne pisma księdza Jerzego. Niestety nie ma tu homilii. Homilię mam gdzieś w jakimś innym wydaniu, ale też nie w komplecie. To są takie wartościowe rzeczy. Jeszcze dlaczego chcę o tym wspomnieć? Sięgam do książki i

znajduję rozdział "Kazania i notatki homiletyczne". Bardzo dobre, znam je, znam je właśnie stąd. One się znajdowały w tym pudle. Ja je sobie w domu czytałem, wiele, wiele lat temu. Wiele z nich zapamiętałem. Pani Kindziuk pisze z dużą szczerością i zresztą prawdziwie, że nie były one do tej pory publikowane. Tylko że zamieściła to z taką adnotacją: "Po śmierci księdza Popiełuszki w jego mieszkaniu zachowały się segregatory z notatkami, rękopisami kazań, listów, rozmaitych zapisków. Z pewnością nie były przeznaczone do publikacji. Ksiądz Jerzy pisał je na własny użytek. Wiele z tych zapisków, zwłaszcza powstałych w czasie jego pobytu w kościele Stanisława Kostki w Warszawie ujrzało już światło dzienne. Natomiast prawie wszystkie teksty, które złożyły się na ten rozdział, publikowane są po raz pierwszy". Nie byłoby problemu, gdyby nie to, że jest to fałszowanie historii. Jednak mówienie o tym, że zachowały się w mieszkaniu segregatory, notatki, rękopisy, jest fałszowaniem historii. Tak nie wolno. One naprawdę były tu. W mieszkaniu księdza Jerzego nie zachował się żaden dokument, dlatego że wszystko było bardzo dokładnie spakowane, wywiezione, ukryte i tak, jak już wspominałem po wielu, wielu latach trafiły z powrotem do Stanisława Kostki poprzez kurię warszawską, gdzie ja to zostawiłem jako te rzeczy, które uważałem, że są potrzebne do procesu beatyfikacyjnego.

Anna Pietraszek: Ale to jak to było zaraz po śmierci, po zamordowaniu księdza? Czyli może jeszcze wcześniej, kiedy nie wiedzieliśmy, co się z nim stało, kiedy zaginął, to kto się opiekował jego rzeczami? I jak doszło do tego spakowania wszystkiego?

Adam Nowosad: Nie, spakowanie wszystkiego odbyło się wcześniej, za życia księdza Jerzego.

Anna Pietraszek: Wszystkiego?

Adam Nowosad: Wszystkiego. Zostało mieszkanie ogołocone dosłownie z wszystkiego, co było dla księdza ważne, istotne i cenne.

Anna Pietraszek: Mówimy o jego mieszkaniu?

Adam Nowosad: Mówimy o jego mieszkaniu.

Anna Pietraszek: Prywatnym?

Adam Nowosad: Ja miałem...

Anna Pietraszek: A tam przy kościele to co innego?

Adam Nowosad: Nie, nie, nie. Przy kościele. Mówimy o mieszkaniu przy kościele.

Anna Pietraszek: Tylko i wyłącznie?

Adam Nowosad: Tylko i wyłącznie. Tak, tak.

Anna Pietraszek: I za jego życia miał taką świadomość, że trzeba wszystko wyprowadzić z mieszkania?

Adam Nowosad: Tak, dlatego że spodziewał się aresztowania, rewizji i konfiskat.

Anna Pietraszek: Po prostu był pewien...

Adam Nowosad: W mieszkaniu na ulicy Chłodnej nie było nic, co mogłoby się wydać podejrzane. Nic. Z całą pewnością. Dlatego twierdzę, że ta prowokacja, którą później urządzono, była zupełnie nietrafiona, bo tam rzeczywiście nie było niczego, co należało ukryć, jakoś zakonspirować. Były jakieś bibeloty, były jakieś rzeczy, codziennego użytku. Ksiądz tam sporadycznie przemieszkował, kiedy już naprawdę padał na nos i musiał odpocząć, to jechał tam i zamykał się przed całym światem. Nie miał tam, nie przechowywał żadnych rzeczy, natomiast wszystko, co było cenne i podręczne, miał u siebie w parafii, tam, gdzie mieszkał, w tym mieszkanku. I tych rzeczy, ja miałem, takich skrzyń, większych od tej, to była najmniejsza, dziewięć wielkich pudeł. Nie byłem jedynym człowiekiem, który przechowywał, bo tam były jeszcze takie rzeczy jak jakieś makatki, jakiś wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, którą otrzymał, jakieś tam podarunki od robotników, typu kaski, jakieś takie górnicze lampy. To też gdzieś ktoś... ale tego już nie przechowywał w sposób zakonspirowany, tylko po prostu gdzieś tam po siostrach porozdawał.

Anna Pietraszek: Czyli byłeś jedyną osobą, która pozbierała te dokumenty?

Adam Nowosad: Nawet nie tyle ja je zbierałem, co ja je przechowywałem, nie mając świadomości, co tam jest.

Anna Pietraszek: Ksiądz je spakował i ci dał?

Adam Nowosad: Tak. I nie miałem do końca świadomości, one były spakowane. Jedna, ta skrzynia właśnie, to pudło, też to nie jest oryginalne już pudło, to jest przepakowane, ono było troszkę inne, dał i otwierał je jeszcze przy mnie, wyjmował z tego zapiski swoje codzienne, bo doszedł do wniosku, że mogą mu się przydać. I mówi: "To muszę mieć przy sobie". To zostawił i to gdzieś tam musiało być przy księdzu Jerzym, gdzieś w parafii. To się później stało przedmiotem jakiegoś handlu, ktoś to sprzedął za ogromne pieniądze do Parimatcha i zostało to opublikowane.

Anna Pietraszek: No ale ktoś to znaczy, kto? Ktoś z pracowników, z osób...

Adam Nowosad: Po śmierci księdza Jerzego w mieszkaniu, w którym mieszkał do tej pory, zapanował spory chaos. Zaraz do tego nawiążę, tylko jeszcze jedną ciekawostkę. Jedną ciekawostkę wam tylko opowiem, o tym, że podobną rzecz znajduję w wywiadzie księdza Jana Sochonia, przeprowadzonym nie tak dawno przez pana Alberta Mazurka. Czytam, wywiad jest ciekawy, ksiądz Jan Sochoń jest znaną postacią, bardzo oddaną księdzu Jerzemu, ale też, niestety, nie wiem, czy świadomie czy nieświadomie, robi coś takiego, pisze: "Jurek często przyjeżdżał do Wasilkowa na Białostocczyźnie, skąd pochodzę, był tam wikariuszem ksiądz Bożyk, jego dawny katecheta. I tam widywaliśmy się na plebanii. Blżej poznaliśmy się w latach 80., kiedy mieszkał na Żoliborzu. Notabene już po jego śmierci, pracując w parafii Stanisława Kostki, mieszkałem w jego pokoju i tam poznałem jego kazania, notatki, które później wydałem. Stały mi się niesłychanie bliskie". Też nie wiem, kiedy je tam poznał i jakim cudem, bo po śmierci księdza Jerzego mieszkało tam parę osób. Między innymi Waldek Chrostowski, który się tam ukrywał. Był do czasu procesu tam pilnowany. To było jego jedyne miejsce zamieszkania, z którego nie wychodził. Praktycznie tylko gdzieś na spacer wokół budynku, i to też pilnowany. Było tam całe mnóstwo osób, które się w tym czasie przewijało. No i co takiego się działo? Rodzina upomniała się, czy zostało jej zaproponowane, że te rzeczy, które zostały po księdzu, może zabrać. Prawdopodobnie część tych pamiątek, które tam jeszcze były, trafiła gdzieś, mam nadzieję, do rodziców, do rodziny, i mam nadzieję, że są w domu rodzinnym księdza Jerzego w Okopach. Część wiem, że została rozgrabiona, albo inaczej, może delikatniej, wyniesiona, przez różnych przypadkowych ludzi, którzy tam się pojawiali, coś brali...

Anna Pietraszek: Mieli prawo wchodzić i wychodzić? Wszyscy mieli klucz? Kto go dostał?

Adam Nowosad: Może nie tyle klucz, co po prostu przychodzili tam.

Anna Pietraszek: I każdy coś wyniósł po troszeczkę? I to mieszkanie zaczęło pustoszeć. W ten sposób wiele rzeczy zniknęło. Myślę sobie, że jest parę takich osób, co do których ja się spodziewam, że wiedzą, gdzie jest wiele z tych rzeczy, i że kiedy będzie się odtwarzało mieszkanie, kiedy będzie powstawała Izba Pamięci księdza Jerzego, to te rzeczy tam wrócą. Ja mam bardzo dobrą pamięć fotograficzną i potrafię odtworzyć wszystko, co, gdzie i ile tego było. Mam nadzieję, że będę pomocny przy tym, że uda nam się odtworzyć. A może to zapisz.

Adam Nowosad: No tak. U mnie jest krzesło. To najważniejsza rzecz. Powinna być jeszcze ława, jakieś tam dwa stare fotele...

Anna Pietraszek: To my mamy wszyscy zobowiązania wobec księdza Jerzego. Powinniśmy kupić se szesnastokartkowy zeszyt i wypisać po kolei od lewej do prawej, co powinno tam wrócić.

Adam Nowosad: Jest to dosyć dobrze sfotografowane. Właśnie Jurek Szóstko, który był fotografem nadwornym księdza Jerzego, tak to nazwę, robił tam wiele zdjęć. I spokojnie można to odtworzyć, tak że z tym też nie będzie problemu. Mam nadzieję. To także co do tej historii z dokumentacją. Znajduję później takie rzeczy. Chyba jest mi trochę przykro, bo wydaje się, że historię powinno się pisać rzetelnie. Jeśli ktoś miał kontakt z tymi dokumentami i je publikował, jak przyznaje ksiądz Sochoń, to powinien szczerze napisać, z jakich to jest źródeł, skąd pochodzi...

Anna Pietraszek: Bo na pewno nie leżały w tym mieszkaniu...

Adam Nowosad: Na pewno nie leżały w tym mieszkaniu

Anna Pietraszek: ...nie leżały na półce.

Adam Nowosad: Nie było takiej szansy ani możliwości, żeby one tam...

Anna Pietraszek: Czyli, mówiąc wprost, dla tych, którzy nie bardzo rozumieją delikatność wypowiedzi, musiał ksiądz Sochoń dostać te materiały, przechowywane przez ciebie i przekazane do kurii?

Adam Nowosad: Tak, oczywiście. One mogły tam trafić po jakiejś weryfikacji, bo najpierw weryfikacją materiałów zajmował się ksiądz Kalwarczyk, też nie wiem, czy sam. Później jakąś część przekazał postulacji procesu beatyfikacyjnego, ta część, z tego, co wiem, trafiła do zbiorów pani Kasi Soborak i prawdopodobnie to były te rzeczy, które ona przekazała, niestety, też to powiem, wiedząc o tym, że ja miałem bardzo konkretne związane z tymi materiałami plany. Tutaj mam takie pismo, kopię pisma, które jest przechowywane gdzieś tam w siedzibie naszej grupy modlitewnej, bo mamy taką, podpisaną przez Waldka Chrostowskiego, przeze mnie i przez pana Gieleckiego Macieja, kiedy to w październiku 1999 roku zwróciliśmy się do księdza postulatora, księdza Króla, z taką propozycją, że istniejący wówczas Instytut Spraw i Problemów Warszawy "Nasza Warszawa", który założył pan Gielecki jako były wojewoda, zaproponował księdzu Królowi, postulatorowi, że chcielibyśmy „przede wszystkim zająć się popularyzacją tekstu modlitwy beatyfikacyjnej i pragniemy przyczynić się do połączenia wysiłków osób, które podejmują trud pielęgnacji wspólnego dobra, jakim jest spuścizna po tym wielkim Polaku. Celem naszych działań jest zebranie w jedną całość dzieła służi Bożego, księdza Jerzego, oraz popularyzacja wiedzy o życiu i działalności naszego brata”, tak go wówczas nazwaliśmy. „W tym środowisku są ludzie, którym postać i ofiara księdza Jerzego są bardzo bliskie. Chcielibyśmy również innym umożliwić czerpanie inspiracji do swoich poczynąń z jego chrześcijańskiego świadectwa modlitwą, nauczaniem i pracą. Zwracamy się do księdza postulatora za pośrednictwem naszych przedstawicieli o błogosławieństwo i

zgoda na działalność opisaną powyżej". "Urząd postulacji otrzymałem, popieram prośbę. Ksiądz kanclerz Król". Poprosiłem wówczas właśnie o udostępnienie tych materiałów, po to żeby można było z nich zrobić właśnie jakiś taki konkretny zbiór do celu, jak mówię, publikacji i popularyzacji tego. Przyjęliśmy zasadę, że nie można... że musi to być działalność niekomercyjna, nie wolno na niej zarabiać, te rzeczy miały być szeroko propagowane w formie rozdawnictwa, co najwyżej po kosztach druku. Mimo to, tu mamy październik 1999 roku, z wielkim zdumieniem już w grudniu 1999 roku znalazłem fragmenty, zapiski, notatki w opracowaniu księdza Jerzego Jana Sochonia, które zaczęły się pojawiać w takim piśmie "Powściągliwość i praca". Ja bez trudu potrafię rozpoznać te teksty, wiele z nich po prostu znam, i stwierdziłem, że jest to ni mniej, ni więcej, tylko to, co przekazałem i co do czego upominałem się o prawo publikacji. Nie udało mi się nawiązać kontaktu z księdzem Sochonem, jakoś nie odpowiadał, więc zacząłem zbierać sam te fragmenty z "Powściągliwości i pracy", jakoś je tam edytować, jakoś przygotowałem nawet taki zbiorek, nie mam go też w tej chwili już do druku, ale wtedy wytłumaczono mi, że byłoby to działanie zakłócające tok procesu beatyfikacyjnego. A więc znowu grzecznie i pokornie schowaliśmy te wszystkie rzeczy i postanowiliśmy poczekać na rychłą beatyfikację. Był to rok 1999, wszyscy się spodziewaliśmy, że już. Mamy już dziesięć lat od tego momentu.

Anna Pietraszek: A jak w tym roku?

Adam Nowosad: Właśnie. Dwa dni temu dostałem bardzo dobrą, budującą wiadomość od człowieka, do którego mam zaufanie, że są już wszystkie decyzje w Rzymie niezbędne. A jednak w tym roku.

Anna Pietraszek: Ale kiedy?

Adam Nowosad: Ja właśnie już tyle razy to słyszałem, że podchodzę już z dużym spokojem do tego typu rewelacji i mówię, spokojnie, poczekamy, jest czas, możemy się modlić, niech do tego dojdzie. Wiem to od człowieka, który wrócił z Rzymu i rozmawiał z tymi ludźmi, którzy znają się na rzeczy, i podobno jest to pewne. No, miejmy nadzieję. Gdyby tak się nie stało, to tak jak już to deklarowałem, ja od dwudziestej piątej rocznicy już zaczynam działać niezależnie od tego, czy do beatyfikacji dojdzie czy nie, i będę właśnie chciał się skupić i wrócić z powrotem do publikacji, do darmowego rozdawnictwa rzeczy, bo uważam, że one powinny trafiać do ludzi, a nie tak, jak to zrobił ksiądz Sochoń. Bardzo przyzwoity człowiek, nie mam pretensji, pisał "Positio" do procesu dla księdza Jerzego, więc jest to bardzo ważny człowiek w procesie beatyfikacyjnym. Dlatego myślę, że pisząc coś takiego, że tak po prostu znalazł się tam, to chyba nie miał świadomości, być może on nawet nie wie, że istnieje ktoś taki, kto te rzeczy przechowywał, i miał wobec nich jakieś tego typu pomysły i plany.

Anna Pietraszek: Może go odwiedzimy?

Adam Nowosad: Może kiedyś. Tak mi się wydaje, że tak to się działo z księdzem Janem, bo nie sądzę, żeby miał potrzebną świadomość, żeby fałszował coś zupełnie bez sensu. Co jeszcze à propos tych zapisków? Nie, jednak w tym momencie nie znajduję. Znalazłem taki bardzo ciekawy fragment o wolności człowieka, który zostawił nam ksiądz Jerzy. O, chyba tutaj. I można go zacytować. Kiedy ja pisałem o tym, co to jest "zło dobrem zwyciężać", to użyłem tego cytatu właśnie z pamięci. Nie mając dostępu z pamięci rozmów z księdzem Jerzym, bo pisząc te swoje teksty, właśnie opieram się na tym... Raczej nie odwołuję się do źródeł pisanych, tylko do pamięci, żeby miało to jakiś sens taki osobisty. Bo w końcu jeśli ktoś kogoś znał i rozmawiał z nim, to coś powinno pozostać w pamięci, coś, co niekoniecznie było publikowane i znane. Ale znalazłem taki fragment, no też dzięki księdzu Sochoniowi, to akurat dobrze, że to się ukazało w „Powściągliwości i Pracy”. Ksiądz Sochoń niestety wydał później książkę ze zborem tych rzeczy za jakieś takie pieniądze, że mnie to odstraszyło. Nabyłem jeden egzemplarz, a później podarowałem go siostrze karmelitankom w Łodzi i już nie mogłem znaleźć w księgarniach drugiego. Rozszedł się. Pomimo, że był drogi. Troszkę mnie to zbulwersowało, bo nie taka była idea. Uważałem, że jeśli kiedyś się narażaliśmy, to powinniśmy mieć takie prawo, żeby jednak z tego powodu mieć wpływ na dalsze losy tych rzeczy. Tak mi się najmniej wydawało. Co bym chciał zacytować? Wtedy, kiedy ksiądz to pisał, patrzcie, jakie znamienne. "Chyba bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy dzisiaj świadkami i jednocześnie uczestnikami strasznego zaganiania ludzkości. Ciągły ruch, ciągły niepokój, ciągły lęk, ciągła gonitwa. Już wczesnym rankiem otwierają się bramy domów, drzwi i mieszkań. Nadmierna ruchliwość zabrała dzisiejszemu człowiekowi możliwość refleksji nad samym sobą. Nie stać go na to, by zastanowić się, czy jest jeszcze pewien samego siebie, czy jeszcze sobą kieruje, czy też może stał się już tylko pewnego rodzaju automatem. Zabiegany człowiek zamienia często słowa "chcę" i "powinienem" na słowo "muszę". Zmienia postawę osoby wolnej na postawę kogoś spętanego, póniewolnika sterowanego przez cudze myśli i inicjatywy". To było wtedy, powiedziałbym, bardzo odkrywcze i filozoficzne. Trzeba było mieć jakąś głęboką refleksję, żeby mieć świadomość takiego stanu rzeczy. A uświadommy sobie, że od tego czasu, po tych dwudziestu, mam wrażenie, ośmiu latach, rzecz wygląda jeszcze gorzej. Bo jednak gdzieś tam w tym PRL-u jeszcze była jakaś taka stabilizacja, jeszcze nie baliśmy się tak przyszłości, jak teraz nam to odmawiają, i było nam troszkę łatwiej. Niemniej wtedy już ksiądz pisał o tych rzeczach. Ja użyłem tego później właśnie, niedokładnie, nie cytując w swoim tym fragmencie, w którym zajmuję się testamentem księdza Jerzego. Przyjąłem sobie... Są ludzie mądrzejsi, z tytułami profesorskimi, którzy powinni się zajmować takimi sprawami, tak sobie wyobrażałem, może właśnie ksiądz Jan Sochoń, skoro wszyscy zgodnie wiemy, i pani Kindziuk również to potwierdza, że jest to

testament, pozostawiony testament księdza Jerzego. Niemniej nigdzie nie znalazłem jakiegoś opracowania filozoficznego, profesorskiego, mądrego bardzo na temat zwyciężania zła dobrem, miłości, męstwa czy też w końcu odwagi, czyli wyrzeczenia się lęku. Nie tyle niepoddawania się lękom. A sądzę, że warto, bo to jest to, co jest potrzebne dzisiaj, zwłaszcza młodemu pokoleniu, które pytając o księdza Jerzego, chce wiedzieć, co takiego mówił do nas i co takiego ma sens na te czasy, co jest dzisiaj ważne. To może z grubsza. Ja bardzo będę chciał później, żebyś mnie o coś zapytała, bo wiemy, że dzisiaj czasu mamy niewiele. Dokończyłem właśnie pisanie, dlatego tak mówię o tej miłości, bo opublikowałem swój kolejny tekst na temat miłości właśnie. Miłość, cnota kardynalna, Bóg jest miłością. Kolejna rzecz. Króciutko, staram się, bardzo króciutko, to ma osiem stroniczek. Rozsyłałam to swoim młodym przyjaciółom, z którymi się tu spotkaliśmy.

Anna Pietraszek: To wszystko dasz też?

Adam Nowosad: Właśnie miałem zapytać, ja ci jeszcze tego nie wysłałem? To bardzo proszę, to dzisiaj to otrzymasz.

Anna Pietraszek: A mailem?

Adam Nowosad: Też, tak, oczywiście.

Anna Pietraszek: I porzysłałam dalej. I tak po kolei, później o męstwie i na koniec o tym, co jest istotą sprawy, czyli wyrzeczeniem się rzędzy odwetu, przemocy, lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim rzędzy odwetu i przemocy. Bo te ostatnie słowa księdza Jerzego, "Twierdza", zawierają niezwykle komunikat, bardzo ważny i naprawdę parę bardzo mądrych osób powinno się nad tym pochylić. Te ostatnie słowa, to które masz na myśli?

Adam Nowosad: W Bydgoszczy. To są ostatnie słowa wypowiedziane oficjalnie przez księdza Jerzego.

Anna Pietraszek: Ale dosłownie ostatnie akapity czy całość homilii?

Adam Nowosad: Całość, na zakończenie... To nie była homilia. Jak pamiętacie, już o tym mówiłem, ksiądz w Bydgoszczy nie mógł wygłosić homilii. Zwrócił się do zebranych z propozycją modlitwy różańcowej. Są to jakby tajemnice różańcowe, tym bardziej właśnie wartościowe. Zakończył to: "Módlmy się, byśmy byli wolni od lęku", to jest niezwykle ważnym wezwaniem...

Anna Pietraszek: Przyszło do mnie.

Adam Nowosad: „...zastraszenia, ale przede wszystkim rządy odwetu i przemocy”. Właśnie, skoro przyszło, to zrobimy przerwę, muszę go zamknąć. Jeszcze słowo o agencie o pseudonimie "Tarcza Miecz", który to, jak myślę, przyczynił się do tego, że w pewnym momencie ja się źle poczułem w mieszkaniu księdza Jerzego. Dziś wiemy, że ten pan dorabiał klucze i że mogli sobie wchodzić do wszystkich pomieszczeń, i to sławne podbieranie drobiazgów, rzucanie nawzajem różnych podejrzeń, to była jego robota, dzięki niemu. Otóż ktoś z przyjaciół przyniósł mi takie zdjęcie ciekawe. Jest to grób pana... no, mniejsza jego nazwisko.

Anna Pietraszek: Nie, lepiej powiedzmy, bo skoro jest napisane na grobie...

Adam Nowosad: Tadeusz Stachnik, żył lat sześćdziesiąt pięć. Co ciekawe, mamę miał Lubę Stachnik, i zginął śmiercią tragiczną w roku 1991. To tak à propos. Dlaczego tak sobie to skojarzyłem? Z całą pewnością ten pan miał ogromną wiedzę. Tak dużą, że przyznam, że ja nawet wielu rzeczy nie wiedziałem, dopiero po jakichś tam fragmentach publikacji związanych z tym panem zorientowałem się, że mimo wszystko chyba oddał trochę i dobrych przysług księdzu Jerzemu, pisząc o tym w swoich donosach, że ksiądz był apolityczny, że nie lubił środowiska KOR-u, nie lubił KPN-u i przestrzegał przed kontaktami. A skąd taka refleksja i skojarzenie z tym smutnym obrazkiem? No niech temu panu świętej pamięci, czyli pochowanemu po katolicku, Bóg będzie bardziej wyrozumiały niż ludzie, którzy, z tego widzę, chyba jednak pomogli mu w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Otóż ze dwa-trzy dni temu słyszałem wypowiedź pana Macierewicza w telewizji Trwam, w której to, w końcu znający się na sprawie, pan był minister, koordynator służb specjalnych, poświadczył ni mniej, ni więcej, że służby te do dziś utrzymują swoje wpływy i de facto sprawują realną władzę w naszym kraju. Więc to jest taka refleksja, kiedyś tam rozmawialiśmy o agenturze, o tym, co się dzieje. Przekonuje mnie to, że rzeczywiście, skoro tak skończył agent, nie jest zaliczony jako ofiara ludzi, którzy zajmowali się sprawą księdza Jerzego, bo w innym artykule gdzieś wyczytałem, że jest już dziewięć takich ofiar śmiertelnych, no to to jest jeszcze niepoliczona ofiara. To znaczy, że nie są to jeszcze czasy takie, w których można rozmawiać o tym, co naprawdę stało się z księdzem Jerzym. I możemy sobie w tym momencie tylko wiele rzeczy przypuszczać, i po wypowiedzi pana Macierewicza widzę, że to jeszcze odległy bardzo czas, zanim będzie można swobodnie porozmawiać o tych rzeczach. No trudno. Niemniej jednak w przededniu beatyfikacji mamy sporo innych rzeczy, którymi się powinniśmy zająć, możemy się zająć. Taką widzę właśnie rolę dla takich ludzi jak ja, dla świadków, no jakoś tak do tej pory niesłuchanych. Ale skoro młodzież mnie zachęciła, to będę od tej pory już więcej mówił o tym, o księdzu Jerzym. Taką modlitewkę rozprowadzaliśmy jako grupa modlitewna, maluteńką, w ilości bodaj kilkudziesięciu tysięcy do tej pory. Udało nam się to zanieść

przez jakąś grupę wolontariuszy w różne miejsca, głównie do szpitali, ale i do więzień podobno się dostała ta modlitwa poprzez różnych kapelanów. Niestety nie mam już, w tej chwili skończyły mi się zapasy. Apeluję znowu o sponsorów, o ludzi, którzy chcieliby wydrukować takie modlitewki malutkie. Kosztowało to bodajże 5 czy 6 groszy, jedna sztuka. No i tym sposobem, roznosząc takie modlitwy w różne miejsca, zwyczajnie umożliwiamy ludziom kontakt z księdzem Jerzym, bo kiedy będą mieli szansę spojrzeć w te oczy, przeczytać modlitwę i poprosić Pana Boga za przyczyną księdza Jerzego o łaskę, i kiedy ją otrzymają, no to po pierwsze są z tego powodu szczęśliwi, że ktoś im pomógł, a po drugie mają tu adres postulacji i mogą zgłosić swoje świadectwo. Co takiego jeszcze ostatnio bardzo dobrego mi się przydarzyło? Otóż zaprosił mnie do swojego radia pan Robert Tekieli, do takiej audycji "Strapienie i pocieszenie". Bardzo to tajemnicza postać, nie chciał mi powiedzieć, o czym będziemy rozmawiali, bo mówi: "To Duch Święty te sprawy załatwia za nas i nie ma się co w ogóle tam przygotowywać i martwić". No i dobrze, i tak się stało, rzeczywiście poszedłem, miało to trwać jakieś tam pół godziny, trwało dwie i pół, w dwóch audycjach. Dlaczego o tym mówię? Otóż po takiej audycji pojawiło mi się mnóstwo komunikatów, podałem adres mailowy, odezwało się sporo osób, bardzo różnych, bardzo ciekawych, zawsze wdzięcznych za to, że mieli szansę usłyszeć coś takiego o księdzu Jerzym, co opowiadałem. Był to rodzaj takiej wiwisekcji, Tekieli troszeczkę to inaczej wymyślili, czyli: "Mów o sobie, co ksiądz Jerzy znaczył w twoim życiu, a to dla słuchających może być jakąś wartością". I przystałem na tego typu formę, trudno powiedzieć: wywiadu, właśnie rozmowy, i okazało się to bardzo trafione, bo ci ludzie, którzy tego słuchali, mówią, że po tej audycji na nowo jak gdyby powrócili do księdza Jerzego, czyli zaczęli się interesować, mam mnóstwo maili z zapytaniem, gdzie, co, dlaczego. Jakaś pani napisała, że upewniła się, że ksiądz Jerzy ją nawrócił. I w tym momencie też poprosiła o pomoc w złożeniu świadectwa. Bardzo mnie to wzruszyło. Tam na zakończenie audycji też modliliśmy się modlitwą beatyfikacyjną. No i tak to właśnie działa. Czyli takimi sposobami trzeba z księdzem Jerzym iść do ludzi. I myślę, że jest to takie zadanie dla wielu z nas, którzy go pokochaliśmy, którzy nie mamy wątpliwości, kim jest. Czyli wiemy, że jest to posłaniec Boży dany nam na te czasy, i że to, co ma nam do przekazania, jest niezwykle ważne i potrzebne wielu, wielu ludziom. Te maile, które otrzymałem, ciągle otrzymuję, mam w związku z tym sporo pracy, ale odpisuję na nie i rozsyłam właśnie choćby takie rzeczy jak to ostatnie opracowanie o miłości, czy co to znaczy "zło dobrem zwyciężaj", bo właśnie wychodzę z założenia, że jeśli sami tego nie zrobimy, to ci nasi wielcy uczeni będą się ciągle zajmowali tym, kto gdzie tam tego księdza... i jak mu dokuczył czy mniej, czy bardziej przeszkadzał w działalności jego. Może tyle. Chyba, że jeszcze masz jakieś pytanie.

Głos: Mam jeszcze jedno pytanie tylko. Skoro już żeśmy dotknęli pewnej czarnej sfery, pamiętasz, kojarzysz obok księdza Jerzego księdza Michała Czajkowskiego?

Adam Nowosad: Już chyba o tym mówiłem, ja nie zetknąłem się z nim bezpośrednio, a być może nie zarejestrowałem tego w pamięci. Z tego, co czytałem, bo ksiądz Czajkowski ostatnio publikował jakiś swój wywiad, wynika, że on tam wpadał okazjonalnie po lekarstwa. Twierdzi, że nigdy niczego stamtąd nie wynosił, w sensie jakiejś wiedzy. Oczywiście nie wiemy, jak to było do końca. Dla mnie takie wyznanie księdza Czajkowskiego jest w jakimś sensie przekonujące. Uważam, że wtedy, kiedy mówi, że był za słaby, że nie zdawał sobie z tego sprawy, że jednak został złamany, to jest to jakieś wyznanie szczere. Gdyby nie to, że później tłumaczył swoją postawę tym, że "przecież nikomu nie zaszkodziłem", to byłbym skłonny pogodzić się w tym sensie duchowym z księdzem Czajkowskim, że można być człowiekiem słabym.

Anna Pietraszek: To dodam, że w świetle dokumentów... Nie jest to informacja potwierdzona dokumentami. W dokumentach jest inaczej.

Adam Nowosad: Tak, właśnie wiem o tym. Ale już samo takie wyznanie jest w jakimś sensie wzruszające, natomiast to dalsze tłumaczenie się, że ja nic takiego złego nie zrobiłem, że ja tam tylko wpadałem po jakieś lekarstwa, że przecież w żadnym razie nie chciałem szkodzić, źle już świadczy o postawie, znaczy, że jeszcze niewiele zrozumiał ksiądz Czajkowski. W tym sensie nie potrafię go umiejscowić jakoś w czasie. Być może tak, chcę tylko powiedzieć jeszcze, że tam się przewijały setki ludzi, czasami jednego dnia kilkadziesiąt osób, że na takim dyżurze można było rzeczywiście dostać lekkiego zawrotu, pojawiało się naprawdę sporo osób i jak dzisiaj o tym myślę, to uświadamiam sobie, że ksiądz Jerzy był jakimś szczególnym typem herosa, skoro był w stanie znieść to. Gdyby mnie dzisiaj do moich drzwi zadzwoniło trzydzieści osób, każda z jakąś sprawą, to podejrzewam, że wieczorem musieliby mnie nosić już. A on jednak za każdym razem wychodził i miał taki zwyczaj, że słuchał, że poświęcał komuś uwagę, potrafił to zrobić, a więc absorbował, więc uczestniczył w tym. Nie wiem, jak tego dokonał, to jest chyba jedna z tych tajemnic świętości, że jednak ktoś go wspierał. To tak co do księdza Czajkowskiego. Słowo daję, przewijało się tam mnóstwo księży. Z tych, których ja najlepiej pamiętam, był ksiądz Bogdan Liniewski, który moim zdaniem był takim jedynym autentycznym przyjacielem księdza Jerzego. A dlaczego tak mówię? Nigdy nie widziałem, żeby dwóch przyjaciół w ten sposób reagowało na swój widok. Kiedy przyjeżdżał ksiądz Liniewski, padali sobie w objęcia, unosili się jeden drugiego z radości, tańczyli dookoła niemalże, że to jest tak wspaniałe, że mogłem cię zobaczyć, że cię widzę. Nie wiem, co się dzieje dzisiaj z księdzem Liniewskim, też jest to taki świadek, zdaje się, mało potrzebny, mało słuchany. A mam wrażenie, że mógłby powiedzieć sporo rzeczy, bo naprawdę darzyli się ogromną sympatią.

Anna Pietraszek: A gdzie mieszka?

Adam Nowosad: Pojęcia nie mam. Kiedyś, kiedy jeszcze szukałem z nim kontaktu, bo w tych zbiorkach właśnie, o których tutaj mówiłem, odnalazłem list księdza Liniewskiego do księdza Jerzego, taki pełen właśnie ciepła, pełen takich wyrazów troski, czy dbasz o siebie, czy tam masz jakieś warunki w końcu, czy znalazłeś chwilę spokoju, w tym stylu pisany list, to wpadłem na taki pomysł, że chciałbym, żeby miał kopię tego listu ksiądz Liniewski, ale zlokalizowałem, że był wtedy w Górze Kalwarii. Nie wiem, czy był tam proboszczem czy tylko rezydentem, w każdym razie jakiś czas był, był to ksiądz kapelan wojskowy, i gdzie dalej go skierowano, trudno mi powiedzieć. Nie udało mi się wtedy do niego dotrzeć. Pojechałem nawet do Góry Kalwarii, ale go nie zastałem. Powiedziano mi, że oddzwoni, zostawiłem numer telefonu, nie oddzwonił, nie wiem, czy mu przekazano. I jakoś już przestałem się tym interesować. Ten list trafił również do archiwum, gdzieś tam jest. Myślę, że ksiądz Liniewski kiedyś będzie mógł sobie ten list skopiować. Będzie miał taką pamiątkę.

N0248_kr_FINAL_8_8

Adam Nowosad: To było to miejsce pierwsze, w którym zaczynałem swoje dyżury. Tutaj pilnowałem tej bramy, kiedy w maju odbywała się pierwsza msza, w której brałem udział. Stąd jakby zaczęły się te nasze trwania, to nasze trwanie przy księdzu i w tym miejscu. To może tak tyle. I teraz co, przejdziemy powoli do tych schodów, tak? Tutaj trwają niestety prace ciągle. Jest tu jakieś drzewko, pod którym ksiądz Jerzy lubił wypoczywać. Bardzo żałuję, że nikt nie zadbał o to, żeby to wyeksponować. Do dzisiaj nie ma tam śladu, a było to takie miejsce, w którym ksiądz lubił przebywać. Warto by, żeby zostało w pamięci. Tu zawsze stała najsilniejsza straż, było to wejście do parafii. Wejście było limitowane i rzeczywiście trzeba było sporo mężczyzn, żeby upilnować tu porządku. Tam w podziemiach była nasza dyżurka. Do dzisiaj tam dyżurują ci, którzy pozostali na straży tego miejsca. Oczywiście te krzaczki były wtedy o wiele mniejsze. Zupełnie to inaczej wyglądało. Dzień dobry pani Aniu. Dzień dobry pani Marysiu. Wspominamy sobie troszkę.

Głos: 300 tysięcy przeszło przez muzeum.

Adam Nowosad: Już? Coś wspaniałego. No to powodzenia. Tak trzymać. I to od czasu, kiedy rejestruje się wejścia. Wcześniej wiele tysięcy ludzi nie było rejestrowanych. No ale i muzeum było mniejsze. Teraz jest wspaniałe, wielkie. Warto tam kiedyś zajrzeć. A to jest codzienna droga księdza Jerzego, którą przemierzał. Kiedyś wyglądała nieco inaczej. Teraz mamy taki symboliczny bruk, który pokazuje, że nie była to droga łatwa. Podejdźmy może do miejsca, w którym po raz pierwszy spotkałem księdza.

Chciałbym dwa słowa opowiedzieć. Nie było oczywiście jeszcze tego pięknego pomnika, ale zawsze stała tutaj figurka. Zawsze była to taka sposobność do chwili refleksji. A to jest to miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkałem księdza. Zachowało się jeszcze w oryginale. To znaczy nie było tych barierek pięknych, które teraz dołożono, ale były te kamienie, mniej więcej tak ułożone, i chyba jednak drzwi już też wymieniono. Do niedawna jeszcze istniał tutaj dzwonek. Po lewej stronie widzę, że zrobiono już spory remont i to wszystko już nie wygląda tak, jak wygląda, natomiast są okna księdza, które rzeczywiście nie zmieniły się od tego czasu i zachowany jest charakter, przynajmniej na zewnątrz. Nie wiemy, jak to się dzieje wewnątrz. Tu po raz pierwszy spotkałem księdza, kiedy przyjechaliśmy spytać, czy możemy w czymś pomóc, czy możemy się przydać. Oczywiście króciuteńko, z uśmiechem na ustach odpowiedział: "Tak, oczywiście, chodźcie" i natychmiast zaprowadził nas na górę, gdzie było już mnóstwo różnych zajęć, właśnie przy rozdzielaniu leków, darów, przy paczkach. I tak wyglądały te początki. To miejsce jest dla mnie bardzo sentymentalnym miejscem. Niestety żałuję, jak wiele w tym miejscu ulega zmianie. Teraz może jeszcze podejźmy do innego miejsca. Tu na miejscu domu Amicus. Kiedyś był piękny ogród, zadrzewiony, w którym rosło mnóstwo... Mamy dzisiaj szczęście do dnia remontu. Podejźmy wobec tego w takie miejsce, które chciałbym opisać. Wzruszająca mozaika pani Szydłowskiej, która rzeczywiście dodaje charakteru temu miejscu. No i to jest ten widok, który mnie niestety boli. Z pozoru jest przecież przepięknie, trudno, żeby było ładniej, ale tutaj było poletko księdza Jerzego, które uprawiał. Dostał tu taki przydział od księdza Boguckiego, ponieważ kochał ziemię, był z ziemią związany i bardzo chciał mieć kawałek własnego ogródka. I dostał taki przydział. To były dwie-trzy piękne grządki, na których zaczął coś tam uprawiać, jakąś sałatę, jakąś rzodkiewkę. Ale wytłumaczyłem mu bardzo szybko, ponieważ ja byłem wtedy ogrodnikiem, że to się nadaje bardziej na piękne kwiaty niż na rzodkieweczki, że szkoda jego wysiłku, bo rzodkiewkę można kupić, a te kwiaty własne będą piękne. Będzie się nimi zawsze cieszył. Posłuchał mnie, ja te kwiaty zasiałem, dbałem o nie wraz z siostrą zakonną i wiem, że sprawiało mu to wiele radości. Każdego dnia tu przychodził i cieszył się z tego widoku. Dzisiaj to niestety zmieniło się bardzo i nikt już nie pamięta o tym, że było to takie miejsce wzruszeń. Trochę szkoda. Wydawało się, że powinno się takie miejsca pozostawić w pamięci i przynajmniej zaznaczyć dla następnych pokoleń. No cóż, dzisiaj, trzeba przyznać, jest tu coraz piękniej i tylko szkoda, że w tym pięknym gmachu jakoś nie ma miejsca dla nas, dla tych ludzi, którzy chcieliby się gdzieś spotkać i powspominać, jakoś ubogacić, poopowiadać. Jest to piękny dom pielgrzyma, ale jak widzimy, raczej skomercjalizowany. Jak wszystko w tych czasach, chyba musi na siebie zarabiać i zdaje się, że tym to motywuje się dzisiaj. Co jeszcze możemy ciekawego... Podejźmy może z drugiej strony tego miejsca, tego gmachu. Chcę pokazać taką uliczkę Hozjusza, gdzie myśmy zrobili sobie takie swoje wyjście. Dlatego że esbecja, która na ogół patrolowała

ten rejon, zajęło im sporo czasu, żeby się zorientować, że my mamy klucze i wychodzimy sobie z tamtej strony. Niespecjalnie mogli sobie z tym poradzić. Dopiero po jakimś czasie postawili tam patrol, w ulicy naprzeciwko, i zaczęli już nas inwigilować i obserwować również z drugiej strony. Podejźmy może tam, bo to jeszcze jest taka ciekawa historia. Tak, to oczywiście zupełnie inaczej dziś wygląda. Jest odremontowane, pozmieniane, tym niemniej tutaj było wyjście i tą bramą wywoziliśmy ludzi, których trzeba było eskortować, bo było zagrożenie, że będą aresztowani. Gdzieś tam na nich czekano, a myśmy tutaj zwykle mieli jakiś samochód, taki w dyspozycji któregoś z nas, i kiedy trzeba było, to tutaj się kogoś doprowadzało, w jakimś nawet przebraniu, w samochód i szybkoutko wyjeżdżało stąd. To było właśnie to miejsce, gdzie myśmy się dostawali. Często, kiedy już było gorąco, to przeskakiwaliśmy płot, nie było czasu na otworzenie bramy. SB robiło sobie patrole na końcu tej uliczki, która też oczywiście trochę inaczej wygląda, i tutaj, na ulicy Kossaka. Mieli swoje punkty obserwacyjne, ale trzeba powiedzieć, że zajęło im sporo czasu, zanim zorientowali się, że to jest ważne miejsce, że tędy się dostajemy, i tędy również wyjeżdżał często ksiądz w przebraniu. Tak żeby go nie poznali, kiedy była taka oczywiście potrzeba. Teraz to już inaczej wygląda, i brama jest automatyczna, i jakieś urządzenia elektroniczne. Kiedyś była taka jak ta reszta parkanu. Ciekawe miejsce, wspominam je z sentymentem, bo tędy się zawsze dostawaliśmy. Tu nie można było podjechać nigdzie pod kościół. Trzeba było parkować albo tam, na sąsiednich uliczkach, albo gdzieś wręcz na zapleczu tych ulic, bo baliśmy się o to, że zniszczą nam samochody, że będą nam robili psikusy, i tutaj podchodziliśmy właśnie na piechotę, korzystając z klucza, którym dysponowaliśmy, albo też jak trzeba było, przeskakiwaliśmy płot. Pomnik, który też darzę wielkim sentymentem. Podejźmy. Mamy taki obelisk poświęcony osadnikom wojskowym Kresów Wschodnich. Tak się składa, że ja jestem synem wygnańca właśnie z Kresów Wschodnich, i kiedy odwiedzam księdza Jerzego, często w jakiejś intencji, prośbalnej na ogół, to też przychodzę tu z chwilą refleksji i modłę się za swoich przodków, których nigdy nie widziałem, nie poznałem. Gdzieś zginęli na Syberiach, na wschodzie, w walkach tam na Kresach. To miejsce też i z tego powodu jest dla mnie bardzo sentymentalne, wzruszające. Chciałbym opowiedzieć jeszcze o jednej rzeczy. Otóż kiedyś... A dlaczego o tym mówię? Zostaliśmy opisani we wspomnieniach księdza Jerzego, w jego zapiskach, z takiej akcji, kiedy któregoś nocy ksiądz odnotował w jednym ze swoich zeszytów, że noc była ciężka i bardzo nam dokuczali między pierwszą a czwartą w nocy, i rzeczywiście przypominam sobie ten czas, a to dlatego, że rzeczywiście miała tu miejsce jakaś spektakularna akcja. Myśmy w pewnym momencie postanowili trochę dokuczyć panom pilnującym i wpadliśmy na chyba trochę niemądry pomysł sfotografowania ich samochodów, ich w samochodach. Więc wzięliśmy... ksiądz miał taki nowoczesny dość na tamte czasy automatyczny aparat, wyszliśmy tutaj, na ten teren, i zaczęliśmy fotografować samochody, w których były jakieś osoby.

Ci ludzie najczęściej albo się kładli na siedzeniach, albo wychodzili, udawali, że coś przy tym samochodzie robią. Myśmy, niewiele sobie z tego robiąc, pstrykali zdjęcia, do pewnego momentu, aż któryś z nich nie wytrzymał i zaczął się nam odgrażać, i ruszył samochodem ostro na nas. Byłem wtedy ja i dwóch synów Waldka Chrostowskiego. Myśmy zaczęli uciekać, trochę panicznie, i miała miejsce taka dość ciekawa historia, że któregoś z synów usiłovali przygnieść samochodem do muru kościelnego, tak że w ostatniej chwili zdążył się wspiąć i przeskoczyć ten mur. Ksiądz, który to obserwował z domu, jak zobaczył, co się działo, zdecydowanie już zabronił nam jakiegokolwiek takiego niemądrego zachowania i wychodzenia poza teren kościoła. Od tego czasu nasze patrole nocne polegały już tylko na obchodzie wewnątrz kościoła, a tak naprawdę i tego nam po jakimś czasie zabronił, uznając, że jest to zbyt ryzykowne, i pilnowaliśmy go już tylko wewnątrz, śpiąc w tej salce obok, znaczy: śpiąc, czuwając, niekiedy i posypiając w salce obok albo na schodach. Wspominam, bo rzeczywiście jest to ten fragment, gdzie miałem to szczęście zostać opisanym jako grupa chłopców, które zrobili im fotografie dla postrachu. Przyszło mi to na myśl.

Głos: W tym miejscu, jak pamiętam, to właśnie tutaj był, mniej więcej na tej wysokości, usypany kopiec później.

Adam Nowosad: Tak. Wiem. Który niestety został...

Głos: Czy mógłby pan dwa słowa na temat kopca?

Adam Nowosad: Niewiele o tym pamiętam. Wiem, że był sypany, i nie wiem, z jakiego powodu, nie doszło do jego realizacji, ale to już trochę czasy takie nie moje. Wiem, że była taka inicjatywa i wiem, że z jakiegoś powodu została zarzucona. Ktoś argumentował właśnie, że tu powstanie piękny parking kiedyś, że będzie to miejsce przeznaczone do innego celu, jakby na potrzeby kościoła, tak jak, widzimy, że się stało, ale dlaczego ta inicjatywa została zarzucona, nie umiem powiedzieć. Teraz mamy rzeczywiście piękny parking. Kiedyś te drzewka... Mam wrażenie, że było tu jeszcze parę drzew w tej linii, ale nie jestem pewny, natomiast wiem, że z tego okna drugiego, tego większego, bo ksiądz nocował w tym mniejszym oknie, mieszkał, miał tam sypialenkę własną, a z tego wyższego któregoś dnia, jak wyjrzał i zobaczył, co się tutaj dzieje, czyli zobaczył tłum ludzi zalegający ten park, no to rzeczywiście wystraszył się i powiedział, „dobrze, więcej już nie plakujemy, nie ogłaszajmy, że jest msza, bo już jest tylu ludzi, że aż się boję o bezpieczeństwo”. Wtedy oczywiście pojawili się już z pomocą robotnicy, którzy włączyli się w to dzieło i zwiększyli ilość straży. To nas uspokajało, bo rzeczywiście mieliśmy już możliwość pilnowania terenu i dbania o porządek. To tyle. Mieliśmy taką informację, że w tym domu naprzeciwko na poddaszu

mają ustawiony punkt obserwacyjny, a o tyle było to ciekawe, że posługiwali się takim specjalistycznym sprzętem do nasłuchu z drżących szyb. W ogóle nie wiedzieliśmy, na czym to polega, ale kiedy przyglądaliśmy się przez lornetki, co się dzieje, to często rzeczywiście było widać, jak ktoś próbuje wysunąć jakieś takie urządzone i kieruje je w tę stronę. No oni też dobrze nas słyszeli, więc kiedy się zorientowali, że my ich widzimy, znikali. Ale wiem, że mieli gdzieś tutaj taki punkt obserwacyjny i w ten sposób właśnie zbierali nasłuch z szyb. To było taką ciekawostką na tamte czasy. Oczywiście w tym czasie wiedzieliśmy już, że są tam podsłuchy, że jesteśmy podsłuchiwanie, z tym że ksiądz sam doszedł do wniosku, że nie robi nic takiego, co musiałoby być tajemnicą, w związku z tym śmialiśmy się tylko z tego, że tak się trudzą. No niemniej jednak, jak się później okazało, robili z tego użytek, bo tak powstawały zarzuty, później używano jakichś konfabulacji, jakichś domysłów, opierając się pewnie na tych raportach i na takich meldunkach. Łatwiej im było śledzić ludzi, którzy przychodzili i o coś mimowolnie zapytali księdza, nawet w dobrej wierze, czy słyszał o tym, czy o tamtym, i zaczynał się, jak teraz wiemy, jakiś tam kolejny punkt, kolejny pomysł na śledztwo, na inwigilację kolejnych środowisk. Tak to wtedy wyglądało. Myśmy mimo wszystko niewiele sobie z tego robili i chyba było tak do końca. Już mieliśmy świadomość, że skoro nas inwigilują, podsłuchują, no to niech tak będzie. Pogodziliśmy się z tym.